

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 28 marca — 5 kwietnia 1948 r.

Nr 13-14 (134-135)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ZOFIA NAŁKOWSKA

NIEDOBRE INTERESY PRABABKI ZUZANNY

(Rozdział książki o ojcu *)

I. WALIZECZKA

W pokoju ojca książki wypełniały wiele przestrzeni. Kiedyś na początku stały w dwóch rzędach stłoczone za szybami dużej szafy bibliotecznej, później — wciąż się mnożąc — wypelżyły z niej na ściany i wstępowały po zwykłych, nagich, drewnianych półkach, sięgając prawie po sufit.

Pótek przybywało z czasem. Na niektórych, prócz książek, leżały też papiery, zapisane ojca niedużym, pochylonym piśmem. Papiery te również przestały się już mieścić w biurku, które stało pod oknem na czterech cienkich, osobnych nogach i miało wszystkiego jedną wielką, po wierzchu wyładowaną szufladę. Był to raczej zwykły stół, tyle że pokryty na wierzchu zieloną bibułą — ubogi, jak wszystko w tym pokoju.

Rękopisy leżały w stosach, nie w teczkach, objęte każdy z osobna zwykłym arkuszem papieru, postrzępionego i żółtego bardziej, niż zawartość. Na tych okładkach wypisane były tytuły zamierzonych prac: na jednej *Zjawiska istmiczne*, na innych *Jednostka i ogół*, albo *Forpocztę*, albo *Natura i siła*.

W tym wszystkim odrębną pozycję zajmowała oświecała walizka ze skóry — pociemniała i stara, twarda jak kuferek, z zamkiem i tkwiącym z jego otworze kluczykiem. Nikt nigdy nie używał jej do podróży, nikt też nigdy do niej nie zaglądał. Wiadomo było tyle, że to są „listy” — nic więcej. Mała walizka leżała przeważnie pod najniższą półką z książkami, znikając niekiedy pod warstwą papierów, ukazywała się znów.

Była ogromnie solidna, starannie w tej skórze wypracowana, okuta, płaskimi ćwiekami umocniona. Składała się z dwóch jednakowo głębokich połów, miała dwie „rączki”, jak torba, ale nie stała, tylko leżała, właśnie jak kuferek.

Gdy po śmierci ojca większość książek wraz z szafą oszkloną i stołem oddana została przez matkę Towarzystwu Geograficznemu w dawnym pałacu Staszycza i miała tam osobny swój pokój z jego portretem, walizeczka została. Była zawsze, od czasów najdawniejszych aż po chwilę, gdy w trzydzięci przeszło lat po śmierci ojca spaliła się w Pożarze Warszawy.

Tyle o walizce. Piśmę o niej tak dokładnie, bo jej już nie ma. Ale dzięki szczególnemu splotowi okoliczności ocalała jej zawartość.

Zginęły w ogniu wszystkie książki dwóch generacji, zginęły archiwa, wyciniki i rękopisy, uporządkowane w kilkudziesięciu segregatorach. Tylko parę teczek z wyjętymi z walizeczki papierami uchroniło się w niezapomnianej Adamowiźnie, gdzie właśnie wydawało się najmniej bezpiecznie. Na teczkach był napis: *Materiały do książki o ojcu*, którą tam właśnie zamierzałam pisać.

Okazało się, że w tak małej objętości walizeczka zawierała mnóstwo ściśle sprasowanego życia. Wyszły z niej długie przeminione lata i wyszli różni ludzie, dawno pomarli.

Tak dnia owego wyszła też stamtąd prababka Zuzanna.

2. JAN HRYNIEWICZ

Wyszedszy ukazała się nie cała skoro nie zostało po niej nic prócz kilku weksli, trochę kwitów i rachunków oraz mnóstwa listów pewnej zaprzyjaźnionej rodziny, która nosiła nazwisko Reinbergów. I zachowała się już na zawsze w tej cząstkowej postaci.

Zwrócona jest ku nam tylko jedną stroną siebie — tak, jak ją widać z tych papierów. Nie ma wieku, nie ma rysopisu. Nie jest pewne, jaka była, dobra czy zła, brzydka czy piękna. Pewne zaś — niestety — jest tylko to jedno, że handlowała okowitą.

Prababka Zuzanna przez czas niedługi była Nałkowską. I poza jedynym synem nie widać większych śladów z tego okresu na jej życiu. W walizce występuje już jako Hryniewiczowa i po raz drugi owdowiała.

O jej mężu pierwszym, Nałkowskim Michał, wiemy tyle, co nic. Ważny jest jedynie jako ojciec Michała Jana Nałkowskiego, który ze swej strony dał życie Wacławowi. Zato wiemy trochę o jej mężu drugim i musimy pochwalić wybór, który poślubiając go uczyniła.

Wiedzę tę czerpiemy z paru wielkich, bardzo przez czas uszkodzonych arkuszy pięknego, żółtego papieru ze znakami wodnymi. Atrament od starości stał się blade brunatny, złotawy jak miód.

Na jednym pięknie pokreślonym podwójnymi obwódkami, z nagłówkiem „Wojsko Polskie — Pułk 17-ty Jazdy”, znajdujemy „Stan Służby i Kampaniów JP. Hryniewicza (Jana) Podporucznika tegoż Pułku”. W rubryce, gdzie mają być te „Kampanie” papier jest poszarpany, widać tylko „Odbył kampanię... Rosyjską w roku 1812” tu dziura „w 17-ym Korpusie” znów nic „Francuskiej...”, „ciwko Rosyji...”, „przedstawiony dn... Duńskiego i Fr...” i koniec. Natomiast rubryka z lewej: „Służba i Awanse” jest w lepszym stanie i widać z niej, że „w służbę Wojskową wszedł” w lipcu 1812, we wrześniu „postąpił na sierżanta” i tak dalej postępując jest wreszcie „nominowany podporucznikiem przez dekret” tu przetarte „kwietnia 1813”.

Dalej już prawie bez przeszkód, wywiedzione równie wspaniałym miódowym piśmem z pięknymi zakrętami i mnóstwem dużych liter, możemy wyczytać następujące słowa: „My Członkowie Rady Gospodarczej Pułku 17-o Jazdy Zaświadczamy niniejszy Stan Służby JP Hryniewicza Podporucznika tegoż Pułku, który w tymże Stopniu odbył kampanie i wszędzie, gdzie tylko był użytym Dystyngował się jako Człowiek Honoru y dobry Oficyer — Dan w Łowiczu dnia 15-go Lutego 1815 Roku”.

Wśród wielu podpisów, też bogatych w pokrętne ozdoby, można wyczytać nazwiska: *Bulharyn, adiutant, Korwin Starzyński, Kapitan i Kawaler, Woynilowicz, Kapitan, Kawaler Legii Honor., Kaniewski, Brzechffa, Strowski*.

Po lewej u dołu okrągła pieczęć z puszystym koronowanym orłem pośrodku nosi w otoku napis francuski: „Le Conseil d' Administration du 17-me Regt de Lanrs Lithns”.

W pięć dni później, również w Łowiczu, Hryniewicz uzyskał podobną opinię od Korpusu Oficyerów: „My Oficyerowie pułku 17-go Jazdy mamy Obowiązek Oddać Świadcstwo W. J. Em. Panu Hryniewiczowi Janowi Porucznikowi z Pułku tegoż, iż będąc w Korpusie z Nami przez lat trzy trafił Wszystkich dla Siebie pozyskać Serce i Szacunek. Jego dobra Konduita i Charakter, Pilność w Służbie, Odwaga i Męstwo są właściwe Przymioty Duszy. My więc w tym Ostatnim momencie, kiedy przeznaczenie rozdzielić się nam kazalo w nadgodę Wzajemnych Uczuć Naszych Oddając Sprawiedliwość zasługom na Dowód Naszego Jemu Szacunku, Niniejsze Świadcstwo Szlachetnych Postępowań JEgo; podpisami Rąk Naszych stwierdzamy — Dnia 20 lutego 1815-o Roku”. Wśród nieczytelnych nazwisk widać: „Xawery Narbutt, Porucznik, Karol Rzewuski, Kapitan, Starzyński, Kapitan i Kawaler, Wincenty Ablamowicz”.

Już z roku 1816-go pochodzi też w zadziwiająco rozmiarami zakręty zdobny tekst następujący: „Tabella Długów Na Zaległy Żołd od Rządu Francuskiego — Kommissya Likwidacyjna. — Do Obrachowania Długów Skarbowych do Rządu Francuskiego W-go JPana Hryniewicza pporucznika Pułku 17-go Jazdy J. temuż



... rysunki piórkowe różnych psów myśliwskich... (do tekstu na str. 2)

Literatura jest miejscem, gdzie wszystkie ludy słowiańskie znoszą plody swojej działalności moralnej i umysłowej, bez spychania się, bez wzajemnego wstrętu. Bodajby to spotkanie spokojne na tym pięknym polu było godłem ich zjednoczenia się w innym zawodzie.

Adam Mickiewicz

(Z Wykładów o literaturach słowiańskich)

TREŚĆ NUMERU:

- ZOFIA NAŁKOWSKA —
NIEDOBRE INTERESY
PRABABKI ZUZANNY
- MIECZYŚLAW JASTRUN —
NOWE WIERSZE
- JÓZEF CHAŁASINSKI —
LEKcja SOCJOLOGII
ŻOŁNIERSKIEJ
- PAWEŁ HERTZ —
SEKRETY „PUSTELNI
PARNENSKIEJ”
- CZESŁAW MIŁOŚZ
PRZEKŁADY
WIERSZY C. SANDBURGA
- KAZIMIERZ BRANDYS —
PO TRZECH LATACH
- MIECZYŚLAW WIONCZEK —
O CHOROBIĘ „DZIECIĘCIA
PIENIADZA”
- RENE MAUBLANC —
MYŚL MARKSISTOWSKA
WE FRANCJI
- ADOLF RUDNICKI —
WNIEBOWSTĄPIENIE
- RYSZARD MATUSZEWSKI —
„SZEKSPIR” CZYLI DOJRZAŁOŚĆ
- EWA KORZENIEWSKA —
„NOCE I DNI” DĄBROWSKIEJ
W PERSPEKTYWIE CZASU
- MIECZYŚLAW PIOTROWSKI —
RYSUNKI
- REGINA KOWALEWSKA —
POD ZNAKIEM BEZTROSKEGO
PESTYMIEM W TEATRACH
PARYSKICH
- MARIUSZ MARGAL —
SPRAWA PABLO NERUDY
- KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ SWIATEK
- PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY

Summa Franków Tysiąc Siedemset Sześćdziesiąt trzy Centim, trzydzięci No Frank. 1763 Cent 30 w Tabeli Długów przyjęta i zapisana została w Warszawie dnia 14-go Marca 1816-go Roku”.

Pieczęć z orłem dwugłowym i napisem w otoku: „Królestwo Polskie. Prefekt Dep. Warszawskiego”. Podpis „Leszczyński” z nieczytelnym uzupełnieniem.

Jakby niedość było Janowi Hryniewiczowi tego wszystkiego zostawia nam — po dość długim namyśle, bo z roku 1825 w Lublinie, na ten raz jako „gwałtygier, Dywizji Ułanów” — taki jeszcze dokument, korygujący niedostateczne świadcstwo Rady Gospodarczej: „...zareczam słowem honoru jako w bitwach pod Bobrowskiem w Rosyji, pod Sierakowem nad Wartą w Xięstwie Poznańskim, pod Herburg, Altenburg, Hamburgiem i Lunenburgiem w Niemczech, pod Bornhof i Sechedst w Danii znajdowałem się. W dowód czego niniejszą deklarację własną podpisuję ręką”. Ale podpisu nie ma i tekst, noszący ślady poprawek, wydaje się zaledwie brulionem lub projektem.

Na tym urywa się sprawa tak pełnego zalet, ale nie robiącego jak widzimy kariery, oficyera Jana Hryniewicza. Że w sierpniu roku 1831 był kapitanem dowodzącym się z polecenia, które generał gubernator Miasta Stołecznego Warszawy wydaje pułkownikowi Kamińskiemu w sprawie „kwatery dla pani Hryniewiczowej, żony Kapitana Oboźnego Dywizji 1-ej Piechoty na miesiąc Wrzesień”. Co dzieje się z Hryniewiczem w listopadzie tego roku nie wiemy wcale. Wiemy tylko, że w roku 1840 już nie żyje.

Czy Zuzanna, mająca, jak się okaże, tak duże zamiłowanie do interesów, ceniła zalety swego drugiego męża? Można by tak sądzić z dość dziwnego faktu, że Michał Jan Nałkowski ukończył szkoły pod

*) Całość ukaże się wkrótce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

nazwiskiem Hryniewiczza. Z pisma, którym domaga się Zuzanna przepisania świadectwa na właściwe nazwisko syna wynika, że jego „ojczym i dobrodziej” tak kochał swego pasierba, iż zamierzał go usynowić. Jednak nie zdążył.

3. UCZUCIA I INTERESY

Weksli przechowanych w walizeczce jest kilka, zarówno większe jak mniejsze są ozdobnie litografowane. Późniejsze mają z lewej u góry dużymi literami napis S O L A, a poniżej, w obramieniu barokowych ornamentów mieści się wizerunek malowniczej budowli z kopułą, podpisany: *Bank Polski*. Jest to ściśle ten sam gmach, który od dzieciństwa pamiętam stojący przy Placu Bankowym w Warszawie.



... szczątki pięknego papieru listowego ze sztychami angielskimi, przedstawiającymi Tower of London...

Weksle „opiewają” na różne sumy: rubli srebrem 252.— albo 150.— albo 300.— a nawet 15.—. Wszystkie podpisane są przez dwie osoby małżonków Reinbergów, przy czym Nuchym używa pisowni *ei*, a Szajndla — *ai*. Zuzanna natomiast konsekwentnie nazywa ich Raynbergami, a niekiedy nawet „Raynbersiami”.

Jest widoczne, że znajdujemy się tam w ogóle na przelomie ortograficznym, skoro nie tylko nazwisko, ale sam dokument zmienia pisownię. W roku 1847-ym litografowany tekst brzmi: „Przyrzekamy na termin najakuratniej zapłacić podług Prawa Wexlowego”, gdy w 48-ym jest już: „podług prawa wekslowego”. Z tych przyrzeczeń w obu wypadkach nie przyszło Zuzannie, która ze swej strony do końca obstatek przy starej pisowni „wexel”.

Jeżeli prababka Zuzanna miała zamiłowanie do interesów, to nie miała do nich szczęścia. Zarówno bowiem „wexle”, jak „weksle” wykupione najoczywiście nie zostały, skoro znajdują się w moich rękach ściśle w sto lat po ich podpisaniu. Z obliczeń i zestawień Zuzanny wynika ostatecznie, że Reinbergowie zostali jej dłużni 18.700.— rubli srebrem.

Zuzanna pisze i odbiera listy w niejakiem Drażgowie, który nie jest jej własnością, tylko jej „brata” czy raczej szwagra, Romualda Otkiewicza, po którym zostały w walizeczce rysunki piórkowe różnych psów myśliwskich, szkice architektoniczne jakichś pałacowych elewacji i wymyślonych ogrodów ze szpalerami i pergolami, wreszcie szczątki pięknego papieru listowego ze sztychami angielskimi, przedstawiającymi *Tower of London*, *Buckingham Palace* i *Mansion House London*. Nad zachwycającym leżącym chartem z ogonem niby najcudniejsze strusie pióro wypisana jest dewiza: *Le Chien a l'affection d'un Ami, le Chat celle d'un courtisant*, z którą trudno mi jest się pogodzić.

Rozeznania się w interesującej osobie Otkiewicza nie ułatwia fakt, że w dwadzieścia przeszło lat później odnajdujemy niejakią Wandę Otkiewiczową jako „siostrę” w listach Celiny i Michała Nałkowskich. Mieszkała w Zgórsku pod Kielcami. Tam to Waclaw rozstał się z obojgiem swoich rodziców, by ich później urzecz raz tylko przelotnie w oknie wagonu. I spędził u tej „ciotki” ostatnie wakacje przed wstąpieniem na uniwersytet w Krakowie.

Drażgów więc, do którego adresowali swe listy Reinbergowie przez Moszczankę, Ryki a nawet Garwolin, nie należał do Zuzanny. Własnością jej była raczej Zawitawa gdzieś w pobliżu Siedlec. Nie widać, aby tam mieszkała, ale jest to miejsce, gdzie wyznacza „Raynbersiowej” spotkanie, pisząc „byłabym bardzo kontenta z takiego Gościa, starałabym się, aby nie narzykała, że była źle przyjęta w Moim Domu”:

Ten jedyny list Zuzanny do Reinbergów, jaki się w walizeczce przechował, stanowi ponadto z innych jeszcze względów godny uwagi dokument dziejowy. Będąc bowiem — po złożeniu i zapieczetowaniu laskiem — sam dla siebie wystarczającą kopertą, ma na odwrocie ręką Zuzanny wypisany adres: „Do rąk J m m Pani Raynberg kupcowej wódki w Warszawie ulica Grzybowska Nr 1025 na dole” oraz dopisek ręką obcą: „Nawlasne żądanie Adresantki posterestant: Kobylany”, oraz „niezgłosiła” się. I wreszcie, po stanowczym przekreśleniu tego wszystkiego wielką błękitną linią podwójną wzdłuż i w poprzek, ktoś jeszcze inny na tym napisał: „do Drażgowa Moszczanka”. Ten zawidy palimpsest, tak pełen niczym nie skłamanego wdzięku codziennej sprzed

stulecia rzeczywistości, należyście wyjaśnienia, czemu list znalazł się ostatecznie w swym punkcie wyjścia, to jest u Zuzanny. I świadczy, że poczta ówczesna, której trzy zatarte stemple widnieją na powikłaniach tekstu, istotnie zrobiła, co mogła.

Jeżeli pomyśleć, że z listów po prababce Zuzannie nie przechowała się ani jej korespondencja miłosna, ani małżeńska, ani rodzinna, ani towarzyska — tylko te jedne listy Reinbergów — zapewne dlatego, że wraz z weksłami stanowiły dowody jej nieodebranej „należności”. Że — dalej — listy Reinbergów przechowywała nie tylko ona sama do swej śmierci, ale przechowywał je przez całe życie Nałkowski Michał, potem Nałkowski Waclaw, potem wdowa po nim i na ostatku ja — w ciągu całego stulecia — podczas, gdy w Wojnie Światowej zginęły na wsi zabezpieczone w skrzyni rękopisy ojca, a w czasie Wojny Ostatniej — złożony przez matkę w redakcji *Oblicza Dnia* cały tom drugi *Jednostki i ogółu* w rękopisie i uporządkowanych wycinkach. Jeżeli zważyć wreszcie, że w roku czterdziestym czwartym spaliły się w moich archiwach listy Zeromskiego, Berenta, Irzykowskiego, Karola Szymanowskiego, Ludwika Licińskiego i Brunona Schulza, nie licząc cennej korespondencji pisarzy żyjących — to ocalenie listów Reinbergów do Zuzanny Hryniewiczowej muszę uważać za fakt wyjątkowy i niejako wskazanie historii, które mi do czegoś zobowiązuje.

Utrwalony w nich został mianowicie szczególnie los mieszkających sto lat temu w Warszawie rodzin żydowskich, uzależnionych od wstrząsu ekonomicznego, jaki w związku z uciskiem politycznym podkopał wówczas byt drobnego a po części i większego ziemiaństwa. Zarówno mechanizm przeplatających się i ściślej zaciskających węzłów życia między tymi odrębnymi sferami, jak ich swoista etykieta i obyczaj, znajdują w tych najwspanialszych dokumentach nieoczekiwane świadectwo i dość nowe oświetlenie.

Rodzina Reinbergów była dla Zuzanny Hryniewiczowej rodzajem banku, reprezentującego jej interesy. Za ich pomocą robi w mieście sprawunki, odbiera należności, prowadzi procesy, czuwa nad swymi sprawami. Z początku idą one pomyślnie, obie strony mają do siebie zaufanie i darzą się wzajemną życzliwością. W liście z dnia 27 sierpnia 1845 roku Reinbergowa zdaje sprawę z dość zawiązanego przebiegu wydobycia dla Zuzanny od komornika sumy złp. 1.890.—. Jest to dług niejaki pani Nowakowskiej, zamieszkałej w warszawskim domu Zuzanny i zalegającej z komornem, „Co się tyczy Cygary”, pisze Reinbergowa dalej, „mam dobre dla pana Michasia, ale z tą okazją nie mogę posłać z różnych przyczyn... na drugi tydzień niezawodnie posłę przez dobre o-

kazy. Okowita na teraz spadła, ale mam nadzieje w Bogu, że pojdzie w Góry i musimy dużo zarobić...”. „Niezawodnie postaram się o dobre Naityczanki dla Pana Michasia, gdyż tego wart abym dołożyła wszelkie starania dogodzić Panu Michasiowi”. List kończy się etykietalnie: „Mąż mój i dzieci posyłam Nayniższy Ukłon, mąż sam byłby pisał lecz że go nie ma w domu, pojechał naprzeciw Okowity”.

W rok później stwierdzamy dalsze zacieśnienie się węzłów przyjaźni osobistej i handlowej spójni. Reinbergowa pisze: „List z dnia 29 Czerwca odebrałam, co mi bardzo cieszyło słysząc że WielPani się znajduje w dobrym zdrowiu wraz z rodziną, niechaj Pani Dobrodziejka nie dziwi, że do tego czasu nie odpisałam, gdyż iak ten List doszedł nie byłam jeszcze w domu bo iechałam na wesele Berusia, a powróciwszy do domu musiałam zbiegać na Interessa które zalegały podczas niebytności moiej”.

„Beruś i Basia i wszystkie dzieci są zdrowe i pozdrawiają panią wraz z tym już Beruś się ożenił i chwala Bogu dostał dobrą żonę... Co się tyczy do Parasola od Wiktorji do tego czasu nie ieszczę nie robiłam bo nie miałam czasu... Żelaza nie poselałam bo chciałam kupić u Eisenmana lecz powiedział że bez miary iaka grubość i długość nie można wiedzieć iaka żelaza... O wszystkie rzeczy co Pani Dobr. pisze weźmie sobie czasu aby to dopełnić podług życzenia, gdyż w tych dniach bardzo iestem zatrudniona Interessami Wielszewskich z Panem Kobylńskim”.

„Beruś pisze z Łomży i dopituje się o zdrowie Pani wraz z Michasim — całe Kochana Familia Paniusi pozdrawiam”.

W październiku tegoż 1846 roku czytamy: „Skoro tylko mąż przyedzie przez pierwszą pocztę napiszę aby Pani Dobr. przyjechała dla załatwienia Interessów. Rękawiczki kupiłam dla Syna na prezent Imieniny, lecz nie miałam z kim odesłać, bardzo mi nie miło, że jeszcze do tego czasu nieodesłane żelazo, które już dawno leży, i Likwosor i Wódka, ale to nie jest moja wina...”, „z Pomocą Boską nadal dobrych Interessów porobiemy i pieniądze zarobiemy”.

4. UPADEK RODZINY REINBERGÓW

W lutym 1847 r. te świetne nadzieje i radość ze zdrowia obu zaprzyjaźnionych rodzin mierzchną. Reinbergowa fakt niewysłania pieniędzy tłumaczy nieobecnością męża. Pisze też: „Ojciec męża był słaby, o co WielPani w każdym liście się dowiaduje, ale niestety że Umarł mozesz sobie WPani wystawić nasze zmartwienie... ia także w domu mam swoje zmartwienie, albowiem Szeruś, mój już szusty tydzień słaby i doktor co dzień odwiedzi go oprócz kosztów co ponosze ieszczę tyle

się iak mogę a iak Mąż wróci wszystko zapłaci”.

Jeszcze w rok później cała ta idylla, wspólnota interesów równie jak ich dotychczas przestrzegana godność, chwieje się, zakłócona przez dramat.

Dnia drugiego stycznia roku, pamiętnego w dziejach Wiosną Ludów, Reinbergowa pisze: „... z wielką boleścią wyczytałam z Listu, że Wna Pani sądzi, że mój mąż iest już wolny—ale niestety że ten kat któren mnie zgubił wraz z moimi dziećmi ieszczę nie wypuścił męża moiego na wolność a już trzy miesiące się skaczą, a nie chce go wypuścić, niewiem iaką radę sobie dam, gdyż moia siła już nie wystarczy biegać za kawalkiem chleba dla moich 5 cioro dzieci żadnej pomocy nie mam a sama muszę wszędzie być a nikt mnie nie ma wyręczyć”.

W kwietniu tegoż 1848 roku zabiera głos sam Reinberg z prawdziwie pańską pogodą ducha: „List WielPani otrzymałem w piątek bardzo nam było miło gdy dowiedzieliśmy się stan zdrowia WielPani i całej Familji, gdyż tego pragniemy aby WielPani zawsze była zdrowa, ale jakie miałem zmartwienie wyczytawszy z Listu że na łolwarku był ogień, ale jednak zdaje się, że WielPani nie bardzo na tym cierpiała”.

... Interessa nie bardzo pomyślnie z powodu trwania Świąt ale z pomocą Boską polepszy się i wszystko będzie dobrze tak dla nas, tak i dla WielPani gdyż na to dążymy aby zadosyć uczynić żądanie WielPani i wywdzięczyć się za tyle grzeczności i usługi które my doznajemy z strony WielPani i po tyle niewygód Sowite wynagrodzie. Co do moiej iazydy do czyszkowa dopiero dziś jadę, nie mogłem w przód jechać z dwóch przyczyny, jedno bałem się aby Pan Bogacki zaraz po Święto nie przyjechał... a główny przyczyna, to się może WielPani Sama porozumie, że mi to brakowało, co bez tego ani się rusz... Dziś znowu uzyskałem od Pana G. urlop 6 ciodniowy, to spieszam i jadę, a iak tam skaczą to przyjadę do WielPani i ustnie więcej pogadamy, cukier przywiezie dołączony”.

W ciężkiej sytuacji „urlopowanego” więźnia Reinberg nie zapomina o obowiązkach kurtuazji: „Więcey tymczasem nie mam co donieść życzę WielPani wszystko dobre żeby Wszchemogący nasz pocieszył abyśmy naszych cierpień radośnie opisali — zostaie z największym uszanowaniem zawsze życzliwy — Reinberg”.

„Zona która nie ma czasu sama pisać bo jest w mieście kłania się iak najmocniej, dzieci Basia i Bobek kłaniają się serdecznie Panu Michasiu najmiłszy ukłon posyłamy Bejla się kłania WielPani i bardzo dziękuje za dobrą pamięć, jest chwala



... nad zachwycającym, leżącym chartem z ogonem niby najcudniejsze strusie pióro wypisana jest dewiza: „Le chien a l'affection d'un Ami, le chat celle d'un courtisant”...

kłopotu mieć w domu Zona jego także tu jest nie opisać moiej dolegliwości. Mąż miał już dawno jechać po Okowity, ale te okoliczności wstrzymali nasz zamiar, ale w tamten tydzień pojechał, iak powróci donieść będę WP. Żądane złp. 1.000.— posłę przez pocztę oraz chusteczki dla Pana Michasia”...

„Dzieci chwala Bogu zdrowi, malec zdrów i pięknie rośnie, dziękuje za obietnicę dla niego, day Boże aby WPani doczekała praw wnuków i dla nich tyż przypsobić koszulki i inne rzeczy — co do naszych Interessów spodziewam się że wszystko będzie dobrze aby Bóg dał zdrowie będzie mi się starać to wszystko wynagrodzić... Co do pani Maczeiewska niechaj Pani będzie spkjojna uszczam

Bogu zdrowa i właśnie jest obecna u mnie iak pisze ten List”.

W maju tegoż roku Reinberg donosi: „z Panem Gąsowskim skoczyłem w taki sposób, że do Świętego Jana placę mu co miesiąc po zł. 110, a on mnie jeszcze nie uwolnił z Aresztu tylko mi daje urlop, a po Świętym Janie dopiero ma się ze mną ułożyć w sposób co by był dla mnie i dla niego dobrze i dotego będę niezawodnie potrzebował pomocy WielPani”. Przypuszcza mianowicie, że gdyby Zuzanna przyjechała do Warszawy i wstawiła się za nim do pana Gąsowskiego, to by na pewno coś „wyskurala”.

W sierpniu nowe nieszczęścia spadają na Reinbergów. „Musze WielPani opisać cały stan rzeczy dlaczego do tego czasu byłem cichy i nie pisałem do WielPani

to jest, że pojechałem w drogę do Skulmowskiego i w Augustowskie, gdzie podziwiałem się odebrać kilka tysięcy, tymczasem tylko szkoda *Expens*, z tem trzeba procesować tegoż niema w domu jeden powiada po żniwach i tak z niczym przyjechałem do domu. Przyjechałszy do domu miałem wielkie gryzoty, gdyż Siostra moja najstarsza matka to cioro dzieci Beyli Matka umarła i musiałem przez dwa tygodnie pokutować w domu siedzieć nie wychodzić, podług naszej Religij, teraz Żona chora malec bardzo słaby bo go odsadzili z piersi i mamkę odpędziłem i jeść nie może, więc wpada w suchoty żal mi wielki i do nikogo nie chce iść iak do mnie, to muszę dzień i noc koło niego mi trężyć, Beruś z żoną są u mnie siedzą na karku muszę im dać jeść i chcą pieniędzy i wszystko się na mnie skupiło. Panu Gąsowskiemu płacę co miesiąc Zp. 80 i Elemente 30 miesięcznie, a Bóg świadkiem że nie wiem skąd wziąć lecz jeść nie trzeba a to muszę dopełnić, bo gdybym nie miał teraz wolności to biedna Żona moja nie wytrzymała gdyż słaba jest i przytym się jeszcze przycpiło coś innego — to możesz się Wiel Pani zrozumie jak wygląda, nąglówniej co mnie wstrzymało pisać lub jechać do WielPani, gdyż Moja Żona robi Interes z Hrabim Suchodolskim, więc od początku Lipca ma co dzień jechać do Siedlec dla skądzenia tegoż Interesu więc dzień w dzień się tak odwieka i zawsze coś innego tamuje, ale jednak z pomocą Boską przyjdzie do Skutku i tam poiedzie, gdzie może zarobić parę tysięcy, więc umówiliśmy się że Żona wstąpi do WielPani i da kilkaset złotych i rozmówi się z WielPanią wszystko lepiej jak pisać, aże to długo trwa, a wie że WielPani zapewne już cierpliwości brakuje... ajak żona poiedzie to napiszę wprzód do WielPani dla spodziewania się na nią, aby Bóg dał iey zdrowia, proces WielPani nie był jeszcze a teraz przy feria niezawodnie nie będzie więcej nie mam co donieść wszystko jest jak było, spodziewam się co lepszego donieść, Żona dzieci Matka pozdrawiają WielPanią i ukochanego Syna, zostaje z usza...

Reinberg

Pierwszego września 48 roku widzimy znów ładne, wprawne pismo Reinbergowej. „Listy do mnie pisane otrzymałam, z których miałam wielkie gryzoty, gdyż wyczytałam że WielPani zrobi nam wyrzuty że nigdy słowo nie dotrzymamy a wszystko się skączy na obietnicach — Zda je mi się że WielPani może już być przekonanie ile mi chcemy aby WielPani była spokojna i zaspokoić ją, bo kto jeszcze tak zasłużył na dobrodzieystwa jak WielPani, bo wiemi dobrze co WielPani dla nas dużo zrobiło i życzy nam dobrego, a mi tyż nawzajem dążemy nato abyśmy się jak nąprędzey uścili a nawet z procentami, bo gdybyśmy mieli innej broń Bo że miśli na przeciw WielPani, to byśmy wcale nie posiadali sumienność i charakter ludzki”.

Epos rodziny Reinbergów ma się już ku końcowi. Z grudnia 1848 pozostał ostatni list Reinberga. Pisze do Michała Nalkowskiego co następuje:

„Wielmożny Panie!

„mocno żałuję że nie mogę teraz przyiść Wielmoż. Panu w pomoc z pieniędzmi, gdyż iestem teraz w bardzo krytycznym położeniu, albowiem żona moja już w luźku 4 tygodnie a wiadomo WielPanu jak tylko Żona leży to już wszystko opada, bo ja jestem związany nie mogę się nigdzie wyruszyć. Kochana Mamusia Wgo Pana najlepiej o wszystkim jest przekonana lecz nąystaranniej będę się starał aby WielPanu teraz w tej potrzebie wyratować, mam Nadzieja że po Nowym roku odbiorę kilka tysięcy Złotych które zaraz zaprowadzę do Wgo Pana i z wielką pociechą to uczynić będzie. Powóz mam bardzo piękny dla Wgo Pana, którego mogę nabyć tania bo się znajduje w Reçe Pana co jest ze rana w stosunkach handlowych więc chętnie mi go da... dołożę wszelkie staranie aby Wny Pan był zadowolony tak co do pojazdu iak i do innych Interesów... życzę wesolych Świąt i dobre powodzenie, co życzy Szczery Przyjaciół N. Reinberg”

Widać z tego, że pogodę ducha i przedziwną wiarę w lepszą przyszłość zachował stary Reinberg do końca. Do końca też nie uchybił obowiązkom przyjaźni i grzeczności.

W sierpniu roku 1849 pisze Reinbergowa: „Nie chciałam donieść dobre Panią o mojem nieszczęściu gdyż znając charak-

MIECZYŚLAW JASTRUN

N O W E W I E R S Z E W O J N A W R U I N A C H

Adolfowi Rudnickiemu

Płomień może być jak drzewo,
Jeśli go ludzie umiejscowią i odgródzą,
I może być jak las przedpotopowy,
Jeżeli mu zawczasu nie obetną skrzydeł.

Płomień urodzony na skrawku ziemi
Może w każdej godzinie objąć całą ziemię.
Mogą w każdej godzinie
Runąć

Armie powietrza, ziemi, oceanów,
Zbrojne w dalekowzrocne pociski bez oczu,
Kierowane wolą niewidzialną, lecz celną,
Zbrojne w moc rozrywania atomów,
Rozsypywania w gruzy miast,
Których dni są jak wakacje dzieci
Zagubionych w zabawie, gdy śmierć stoł blisko,
Jak obey olbrzymiego wzrostu i jeszcze większego cienia.

Złoto, metale, nafta, węgiel,
Przemysł nastawiony na pośpiech,
Jak zwrotnica pociągu, który zderzy się nocą.
Książęta kapitału,
Których pieniądze w każdej sekundzie
Uruchomić może miliony rąk męskich,
Co nie chcą nosić broni,
Lecz nosić ją będą,
Chmury pocisków, huragan żelaza,
Uran i wodór,
Wykradzione czystej naturze
Prawa fizyki i chemii,
Wzory nauki i wzór państwa,
U, H i USA

Tam gdzie gazety nie odróżnisz od dolara,
Gdzie własność jest jak twierdza, która w lęku przed obłężeniem
Prowadzi atak
Pod osłoną wyobrażeń podstępnych,
Które żywią się krwią
Jak bóstwa Azteków.
Broń, której nie wolno zardzewieć dla muzeów przyszłości,
Musj być użyta zaraz
Przeciw ludom,
Których krew jest lżejsza od metali.

Prawdopodobne jest każde szaleństwo.
Tak: rzuca się w otwarte okno samebójstwa
Złodziej, który zagarnął bank,
Gdy czuje, że jest wykryty.
Tak do ostatniej chwili będzie niósł swą kradzież,
Zakochany w niej,
Jak złoczyńca obrazów w twarzy Giocondy.

Przeszłość jak gwiazda jest nierzeczywista.
Należy udowodnić kłamstwo ludziom,
Którzy pokazują nam w nieistniejącej perspektywie
Urodę Cytery.
Tam nie ma nic,
Tam jest śmierć,
Zawalenie się kontynentów,
Dżuma z próbówek,
Szczury
W ruinach Florencji.

To są imperia,
Których przemysł pracuje dla przyszłych archeologów.
Ci smutną uczeni odgrzebią spod skamielin planety
Podziurawione helmy, ocalały kawał muru
Z freskiem błękitnym nieba jak z palacu, odkopanego na Krecie,
Wraki, widma okrętów i czarne szkielety
Ryb drapieżnych powietrza, które splonęły
W powszechnym pożarze.

Nie minął jeszcze czas ludożerców,
Ludy, co znają ich twarze
Spać nawet muszą z otwartymi oczami,
Z Ibaną ciężkimi na sercu.

Ludzkość, która narodzi się
Będzie większa niż wszystko, co stworzyła przeszłość,
Ludzkość, która narodzi się
Z myśli,
Z marmuru,
Z tkaniny krwi i płomienia
Ocali
Przeszłość i przyszłość.

Tu stulecia krzyżują się z dniami,
Noc jak wagon najeżdża na świt,
Chwiejnie jak po gruzach Jeruzalem
Ocalały z rzezi stąpa żyd,
Ociągając się kroczy Słowianin
Wśród strzaskanych chodnika płyt.
Ścięty klon oplakuje ulicę,
Która puste jak noc ma źrenice.

O tych dniach mógłby pisać Tacyt
Mowy swojej beznamiętny tok
Łącząc z wdziękiem przechodzącej Gracji.
Jeszcze jeden cień, jeszcze krok,
Orly ognia z czarnych kondygnacji
W strzępach skrzydeł zlatują na wzrok,
A już bruk się wygładza jak twarz
Dobra, którą nie od dzisiaj znasz.

Tu wśród ogni, tych lamp ostatecznych,
W górach dymu czarnego do gwiazd,
W błyskawicach mieczów obosiecznych
Szedłem wiedząc, że jeszcze mam czas,
Wiek był chmuray, mój dzień niedorzeczny,
Słowo tarte o słowo nie blask
Ale ciemność krzeszało i ciszę.
Dla przyjaciół wyrazy te piszę.

Pod mą ręką popiołów drży warstwa,
Pachnie śmiercią plwiczny loch —
Tak w ruiny padały mocarstwa,
Tak republiki świata szły w proch,
Na łyżeczce nasenne lekarstwo,
Gorzki odwar z kory czarnych olch,
Ale oczy, co widzą w ciemności,
Już czytają imiona przyszłości.

Nie mi z tego, daleka pogoda
Dni, co w szary odchodzą cień,
Nie zachowasz i swoją twarz młodą
Innym oddasz, aby pilj z niej,
Bym w ruinach krzyżowych pochodów,
W państwie ludów wyciętych w pień.
Ciebie widział, twój uśmiech, twe rysy
Jak zatarte grobowców napisy.

Ze mną byłaś, gdy na wpół umarły
Topór z ognia widziałem i kaźń,
A gdy bramy grobów się zawarły,
Dla twych wnuków piszę trudną baśń,
Rzeczywista, choć rysy ma larwy —
Będzie w niej zła nieludzka waśń,
Będą cienie, jak gdy lampę wnoszą
Między śpiących i trwożny mrok piosną.

Lecz kto nocą wzrokiem gwiazdę złowi,
Będzie gwiazda bliższa człowiekowi.

SPOTKANIE

Zmierzch letną naśladuje powolne stapania
Muliów, cisza sadzami opada w kominach,
Z księżycem leca łuski jak podczas skrobienia
Srebrzystych ryb.

Jakaś godzina nagle z ciemności wyłonił
Stół, uginający się pod owocami, które
Są okrągłe i dają się objąć twej dłoni
Jak żywy kształt.

Obłoki nisko płyną, gubiąc ciepłe pióra
Po drodze, dzieci się w pokoju umawiają
Z rzeczami, że im będą służyć jak zwierzęta,
Postulsze snom.

Mój dom stał na niejednym miejscu i pamięta
Jak okręt — brzeg i niebo niejednego kraju,
Z niejednego spotkania wyniósł jak marynarz
Perły i sól.

W portowym mieście nie ma dawnych domów złotych,
Został zarys spalony, tren w czarnym kamieniu —
Nie wskrzesi miasta, które zmarło, morza dotyk
Ni gniewny lew.

Przyjaciel tu spotkany ma twarz jak rozstanie,
Niegoloną od dawna, jak morszczyzny szorstką.
Dzieciom: niegdyś bawiliśmy się w podróż morską,
Cóż, kapitanie?

Wiersze z tomu „Sezon w Alpach”, który ukaże się w najbliższych dniach nakładem „Książki”

ter Pani i szczerść ku mnie to mam zaufanie że mój smutek tyle dotknie Panią jak swój własny, gdyż mnie okropnie niechęć dotknęła to jest że mój kochany Mąż wraz z moim synem Jankiem w jednym tygodniu nagle umarli, nie potrzebuję opisywać terazniejsze moje położenie gdyż kto lepiej wie iak droga Pani a teraz zostałam bidną wdową i chora z małymi sierotami i bez fundusów — przez to upraszam dobrą Panią o cierpliwość i aby miała wgląd na mój biedny stan i biedne małe sieroty i była cierpliwą dopóki mnie Bóg dopomoże z mojej biedy... i zarazem dowiedziałem się że z łaski Boga był ślub Pana Michała więc zyczę mu wraz z swoją małżonką i Panią szczerść i dobrego zdrowie na wieki”.

Niestety zarówno szczerść jak zdrowia wystarczyło młodym Michałowi i Celinie, rodzicom Waclawa Nałkowskiego, na bardzo niedługo.

5. POCHWAŁA ZUZANNY

Schowana przez sto lat w walizeczce Zuzanna ukazała się nam oto z nienajlepszej i nieledwie jedynej strony, jako osoba zamiłowana w interesach i wytrwale pilnująca swoich — na przekór przerastającym ją żywiołom i najoczywistej wbrew jakiegokolwiek nadziei.

Ze to usposobienie nie uszło jej życia różniami, widać ze szczególnego pomysłu, który podsunęła jej Reinbergowa. Pragnęła ona mianowicie, by Zuzanna z jej listem polecającym udala się osobiście do niejakiego Węglińskiego i „wyskurala” odeń dla siebie pieniądze, które ten pan ze swej strony winien był Reinbergom. List ten stanowi raz jeszcze dowód delikatności uczuć, którymi powodowała się Reinbergowa, a zarazem jeden jeszcze dokument tak wielu rozczarowań prababci Zuzanny. Adres brzmi: „Jaśnie Wielmoż-

nemu Adamowi Węglińskiemu”. A oto rzezonny tekst, pochodzący z grudnia 1848 roku:

„Pomimo, że JW Pan omnie zupełnie zapomniał co jest przeciw sumieniu i charakteru godnych ludzi, bo na tyle dobroci i dogodności które JW Pan uczyniłam nigdy mnie z pamięci oddalić nie powinien był, jednak ja ciągle nie mogę zapomnąć bida które do tego czasu doznaję, bo ciągle muszę płacić długi nie tylko dla mnie tylko dla JW Pana i to jeszcze z procentami i kosztami bo kaźden na mnie ma prawo wexlowe, a JW Panu to nie obchodzi spokojnie Pan sobie siedzi a mnie dręcąc i nie mogę zadosyć uczynić moim drobnym dzieciom, bo co mam zrobić na chlib mu szę te pieniądze obrócić na procenty. Niechay JW Pan będzie siedzią czyto jest sumiennie za dobre złe oddać, terazniejszy czas zwykle tak bywa, ale Pan Bóg za to karze które takowe postępowanie przedsięwzięją.

Oddawcini tegoż listu Wna chryniewicz jest moją dobrą przyjaciółką która mnie wyratowała i przyszła mi wpomoc z kilku tysięcy złotych na splacenie dla JW Pana zaległych procentów, gdyż nie mogła znieść naszą nędzę i bida co nam zgnębili z komornikami i zajęciami co nam by wszystko byli zabrali, ale ta Litościwa Pani wyratowała nas z bity na niejaki czas ale teraz ta Pani sama jest w wielkiej potrzebie, a ja niewiem z kąd wzięść, bo te pieniądze nie wzięłam dla żadnej spekulacji cobym mogła z temy piędzmy skorzystać, lecz tylko na uiszczenie się dla WPana, aże Pani ta sama widzi nasze rzetelność i jest obeznana w Interestach między mną a JW Panem więc nie oszczędza Swoje iatyge i Expense iakie mogą być przez taki podróż, i udaje się do JW Pana z prośbą aby JW Pan racył weyrzyć w naszey bity i jednak niezapomnąć, dobroci które

mi okazywali JW Panu i choć kilka tysięcy złotych tej pani dać, gdyby JW Pan niemiął w gotówce to ta Pani weźmie efekte które bardzo a bardzo aby JW Pan był tak dobry i nie opuścić tej Pani z riczym bo Bóg świadkiem że ta Pani zastużyła abym za nią życie ofiarowała bo mnie też utrzymała przy życiu ale nie tylko mnie Samą i cała Familia moją, więc jest moim obowiązkiem aby uczynić wszystko co tylko żąda, mam Nadzieja że bóg wynagrodzi za iey dobre czyny i sowicie ją obdarza ale tym czasem ta Pani bardzo jest potrzebna, udaje się z prośbą do JW Pana jak dzieci do swoich rodziców i błażać o poratowanie mnie i nie opuścić tej Pani bez piędzdy, bo ta Pani mnie więcej obchodzi iak mnie Sama, bo ja muszę cierpieć bo sama ta winna muszę przypisać, ale ta dobra Pani za co ma cierpieć, wszakże nigdy nie będę mogła przed Panem Bogiem się usprawiedliwić, aże mi jest znany charakter i sumienie JW Pana więc jestem w tej Nadziei i zaufania że mi JW Pan odmówić niebędzie i zadosyć uczyni moja żądania, gdyż to stanowi moja cała życie i utrzymania się z dziećmi, iak tylko ta Pani będzie uspokojona — aja z moiej strony będę błażła Wszehmocnego Boga aby JW Panu dał zdrowia i życia i wszelkie pomyślności aby JW Pan wrócił na pierwsze stopnie Jego życia — reszta ta Pani ustnie wszystko przedstawi JW Panu nasz stan i bida —

Zostaję z uszanowaniem służa
S. Reinbergowa

Ostatnie dwa listy są już z roku 1850. Ich tenor jest ten sam. Prośby skierowane do pana Węglińskiego nie odniosły widać skutku, czy może Zuzanna nie uznała za właściwe tam pojechać, skoro list ostentacyjnie figuruje w zbiorze, — bo jednak raz jeszcze upomina się o swoje dobro. A

Reinbergowa raz jeszcze przyrzeka, że się „uści”, a także, że kupi książkę, którą Zuzanna mieć pragnie. „Sprzedam ostatek moje lachy a których nawet już wiele nie mam i przyszle dla Pani piędzdy”, obiecuje.

Jeszcze jedno słowo o Zuzannie. Do tego, kim była, dodać trzeba sprawiedliwie krótką wzmiankę, która w dwadzieścia przeszło lat później znalazła się w jednym z listów ostatnich Michała Nałkowskiego, jej syna, do wnuka jej, Nałkowskiego Waclawa.

Waclaw był wówczas w Krakowie, gdzie przybywszy ze Zgórska, zapisał się na matematykę. Przed miesiącem widział po raz ostatni swych rodziców na krakowskim dworcu kolejowym, gdy wracali oboje do domu ze Szczawnicy.

Wkrótce po tym widzeniu przyszła z Lublina depesza o śmierci matki. Celina Nałkowska umarła nagle, stojąc przed toaletą ubrana do wyjścia — w chwili, gdy zawiązywała w lustrze woalkę na kapeluszu. Strata matki, ukochanej nade wszystko, pogrążyła Waclawa w rozpacz. W listach do ojca pisze, że nie chce żyć.

Już wtedy Michał leży ciężko chory w lubelskim szpitalu. „Spowiadałem się już i przyjąłem Przenajświętszy Sakrament”, pisze. Mimo to stara się jeszcze pocieszyć rozpaczającego syna. „Grom jaki w nas uderzył, oddały całą siłą woli, tak jak i mnie to każę; — uderz czołem przed Majestatem Boga i przyjmij z pokorą Jego Wolę Świętą. Pochowałem i ja Matkę, którą równie kochałem”.

To jest już wszystko o Zuzannie. Michał Nałkowski, dla którego Reinbergowie kupowali kiedyś „likwory i Cygary” i życzyli mu gdy się ożenił „szczerść i dobrego zdrowia na wieki”, zmarł w niecałe dwa miesiące po śmierci swej żony Celiny.

Zofia Nałkowska

IOZEF CHAŁASIŃSKI

LEKCJA SOCJOLOGII ŻOŁNIERSKIEJ

Od „Pieśni o Rolandzie” do „Szosa Wołokołamskiej”

BAURDŻAN Momysz-Uly jest pułkownikiem Armii Czerwonej. Takich pułkowników było w Armii Czerwonej bardzo wielu. Wszystkie jedno, który z nich tak się nazywał. Jest to nazwa dla całego określonego „gatunku” ludzkiego, nazwa „syntetyczna”.

W czasie bohaterskiej obrony Moskwy na jesieni 1941 r. Baurdżan Momysz-Uly był lejtnantem i dowódcą batalionu; awansował za wojenne zasługi jako żołnierz frontowy, człowiek pola bitwy. Batalion jego wchodził w skład 8 dywizji gwardii im. generała majora Iwana Panfilowa, która się okryła sławą w bitwie pod Moskwą.

Do pułkownika Baurdżana Momysz-Uly zgłosił się pewnego dnia korespondent, który według jego opowieści opisał dzieje bohaterskiego batalionu „panfilowców”. W ten sposób powstała wspomniana opowieść o bitwie pod Moskwą, „Szosa wołokołamska” Aleksandra Bekka, która zdobyła sobie uznanie zarówno wśród swoich w ZSRR, jak i zagranicą. Thumaczona jest na szereg języków, w tym na angielski, francuski i polski.

Pułkownik Baurdżan Momysz-Uly nie łatwo zgodził się na tę opowieść. Nie żywił sympatii dla literatury wojennej. Wreszcie uległ, a pertraktację co do swojego udziału w robieniu tej literatury zamknął słowami: „Jeżeli mimo wszystko będziecie kiedykolwiek o mnie pisali, proszę nazywać mnie po kazachsku: Baurdżan Momysz-Uly. Niechaj wiedzą wszyscy, że jestem Kazachem, pastuchem, który pasał barany w stepie, że jestem człowiekiem bez nazwiska (10)”.

Baurdżan Momysz-Uly nie miał zaufania do literata, że potrafi sumiennie oddać żołnierską prawdę wojny. „Wiecie — mówił do pisarza — co to jest sumienie człowieka pracy, sumienie człowieka w ogóle, ale o sumieniu żołnierza nic nie wiecie. Czy rzucaliście już kiedyś granat w schron nieprzyjaciela? Nie... Więc jakże będziecie pisać? ...Znacie radosne uczucie miłości, a może i radość twórczości. Najprawdopodobniej żona dzieliła się z wami szczerściem macierzyństwa. Ale kto nie zaznał radości zwycięstwa nad wrogiem, radości z powodu czynu bojowego, ten nie zna najsilniejszego, najpięknniejszego uczucia radości. Więc jakże będziecie o tym pisać? (6-7)”.

Opowieść przedstawia nam proces na drodze jakiego zbieranina „cywilów” staje

się frontowym batalionem, jednostką bojową, „grupą społeczną” swoistego rodzaju. Jest to równocześnie proces formowania się „społecznej osobowości” żołnierza i jego dowódcy. Zaraz na samym początku w rozdziale opisującym pokonywanie strachu, opowieść wprowadza nas od razu w problematykę żołnierskiej „duszy”.

„Szosa wołokołamska” — to niewątpliwie rodzaj „socjologii żołnierza”. Ale równocześnie to coś dużo więcej. Historia pułkownika Baurdżana Momysz-Uly, dawnego pastucha baranów ze stepów Kazachstanu to coś bardzo ważnego z historii narodu kazachskiego, który w ciągu jednego pokolenia przemienia się z narodu pastuchów w naród mechaników. To również bardzo istotny fragment z historii formowania się narodu radzieckiego i w ogóle z socjologii narodu.

Gdzieś w lipcu 1941 r., kiedy inwazja niemiecka zagrażała bezpośrednio dużym połaciom zachodnich ziem ZSRR, lejtnant Baurdżan Momysz-Uly przydzielony został do nowo formującej się dywizji Panfilowa. Widzimy go na czele batalionu stacjonowanego w okolicy Alma-Aty w Kazachstanie. Grupa rekrutów prosto z cywila. Młody lejtnant przemawia do nich. „Ojczyzna — mówi — zawezwała nas do szeregów. Macie na sobie wciąż jeszcze cywilne ubranie. Wczoraj byliście ludźmi różnych zawodów — byli wśród was wczoraj i zwykli kołchoźnicy i dyrektorzy. Poczynając od dnia dzisiejszego jesteście szeregowcami i podoficerami Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Ja jestem waszym dowódcą. Ja rozkazuję — wy podporządkowujecie się. Ja narzucam wam swoją wolę — wy wykonujecie ją... Ojczyzna zaufała mi rozkazowanie, wam każeła wykonywać moje rozkazy (68-69)”.

Lejtnant mówił o cnotach żołnierza: o uczciwości żołnierza wobec ojczyzny, wobec rządu, wobec dowódcy. Na zakończenie mówił o honorze żołnierza. „I wreszcie honor — czytamy — wytłumaczyłem to na swój sposób. Istnieją dwa przysłówia kazachskie. Jedno z nich głosi: „zając umiera od szumu trzciny, bohater umiera w obronie honoru”. Drugie przysłówie składa się z niewielu słów: „honor jest silniejszy od śmierci”. Powiedziałem to po kazachsku i przetłumaczyłem na język rosyjski. Batalion w jednej trzeciej składał się z Kaza-

chów, reszta byli to Rosjanie i Ukraińcy (69)”.

Później lejtnant Baurdżan Momysz-Uly często będzie mówił do swoich żołnierzy. Zawsze prosto, konkretnie — przykładami. Od przyszłości kazachskich przechodzić będzie do rosyjskiego i naodwrot. Po ćwiczeniach, rozmyślnie prowadzonych w sposób wyczerpujący lejtnant mówił do żołnierzy: „To, coście wczoraj przeżyli, są to fraszki w porównaniu z tym, co was czeka na froncie. Sławny rosyjski wódz Suworow tak właśnie wychował swoich żołnierzy, którzy otrzymali miano cudownych bohaterów. Zostawił on nam przykazanie: „Ciężko jest na ćwiczeniach, będzie łatwo w boju”. Czy chcecie walczyć jak wojska Suworowa? Kto nie chce — dwa kroki naprzód! Kto nie chce — dwa kroki naprzód! Nikt się nie ruszył (81)”.

W pisaniu tej opowieści żołnierskiej, jaką jest „Szosa wołokołamska” pułkownik Momysz-Uly, dawny pastuch z Kazachstanu, brał czynny udział. Gdy korespondent opisujący jego opowiadanie, przyniósł mu do przejrzania pierwszą partię, pułkownik przejrzał ją starannie i porobił swoje uwagi. „Poniżyliście żołnierza — powiedział... Tak poniżyliście. Napoleon powiedział: „Człowiekiem kieruje strach i osobisty interes”. Do takiego rozumienia człowieka staczcacie się niekiedy i wy...”

— Ludźmi kieruje strach i interes osobisty... A ideały? A szlachetność, sumienie, honor, patriotyzm, gotowość do dzielenia z towarzyszami trudności i niebezpieczeństw, poświęcenie się w walce? Czyż to są tylko puste słowa? Czy bez tego moglibyśmy zwyciężyć? (108).

„Szosa wołokołamska” jest książką bardzo ludzką. Równocześnie jest ona zupełnie pozbawiona sentymentalizmu. Mamy w niej człowieka żywego, ale przedstawionego „socjologicznie”, nie „psychologicznie”. Widzimy i czujemy go poprzez technikę walki z wrogiem. „Szosa wołokołamska” jest studium wyraźnie określonego, socjologicznego typu ludzkiego. Jest to człowiek uwikłany w śmiertelną walkę z wrogiem, żołnierz z pierwszej linii frontu.

W książce tej człowiek wyrażony jest w kategoriach pola bitwy. Nie w kategoriach warsztatu pracy, zabawy, doktryny, religii, dążeń społeczno-moralnych, lecz w kategoriach tej sytuacji, w której z dwóch śmiertelnych wrogów jeden musi zginąć. Oczy-

wiście to pole bitwy opiera się na skomplikowanym rusztowaniu historii i społeczeństwa. Ale to dalsza sprawa. „Szosa Wołokołamska” jest migawkowym zdjęciem bitwy, a nie jej społeczno-historycznych okoliczności. Zdjęcie to pokazuje nam człowieka zamienionego w śmiertelne narzędzie zniszczenia swojego wroga. Pokazuje nam człowieka dostosowanego do technicznych zadań karabinu, granatu, czołgu.

Takie techniczno-realistyczne przedstawienie człowieka, w kategoriach techniki pola bitwy, a nie warsztatu pracy i twórczości ludzkiej, wywołuje uczucie grozy. Pole bitwy, które redukuje człowieka do technicznej funkcji zabijania czujemy jako osobistą sprawę moralną. Równocześnie widzimy tu historyczną instytucję całej ludzkości uświęconą przez wieki społecznej tradycji. Uświęca ją tradycja honoru i ludowej kultury Kazachstanu, uświęca ją honor rycerza średniowiecznego i uświęca ją honor żołnierza z ludowej armii współczesnej.

BATALION I DOWÓDCA

W bitwie o Moskwę batalion lejtnanta Baurdżana miał do obrony odcinek frontu. Siedemset żywych istot ludzkich — dawni urzędnicy, robotnicy, kolechoźnicy — oderwanych od rodzin i rzuconych na pole bitwy, przeksztalcilo się w jeden oddział bojowy. Batalion okrył się sławą, przeprowadziwszy szereg ryzykownych operacji. Żołnierz nauczył się zwyciężać. Zasmakował w zwycięstwie. Znikł strach przed „niezwyciężonym” Niemcem. Lejtnant opowiada, jak przed pierwszą walką przygotowywał żołnierzy do boju, powtarzając im kazachskie przysłowia.

„Wróg jest straszny — mówił — póki nie spróbowałeś smaku jego krwi. Idźcie, towarzysze! Sprawdzcie, z czego się składa Niemiec. Czy będzie krwawił, kiedy go spotka wasza kula? Czy będzie wyl, kiedy mu wbijecie w ciało bagnet? Czy umiera, będąc gryzł zębami ziemię. Niechaj gryzie — poczęstujcie go naszą ziemią! Spróbujcie, jaki ma smak jego krew! Generał Panfilow nazwał was orłami! Naprzód orły! (98)”.

Ale czająca się ochota ucieczki z tego pola śmierci nigdy nie została całkowicie przewyciężona.

W tym batalionie frontowym „Szosa Wołokołamskiej” nie ma miejsca dla wielkich

słów opiewania indywidualnego bohaterstwa. Zbyt dobrze tutaj wiadomo, „jak walczą ze sobą, jak szarpia się nawzajem i wyrwywają sobie włosy dwa uczucia strach i obowiązki (6)”. Nie wystarczyło rozstrzelanie tchórza przed frontem batalionu przez najbliższych towarzyszy broni. Trzeba było ciągłej czujności dowódcy, aby chęć życia nie wyraziła się w instynktowym pędzie do ucieczki, zamiast służyć obronie ojczyzny przed wrogiem. Oddział bojowy, żołnierska grupa społeczna panowała tu nad jednostkowymi odruchami samozachowawczymi przy pomocy złożonego mechanizmu grupowego.

„Pewnie nieraz czytali i słyszeli — opowiada Baurdzan — o przejawach zbiorowego bohaterstwa w Armii Czerwonej. To prawda, to święte słowa. Wiedzie jednak — zbiorowe bohaterstwo nie może mieć miejsca, jeśli brak przywódcy, jeśli nie ma tego, kto idzie pierwszy. Nie łatwo ruszyć do ataku. I nikt nie ruszy, jeśli nie będzie pierwszego, jeśli nie podniesie się jeden i nie pójdzie naprzód, pociągając za sobą pozostałych (213)”.

Z drugiej strony czymże jest dowódca, jeśli nie ucieleśnieniem całości batalionu? Niech stchórzy batalion i rozpiętnie się w panicznej ucieczce, a przestaje istnieć wraz ze swoim dowódcą. „Za niesławna ucieczka żołnierzy ponosi odpowiedzialność znieśliawiony dowódca (207)”. Wypoczywając po zwycięskiej potyczce, lejtnant Baurdzan oddaje się marzeniom. Marzy o sobie i marzy o batalionie.

„Myślałem nie tylko o sobie — opowiada o tych marzeniach — myślałem także o batalionie. Zresztą, toteż było o sobie. W chwilach tych strzępy moich marzeń nie były, oczywiście, zgodne z paragrafem regulaminu, nakazującym dowódcę mówić o swej formacji: „Ja”. Dla mnie był to nie paragraf, tylko honor, sumienie, twórczość, namiętność. Jak jeszcze można to wyrazić? Zaprawdę, włożyłem w sprawę mego batalionu całą swą istotę. Był to mój twór, jedyny, co stworzyłem na ziemi (258)”.

Lejtnant Baurdzan uświadamia sobie, że gdy w toku bitwy z wysiłkiem utrzymuje dyscyplinę w rozpraszającym się batalionie, gdy daje komendę „Drużyna stój!”, to działa jako organ batalionu.

— „Drużyna, stój!”

Czy rozumiecie? W tej chwili, w tym rozkazie, w jednym słowie „stój” skondensowały się nasze poprzednie dzieje, dzieje batalionu panfilowców. Tu znalazła swój wyraz świadomość obowiązku wobec ojczyzny i „stanie na baczność, i zwykle bezlitosne: „spełnić rozkaz!”, które stało się nawykiem, tj. drugą naturą żołnierza; i rozstrzelanie tchórza przed frontem oddziału i nocny atak na Sjeredę, gdzie już raz zwyciężyliśmy Niemca, zwyciężyliśmy strach (207)”.

A jaki jest dalszy sens tego batalionu, który jest przecież częścią całości bardziej rozległej? Gdy żołnierz stchórzył i nie wykonał rozkazu, lejtnant mówi do niego: „Tam nieprzyjaciel rwie się ku Moskwie. Tam walczą nasi bracia. My, nasz batalion, osłaniamy ich tutaj przed uderzeniem od skrzydła. Ufają nam, wierzą, że utrzymamy się, że nie przepuścimy wroga. I ja zaufałem tobie. Bronieś drogi, zamknąłeś ją. I stchórzyłeś. Uciekłeś. Myślisz, żeś oddał drogę? Nie, oddałeś Moskwę (157)”.

Na froncie nie wiele było mowy o narodzie. Mimo to, ojczyzna i naród to było przecież coś, bez czego cały ten front pod Moskwą nie miałby żadnego ludzkiego sensu. Lejtnant Baurdzan nie myśli się chyba, gdy w związku z rozmową, jaką miał ze swoimi żołnierzami na temat sposobów walki z wrogiem mówił: „O ojczyźnie, o Moskwie nie wspominaliśmy podczas naszej rozmowy ani słowem, ale i ojczyzna i Moskwa kryły się za wszystkim, co mówiliśmy, żyły w każdym z nas (140)”.

„PIEŚŃ O ROLANDZIE”

„Bitwa jest cudowna i wielka. Francuzi walą ciemnymi kopiami. Gdybyście widzieli tyle cierpień, tyle ludzi niezwyłych, rannych, okrwawionych! Leżą kupami, twarzą ku niebu, twarzą ku ziemi. Saraceni nie mogą strzyc się dłużej: po woli czy po niewoli opuszczają pole. Frankowie pilnie gonią za nimi (53) 1)“.

To nie z „Szosa wołokołamskiej”. To z „Pieśni o Rolandzie”. Z tej Pieśni, w której legenda ludowa z zarzucania się ludzi zrobiła mit o bohaterskim rycerzu, dla którego „honor jest silniejszy od śmierci” tak, jak w ludowym przysłowiu Kazachów. Ile razy w tej pieśni hrabia Roland, główny bohater, i jego towarzysze broni zaklinają się na honor. „Nie daj Bóg, ani aniołowie jego, aby z mojej przyczyny Francja miała stracić imię!” — wołał Roland w harmiderze walki. „Wolę raczej umrzeć niż popaść w osławę! (39)”.

A arcybiskup Turpin, który błogosławił walczących i sam brał udział w walce, mówił: „Nasi ludzie są bardzo waleczni; pod słońcem nie ma lepszych. Tak napisane jest w kronikach Franków (48)”.

„Kajajcie się za grzechy — wołał arcybiskup do walczących rycerzy — proście Boga o przebaczenie; ja was rozgrzeszę, aby ocalić wasze dusze. Jeśli pomrzecie, będą z was święte męczenniki, będziecie mieli miejsca na najwyższym piętrze raju (40)”. „Francuzi zsiadają z koni — mówi dalej opowieść — padają twarzą na ziemię, a arcybiskup, w imię Boga, pobłogosławi im. Za pokutę nakazuje im tego walić (40)”.

Sam arcybiskup nie zostaje w tyle i bierze udział w walce. „Przeszywa Saracena na wylot i kładzie go trupem na gołą ziemię. Francuzi powiadają: „Oto dzielnosć! W rękach arcybiskupa pastorali nie przyniesie wstydu (49)”. Pieśń mówi, że „nie było człeka z wygoloną tonzurą i śpiewającego msze, który by dokazał tyłu znamienitych czynów (51)”.

Na tym polu bitwy z tą „Pieśnią o Rolandzie”, śpiewaną przez lud, recytowaną przez zawodowych rybaków, przerabianą następnie przez literatów całej Europy, rozdził się naród francuski.

„Bitwa jest cudowna; staje się coraz zażartszą — mówią słowa pieśni. — Francuzi walczą krzepko i wściekle. Przecinają pięści, boki, krzyże, przesywają odzież do żywego ciała, i krew płynie jasnym strumieniem po zielonej trawie. „Francjo, Francjo, niech cię Mahomet przeklini! Nad wszystkie ludu lud twój jest śmiały (53)”.

„Od „Pieśni o Rolandzie” do „Szosa Wołokołamskiej” dzieli nas tysiąc lat historii europejskiej. Te tysiąc lat, to właściwie cała historia Europy, kształtująca się na gruzach Imperium Rzymskiego. Na te tysiąclecie przypada kilka wieków najbardziej bujnego rozkwitu cywilizacji ludzkiej, niesłychana erupcja intelektualnej aktywności człowieka. W tym okresie mieści się zarówno proces formowania europejskiej jednostki kulturalnej, jak i proces kształtowania poszczególnych narodów. Na początku tego okresu mamy „Pieśń o Rolandzie”, a na jego końcu „Szosa Wołokołamską”. Utwory te należą do wspólnego gatunku społeczno-literackiego. Są to poematy bohaterskie, „pieśni wojenne”, należące do najstarszego gatunku literatury ludowej i równocześnie narodowej.

Porównując te dwa utwory rozdzielone tysiącami lat historii, widzimy interesujące różnice formy literackiej, sposobów ekspresji i symboliki. Poemat wojenny średniowiecznej Europy, łączący w sobie ludowe legendy z poezją rycerską, różni się od realistycznego reportażu z epoki socjalizmu. W „Pieśni o Rolandzie” odkrywamy łatwo pierwowzory sienkiewiczowskich rycerzy.

„Pieśń o Rolandzie” szafuje okrucieństwami walki, krew tryska i leje się obficie, piętrzą się stosy trupów, widać mógły wypływające z rozłupanych czaszek. Hrabia Roland „pociął na sztuki Faldryna z Puj i dwudziestu czterech innych, nieladajkich (58)”. Zaimponował arcybiskupowi, który z uznaniem powiada: „Oto mi robotka!”. Sam arcybiskup jest „tęgi chwast”, „umie się bawić i kopią i wódcznią”. „Bitwa jest cudowna i wielka. Francuzi walą ciemnymi kopiami. Gdybyście widzieli tyle cierpień, tylu ludzi niezwyłych, rannych, okrwawionych! Leżą kupami, twarzą ku niebu, twarzą ku ziemi (53)”. Bitwa jest cudowna i wielka. Czy mogła nie być taka, skoro sam Bóg brał w niej udział, wspierając chrześcijan przeciw Saracenom. Francuzi „są pięknie rozgrzeszeni, wolni od grzechów; arcybiskup pobłogosławił ich w imię Boga (40)”. „Dla Karola Wielkiego Bóg zrobił wielki cud: słońce zatrzymuje się nieruchomo (72)”.

Pod Moskwą w 1941 r. Bóg nie ingerował; arcybiskup nie rozdawał żołnierzom miejsce na najwyższym piętrze raju. Ludzie wyrzynali jedni drugich bez bożego błogosławieństwa. Batalion panfilowców podpalił wieś z nocującym w niej oddziałem niemieckim i wyciął w pień nieprzyjaciela.

„Powoli — opowiada lejtnant o tym epizodzie — wjechałem przez most do wsi, oświetlonej purpurową łuną pożaru. Gdzieś niedaleko pękały granaty, wszędzie słychać było huk wystrzałów, rozlegały się krzyki i jęki. To nie był bój, tylko pobojowisko.

Wystawiwszy ubezpieczenie od strony lasu, do którego cofnął się nasz batalion, Niemcy zrozbrali się i ulokowali na noc w łóżkach lub na sianie. Gdy usłyszeli wybuch granatów, w popłochu zaczęli wyskakiwać i chować się gdzie tylko było można: pod łóżkami, na piecach, w piwnicach, w szopach. Wyciągnięto ich stamtąd, drżących z zimna i strachu.

Nie będę opisywał tych scen. Radość, która ogarnęła nas w pierwszej

chwili, połączyła się z grozą. Czy rozumiecie to: radość i zarazem groza... (256)”.

Skąd to połączenie radości i grozy? Radość pochodzi ze zwycięstwa nad wrogiem. Groza z odczucia tragicznego ogólnoludzkiego sensu tego pobojowiska.

Tej grozy nie ma w „Pieśni o Rolandzie”. Tam jest bitwa na wesoło. Pobojowisko ze stosami trupów odgrywa tam rolę nieistotną. Tam chodzi o dusze. Dusze chrześcijańskich rycerzy zostały rozgrzeszone i pobłogosławione. Gdy ciała z nich opadną, dusze pójdą prosto do nieba na najwyższe piętra raju. Dusze zabitych pogan, skazane są wprawdzie na piekło, ale one się przecież nie liczą.

Poza tymi różnicami, pomiędzy „Pieśnią o Rolandzie” i „Szosa Wołokołamską”, jest jednak coś wspólnego, coś, co utrzymuje się poprzez epoki, i zastanawia. „Pieśń o Rolandzie” i „Szosa Wołokołamska” to dokumenty narodzin narodu. Tu i tam na polach bitwy rodził się naród. Były to różne narody. Ale właśnie tym bardziej jest zastanawiające, że pole bitwy w obydwóch wypadkach odgrywa tak istotną rolę. Czy każdy naród musi się rodzić na polu bitwy? Dlaczego? Czy dlatego, że poświęcenie życia jest istotnym elementem moralnej świadomości narodu? Czy też dlatego, że zwycięstwo nad wrogiem jest niezastąpionym źródłem radości dla człowieka?

Zaraz we wstępie swojej opowieści lejtnant Baurdzan Momysz-Uly mówił, że „kto nie zaznał radości zwycięstwa nad wrogiem, radości z powodu czynu bojowego, ten nie zna najsilniejszego, najpłodniejszego uczucia radości (7)”. Czy nie z tego źródła wyrosła „Pieśń o Rolandzie” i kult wojennych bohaterów? Czy pod tym względem „Pieśń o Rolandzie” i „Szosa Wołokołamska” nie spotykają się ze sobą mimo tysiąca lat, które je rozdziela?

Baurdzan Momysz-Uly nie jest filozofem moralności i polityki; jest żołnierzem. Nie wyjaśnia nam wszystkich problemów, jakie nawiązuje owa radość ze zwycięstwa nad wrogiem. Zostawia nas w niepewności, co do tego, czy jest to radość ze zwycięstwa sprawy moralnej, czy też radość z samej przewagi nad wrogiem i z jego zniszczenia. Jest to problem istotny, który dotyka moralnej istoty człowieka historycznego i moralnej istoty narodu.

HONOR ŻOŁNIERZA

„Jesteście może zdania — mówi lejtnant Baurdzan — że bohaterstwo to dar przyrody? Albo może dar magazyniera mundurowego, który wraz z pieszczonym wydatem kwit na nieustraszonosć, pieszcząc w sobie siebie; „otrzymał” „rzeczywistość wygląda inaczej (13)”. Lejtnant wie dobrze, że nieustraszonosć rycerzy, tych z „Pieśni o Rolandzie”, nieustraszonosć spływająca na nich z pasowaniem i z błogosławieństwem bożym jest literacką bliągą.

Równocześnie jednak, podstawowy element społeczno-moralny socjotechniki, jaką ten dowódca batalionu stosuje do swoich żołnierzy, aby w nich zwalczyć strach jest taki sam, jak w „Pieśni o Rolandzie”. Taki sam, jak w ludowej tradycji Kazachów i w żołnierskim kodeksie generała hrabiego Suworowa. Jest nim honor żołnierza, moralna tradycja związana z polem bitwy, która zobowiązuje towarzyszy broni do określonego zachowania się. Honor żołnierza nie pozwala zdradzić zaufania żołnierza do żołnierza, dowódcy do żołnierza, narodu do swoich żołnierzy. Honorowy kodeks żołnierski zmusza do ohamowania strachu, grożąc utratą szacunku i unicestwieniem społecznym.

Z tego punktu widzenia w „Szosa Wołokołamskiej” mamy sceny jak gdyby żywym wyjęte z pradawnego kodeksu rycerskiego. Potępienie tchórzostwa jest tu wyrażone w słowach kazachskiej tradycji ludowej.

Podczas bitwy lejtnant Baurdzan spotrząga swojego żołnierza leżącego w śniegu.

„Co to? — Czy zabity? Nie, ręce trzęsą mu się jak w febrze... Obok śniegu czerni się pistolet maszynowy. Któż to jest? To szeregowiec Dżylbajew — Kazach. Nie jest ranny, stchórzył tylko, nikczemnik! Przez ciebie jednego hańba pokryje nasz naród; przez ciebie będą mówić o nas, Kazachach: „To tchórze, ojczyznę mają tylko na języku, a nie w sercu” (209)”.

„Szosa Wołokołamska” jest literaturą męską. Bohaterami są sami mężczyźni. Ale w pewnym momencie wspomina się tutaj i o kobietach. Gdy żołnierz, który stchórzył, stoi przed dowódcą i tłumaczy się z opuszczenia posterunku wbrew rozkazowi, dowódca mówi do niego: „Szkoda... że słów twoich nie usłyszały kobiety. Spoliczkowałyby cię, napływałyby ci w twarz. Jesteś tchórzem, a nie oficerem Armii Czerwonej” (157). Tę samą rolę spełniała kobieta w rycerskiej tradycji Europy.

Honor nie jest sprawą prostą. Tadeusz Boy-Zeleński w przedmowie do „Czerwone i Czarne” Stendhala w kategoriach honoru przedstawia całą społeczną historię Wielkiej Rewolucji i ery napoleońskiej w świetle ówczesnej literatury francuskiej.

„Honor! — pisze Boy — to także przywilej, który lud wydarł szlachcie...”. Z tego punktu widzenia można by się zastanawiać nad tym, w jakim punkcie społecznej historii honoru umieścić „Szosa Wołokołamską”. Jest to bowiem opowieść o honorze żołnierza robotniczo-chłopskiej armii.

Nie jest to jednak zadanie proste. Boy pisał, że trzech bohaterów francuskiej literatury Kubus Diderota, Figaro Beaumarchais i Sorel Stendhala to trzy typy, które z punktu widzenia społecznej emancypacji ludu, oznaczają historyczne etapy zdobywania honoru przez lud. Kubus fatalista, to zły, dobroduszny, pobłażliwy i wierny sługa. Figaro — to lokaj wyrażający bunt ludu, zdolny, energiczny, prawy, ale pozbawiony jeszcze godności. Julian Sorel z „Czerwone i Czarne” — to żarliwy neofita honoru.

W jakim punkcie historii honoru umieścić lejtnanta Baurdzana Momysz-Uly. Jakaś konstrukcja rozwojowa obejmująca ewolucję od hrabiego Rolanda poprzez Kubusia fatalistę i hr. Suworowa do Baurdzana Momysz-Uly byłaby dużo łatwiejsza, gdyby jej nie utrudniał ten pastuch baranów z Kazachstanu, który mówi o honorze przyszłościom kazachskiej tradycji ludowej. Gdyby to lejtnant Baurdzan Momysz-Uly chciał mówić o honorze do swoich żołnierzy tylko słowami hr. Suworowa. To by się jeszcze jakoś zgadzało z poglądem, że „honor to także przywilej, który lud wydarł szlachcie”. Ale nie! Ten pastuch z Kazachstanu wciąż mówi o honorze swoimi słowami, słowami ludowej tradycji Kazachstanu. Co więcej, nie jest przez to anachronizmem; jest historycznie przekonujący, ludzki, aktualny.

Ten pastuch z Kazachstanu odkrywa nam w pojęciu honoru pewien element, którego się nie zauważa, gdy na zagadnienie honoru patrzy się przez pryzmat nowoczesnej historii, lub tylko historii Europy. Historia honoru ludzkiego nie zaczyna się od „Pieśni o Rolandzie”. Lejtnant Baurdzan Momysz-Uly pokazuje nam, że ona zaczyna się wraz ze społeczeństwem.

Cóż jest istotą honoru w kazachskiej interpretacji lejtnanta Momysz-Uly? Jego istotą jest uznawanie zasady, według której pod groźbą samounicestwienia, nie wolno zdradzać wzajemnego zaufania, jakie wiąże współtowarzyszów życia złączonych wspólnością losu. Dlatego nie wolno stchórzyć żołnierzowi, gdyż towarzysze broni mają zaufanie do jego odwagi. Nie wolno złać danego słowa. Zdrada zaufania jest głównym przestępstwem przeciw honorowi zarówno w „Szosa Wołokołamskiej”, jak i w „Pieśni o Rolandzie”. Bez wzajemnego zaufania nie do pomysłenia jest życie społeczne. Jest to podstawowy element społecznej kultury, który występuje na najbardziej pierwotnym poziomie kultury historycznej. W tym historycznym znaczeniu należy więc do istoty człowieczeństwa.

„Szosa wołokołamska” rzuca również interesujące światło na granice obowiązywania honoru. Czy obowiązuje on tylko w stosunku do „swoich”? Czy nie obowiązuje w stosunku do „wroga”? Dla konstrukcji „Szosa wołokołamskiej” jest bardzo charakterystyczne ścisłe rozgraniczenie społeczno-moralnej sfery własnej armii do armii wroga. Nie ma między nimi społecznego i ludzkiego kontaktu. Tamta sfera, sfera działań wrogich leży całkowicie poza granicami obowiązywania wzajemnego zaufania. Takie rozgraniczenie sfer wiąże się z zasadniczą konstrukcją „Szosa wołokołamskiej” przedstawiającej człowieka w kategoriach pola bitwy, walczącego ze śmiertelnym wrogiem, i zamieniającego się w techniczne narzędzie zniszczenia wroga. Ogólniejsze problemy moralne związane z walkami między ludźmi, nie wchodzi tutaj w grę, ponieważ nie mieszczą się w techniczne działania żołnierza i w technice pola bitwy. Pole bitwy nie jest amboną, ani klubem dyskusyjnym, w którym rozstrząsa się moralne zagadnienia ludzkości.

HONOR I MORALNY PROBLEM CZŁOWIEKA

Pole bitwy nie jest jednak sprawą samodzielną. Należy ono do ogólnej społeczno-moralnej struktury człowieka i kultury przez niego stworzonej. Istnieje moralny problem człowieka i cywilizacji. W sztuce Sartre’a „Ladacznica z zasadami” senator Clarke i jego syn w imieniu narodu amerykańskiego przekonywują prostytutkę, że powinna skłamać, i zeznać przed sędzią, że została zgwałcona przez murzyna. Tego kłamstwa potrzeba, aby dla narodu amerykańskiego jak powiedział, ocalić młodzieńca Thomasa, dziecko miejscowego patrycjatu, wspaniały okaz człowieka, któremu grozi

1) Cytuję według wydania T. Boya-Zeleńskiego z 1932 r.

wieloletnie więzienie i utrata honoru, ponieważ Thomas w wywołanej przez siebie burdzie zastrzelił niewinnego murzyna. „Chcę mówić prawdę” — wola dziewczyna. Na to pada odpowiedź: „Prawde! Dziesięciodolarowa dziwka i chce mówić prawdę! Nie ma prawdy: są biali i czarni, to wszystko”.

Zawsze i wszędzie istnieją tylko jacyś „murzyni” i jacyś „biali”. Do kategorii „murzynów” należą „gorsze” narody, gorsze klasy społeczne i w ogóle wszelkie kategorie ludzi gorsze moralnie. Należy tu tak samo murzyn afrykański, czy amerykański, jak „murzyn warszawski”. Czy świat moralny każdego z nas nie składa się z „białych” i „murzynów”? Czy taka jest istotna moralna struktura świata ludzkiego, ludzkiego społeczeństwa i kultury? Czy na takiej linii podziału opiera się moralna struktura narodu? Czy honor jest tylko wyrazem partykularystycznej solidarności, która obowiązuje tylko wobec „białych”? Czy murzynów wszelkich kategorii wolno zdradzać, okłamywać i niszczyć bezkarnie, ponieważ są murzynami? Czy honor nie oznacza solidarności z całym „gatunkiem” ludzkim, jaki się wytworzył w historii ludzkości?

Ten problem wysuwa się obecnie na czoło całej cywilizowanej ludzkości. To nie jest tylko problem „Ladacznicy z zasadami” Sartre’a. Ten problem przewija się poprzez wybitniejsze pozycje współczesnej literatury światowej, czy to będzie sztuka radziecka „Zagadnienie rosyjskie” Simonowa, czy francuskie „Noce gniewu” Salacrou, czy angielska sztuka Priestley’a „Pan inspektor przyszedł”. We wszystkich tych sztukach mamy zagadnienie honoru i zdrady, honoru, który obowiązuje wobec jakichś „białych”, a nie obowiązuje wobec jakichś „murzynów”.

Taki sam problem występuje w powojennej powieści J. Andrzejewskiego „Popiół i diament”, gdzie „narodowiec” zabija komunistę z poczucia honoru, z poczucia solidarności ze swoimi „białymi” wbrew własnemu sumieniu.

Moralny problem podziału świata ludzkiego na „białych” i „murzynów” to zagadnienie hitlerizmu. Według politycznej doktryny hitlerizmu (C. Schmitt i inni) podział na „przyjaciół” i „wrogów” należy do istoty politycznego zjawiska i do istoty narodu.

Tutaj najjaskrawiej występuje istotne przeciwieństwo filozofii moralnej chrześcijaństwa i hitlerizmu. Przeciwnieństwo to dotyczy jednakże tylko filozofii, a nie praktyki. Zwycięstwo hitlerizmu w kraju chrześcijańskich misjonarzy świadczy o tym, jak bardzo hitlerizm dotyka samego chrześcijaństwa.

Moralny podział świata na „białych” i „murzynów” cechował historię krajów chrześcijańskich. Jest to prawda banalna nie potrzebująca ilustracji. Propaganda wiary przy pomocy słowa i miecza to była instytucja kościelna, której odpowiadał podział ludzkości na dwie kategorie na „chrześcijan” i „pogan”, na „białych” i „murzynów”.

nów”. Taki dwoisty jest świat moralny „Pieśni o Rolandzie”. Tam wyraźnie rysuje się podział na dwa światy, które są określone moralnie jako przeciwstawne, wykluczające się. Świat chrześcijańskiego rycerstwa jest dobry, błogosławiony przez Boga, a świat zdradzieckich, pogańskich wojowników jest zły, potępiony. Zabijanie jest tam uświęcone moralnie i religijnie, jako tępienie wyznawców zła. Waleczny arcybiskup Turpin widzi zbliżającego się Saracena Abisema i po cichu mówi do samego siebie: „Ten Saraceni zda mi się srogi heretyk. Najlepiej będzie jeśli go zabiję... (48)”.

MÓJ NARÓD

Mówi nam lejtnant Baurdzan, że „Ojczyzna i Moskwa kryły się za wszystkim, co mówiliśmy, żyły w każdym z nas” (140). Ojczyzna i naród! He kłopotów ma socjologia z tymi pojęciami. Ile teoretycznych sporów toczyło się i toczy na temat struktury i historii narodu? Ludwik Krzywicki, referując Kautsky’ego, pisał w warszawskim „Głosie” w 1888 r.: „Wśród kupców to wydzwiga się naprzód europejska idea narodowościowa... co do grupy społecznej, w której wykłękowała, jest idea mieszczańską”.

Jest więc niezmiernie interesujące, w jaki sposób idea narodu asymiluje kazachski żołnierz na froncie pod Moskwą. W jaki sposób przemawia ona do przedstawiciela narodu, którzy z narodu pastuchów w ciągu jednego pokolenia przemienia się w naród mechaników. Inaczej mówiąc, w jaki sposób świadomość narodowa kształtuje się z elementów pierwotnej kultury społecznej Kazachów w oderwaniu od całej europejskiej historii, w której naród formował się w walkach międzygrupowych, wysuwając się na czoło nowoczesnej historii od czasów Wielkiej Rewolucji. W społecznej historii batalionu lejtnanta Baurdzana naprzód szukałbyśmy tych trudnych zawiłości, jakie wiążą się z pojęciem ojczyzny i narodu.

Na polu żołnierskich ćwiczeń, a później na polu bitwy wszystkie złożone pojęcia społeczne rozkładają się na proste najbardziej elementarne składniki. Istota ludzka objawia się nam tutaj poprzez jakiś najbardziej pierwotny i podstawowy mechanizm współzycia międzyludzkiego. Skomplikowana konstrukcja narodu rozpada się na reakcje prostsze, konkretne i dotykające, które stanowią jego podłoże.

Posiuchajmy wykładu, jaki lejtnant Baurdzan miał do swoich żołnierzy na temat ojczyzny. „Wrog zmiernia do tego, by zabić zarówno ciebie jak i mnie... — czytamy. — Pouczam cię, żądam od ciebie: zabij go, umiej zabijać, ponieważ my musimy żyć. I każdy z nas żąda, rozkazuje ci: zabij — bo my chcemy żyć. I ty żądasz od swych towarzyszy, obowiązany jesteś żądać, jeżeli rzeczywiście chcesz żyć — zabij! Obowiązany jesteś żądać od innych: nie dopuść do tego, żeby ciebie zabili, umiej sam zabijać! Słusznie powiedziałeś: Ojczyzna to

Związek Radziecki, Moskwa. Ale prócz tego Ojczyzna — toś ty sam, Ojczyzna — to ja, Ojczyzna, to my wszyscy, nasze rodziny, nasze matki, żony i dzieci. Ojczyzna — to nasz naród. Nakazują nam: żyj i zabijaj! Możliwe, że cie mimo to trafi kula, ale przed tym zabij! Wytep jak najwięcej nieprzyjaciół! Uratujesz w ten sposób życie temu, temu i temu (palcami wskazywałem żołnierzom), życie twych kolegów, z którymi łączą cię wspólny okop i oręż! Ja, wasz dowódca, chcę wypełnić nakaz naszych żon i matek, nakaz naszego narodu, chcę was poprowadzić do boju nie po to, byście polegali, lecz po to byście żyli! (39—40)”.

W związku z tą lekcją socjologii narodu, lejtnant Baurdzan dodaje, że nie użył wyrazu „instynkt”, ale mimo to z całą świadomością apelował do „instynktu samozachowawczego”, aby go pobudzić i zmobilizować go do walki z wrogiem. W wykładzie tym oderwana idea narodu związana została z pragnieniem życia, jako elementarną, niezniszczalną popędową siłą ludzkiego działania. Naród został tu przedstawiony jako forma współzycia związana z chęcią życia w sposób konieczny i naturalny.

W tej redukcji struktury narodu do jego składników najbardziej elementarnych, znajduje się jednak coś więcej, niż biologiczny instynkt samozachowawczy. Nie zatrzymuje się tutaj nad tym elementem, który lejtnant określił poprzednio jako radość zwycięstwa nad wrogiem. Zwróć natomiast uwagę na skojarzenie narodu z rodziną i z grupą współtowarzyszów broni, których opuścić z tchórzostwa jest plamą na honorze żołnierza. Cała skomplikowana struktura narodu, jako wielkiej zbiorowości historycznej i ponadlokalnej, przełożona tutaj została na język bezpośrednich i osobiście styczności międzyludzkich. Została ona wyrażona w kategoriach najprostszycich spraw życia i współzycia ludzkiego, które się z reguły zamykają w ramach małych grup, takich jak rodzina, sąsiedztwo, kręgi współtowarzyszów życia, w stosunkach ludzkich bezpośrednich i bliskich, skupiających ludzi na prostych sprawach utrzymania, ochrony i zabezpieczenia życia. Rzecz przy tym niezmiernie charakterystyczna dla „Szosy Wołokołamskiej”, że na tym elementarnym podłożu społecznej kultury występuje równocześnie idea narodu i idea komunizmu.

Jesteśmy w wirze bitwy. „Nad szeregiem rozległ się płomienny krzyk Tołstunowa.

— Komunardzi!

Ten okrzyk był zwrócony do wszystkich, nie tylko do komunistów. Ujrzelśmy jak Tołstunow podniósł się z erkaemem w rękach i pobiegł, przyciskając do siebie kolbę, krzycząc i strzelając w biegu. I znów nad polem zabrzmiały te same słowa. Po raz trzeci zabrzmiał gorący zew pełen uczucia:

Za Ojczyznę! Za Stalina! Hurra! (217).

Komunardzi! Idea komunizmu wyrasta tu jak gdyby bezpośrednio z pradawnych złoży kultury społecznej, wyrasta bezpośrednio, z pominięciem wieków historii

techniki, industrializmu i cywilizacji. Olbrzymi przeskok czasowy, którego nie odczuwa się jednak jako coś nienaturalnego. W tym wszystkim bowiem, zarówno w tej ludowej tradycji Kazachów, jak i w tym prądzie komunizmu idącym przez szeregi żołnierskie (który nie wysuwa się zresztą na czoło książki) czuje się wspólny nurt historii bardzo ludzkiej zredukowanej do bardzo prostych elementów życia ludzkiego.

W prostych kategoriach tej żołnierskiej socjologii zamyka się nie tylko podstawowy mechanizm społeczny, który niezależnie od różnej historycznej złożoności kultury Kazachów i kultury nowoczesnego narodu, obowiązuje, mimo wszystko, jednym i drugim. W tej uproszczonej socjologii żołnierskiej zawiera się jeszcze coś więcej. Naród zostaje tutaj wyrażony w najprostszycich najbardziej ludzkich kategoriach społeczno-moralnych. W tej socjologii żołnierskiej naród występuje nie tylko jako konieczna samoobronna biologiczna forma życia, lecz także jako moralna forma życia ludzkiego, forma moralnie dobra, chroniąca człowieka przed krzywdą i zabezpieczająca moralną istotę człowieka.

Odwolajmy się znowu do lejtnanta Baurdzana. Pewnego dnia lejtnant objeżdżał pozycje swego batalionu. Był zimny dzień październikowy. Na polach stratowanych przez czołgi niemieckie panowała cisza po bitwie wieczorajszej. Gdy lejtnant znalazł się przy posterunku jednego ze swych żołnierzy, ten wyprostował się i zasałutował. Obok salutującego żołnierza stał mały chłopczyna, który wraz z żołnierzem, z równie poważnym wyrazem twarzy, zasałutował lejtnantowi.

„Była to zwykła scenka — opowiada lejtnant — niekiedy człowiek spojrzy i zapomni; ale tego rana również ten chłopiec z taką ufnością spoglądający na wojskowego, żołnierza, wzruszył mnie, aż mi się serce ścisnęło.

Przebież wszystko, co przed chwilą przemknęło przede mną — to — mój kraj, mój naród, nasz ustrój.

Czy można tedy nie walczyć zaciekle, na śmierć i życie, w obronie takiego kraju, w obronie bezbronnego pięcioletniego chłopca, który mi zasałutował, którego, póki w swych rękach mamy broń, siłę i władzę, nikt nie odważy się skrzywdzić, którego nikt w naszym kraju nie będzie ciemniżył (135)”.

Mój naród! Mój naród — to jest ta więź społeczna, która się tutaj ujawniła w tym żołnierskim pozdrowieniu, w którym zjednoczył się dowódca i żołnierz i ten pięcioletni chłopak, który przyszedł do żołnierskiego kociołka ze wsi ogarniętej pożarem wojny.

Mój naród to zobowiązanie moralne dowódcy frontowego batalionu, dawnego pałstucha z Kazachstanu, w stosunku do salutującego go dziecka z pod Moskwy, że będzie bronił jego ufności do człowieka i jego wiary w ludzką istotę.

Józef Chalasiński

PAWEŁ HERTZ

Sekrety „Pustelni Parmeńskiej” *)

„Pustelnia Parmeńska” — czytamy w starej, poźółkiej „Revue Parisienne” z dnia 25 września 1840 roku — jest w naszej epoce... arcydziełem literatury idej... Pan Beyle napisał książkę z której każdego rozdziału bije doskonałość. Stworzył w wieku — gdy ludzie rzadko trafiają na pomysły wzniosłe, po napisaniu dwudziestu tomów niezwykle inteligentnych — dzieło, które może być ocenione jedynie przez umysł naprawdę wyższe. Słowem pan Beyle napisał „Nowoczesnego księcia”, napisał powieść, którą stworzyłby Machiavelli, gdyby żył jako włoski wygnaniec w wieku XIX... Pan Beyle należy do elity naszych czasów, z trudem można sobie wytlumaczyć dlaczego ten pierwszorzędnny obserwator, ten wybitny dyplomata, który bądź to w pismach, bądź w słowach, wykazał szlachetność swoich idei i zakres swoich wiadomości praktycznych, jest tylko konsulem w Civita-Vecchia. Nikt nie byłby bardziej od niego godny, by służyć Francji w Rzymie...”

Te zdania, w których zachwyt dla umiejętności literackich Stendhala został przekształcony aluzjami do jego niskiej stosunkowo pozycji w hierarchii dyplomatycznej w jakiej go utrzymywał rząd Ludwika-Filipa, są podpisane przez Balzaca. Rzadki to rzeczwiście wypadek, by jeden pisarz tak troczył się o uznanie dla literackich i życiowych zasług innego pisarza.

Pan Henryk Beyle ujrzał światło dzien-

ne w Grenobli, w roku 1783, w środowisku urzędniczym. Rodzina jego miała pretensje szlacheckie. Drugie wydanie „Pustelni” jest podpisane przez „Pana de Stendhal”. W tym wieku porewolucyjnym najlepsi lubili zaoparować swoje nazwiska przydomkiem szlacheckim. Był to snobizm mało szkodliwy i ostatecznie zupełnie nieistotny, jeśli podstawy feudalizmu zostały raz na zawsze zniszczone w dniu, gdy padły grube mury Bastylii.

Rodzina Stendhala, zapewne dlatego, że miała pretensje szlacheckie, nie posiadając materialnych atrybutów, które by mogły te pretensje usprawiedliwić, sprzyjała w okresie terroru obalonej władzy królewskiej. Mały Stendhal, może dlatego, że podobał mu się mundur republikańskich żołnierzy, a może dlatego, że wydarzenia, których był świadkiem ożywiały skostniałą atmosferę prowincjonalnego miasta, sprzyjał rewolucji. Nie przywiązując zbyt wielkiej wagi do tych wczesnych sympatii politycznych, ale wydając mi się, że w epoce wielkich przemian nieraz tak się zdarza, iż potokomwie zdradzają wiarę ojców widząc w nowym, tworzącym się burzliwie świecie więcej wartości niż w martwej stabilizacji swoich rodzin.

W 1799 r. wyjeżdża Stendhal z Grenobli do Paryża na studia. Gwiazda Napoleona błyszczy już wysoko na europejskim niebie i młodzi ludzie Francji oberają ją sobie jako drogowskaz. Stendhal studiuje matematykę pod opieką swoich dalekich krewnych — rodziny Daru.

W 1800 roku Stendhal wraz z synami Daru wyrusza do Włoch w ślad za wojska-

mi napoleońskimi. Przekracza granicę włoską i po raz pierwszy ogarnia go zachwyt, który trwać będzie przez całe życie. Oto rozpoczyna się przed nim żywna, szeroka Lombardia. Mediolan uwolniony przez Francuzów z austriackiej niewoli wydaje mu się znacznie piękniejszy niż Paryż. W mundurze francuskim, który dla mediolańczyków był mundurem wolności, młody Stendhal, krępy, nieładny, nieśmiały, kosztuje pierwszych owoców zwycięstwa republikańskiego.

Gdy mija era bohaterska, gdy rewolucyjny generał poprzez tytuł pierwszego konsula (1799), konsula dożywotniego (1802), sięga wreszcie po tytuł cesarski i otrzymuje go w katedrze paryskiej w roku 1804, Stendhal próbuje pisać, kocha się w aktorce, pracuje jako sprzedawca w marsylskim sklepie. Były to lata przycięd i wielkich możliwości, otwartych przed młodymi ludźmi mieszczańskimi pochodzenia we Francji rządzonej przez cesarza-parweniusza.

Nadchodzi czas nowych wypraw. Stendhal służy wiernie armii, która czuwa nad swobodą nadawania tytułów królewskich wszystkim członkom nowej korsykańskiej dynastii, przeciwko której ustanowieniu głosowało tylko dwóch ludzi — Carnot w Trybunale i Gregoire w Senacie.

Napoleon rusza na Moskwę. Stendhal jako intendent armii okazuje się bardzo na miejscu i nawet w ciężkich chwilach odwrotu z Rosji nie traci przytomności umysłu. Od 1813 roku Stendhal zrywa z karierą wojskową. Restauracja Bourbonów zmusza go do przymusowego pobytu we

Włoszech, ale ten okres wygnania był jednym ze szczęśliwszych w jego życiu. Pokolei ukazują się teraz pod pseudonimami i pod nazwiskiem, które utrwaliło się na zawsze w dziejach literatury, choć jest również pseudonimem Henryka Beyle’go, książki o Włoszech, o obyczajach, o malarstwie tego kraju, który dla autora „Rzymu, Neapolu i Florencji” był ojczyzną z wyboru. W 1817 roku Stendhal wydaje historię malarstwa włoskiego, opatrzoną dedykacją dla Napoleona-więźnia Europy Świętego Przymierza.

Po śmierci ojca, którego nigdy bardzo nie kochał i który jego nie kochał, Stendhal odziedziczył bardzo niewiele; w dodatku władze austriackie podejrzliwie patrzyły na jego mediolańskie kontakty z karbonariuszami i liberałami. Policja cesarska nakazuje mu opuścić Mediolan. Stendhal wraca do Paryża. Żyje teraz jak literat, pisze kilka prac kompilacyjnych z zakresu biografii i podróży oraz znakomitą „Armance”. Nadchodzi rewolucja lipcowa. Dynastia Bourbonów usuwa się w cień, mieszczaństwo wynosi na tron Orleanów. Szczęśliwsze dni czekają napoleonidów. Wśród licznych stanowisk do których ich teraz dopuszczają, dla Stendhala znalazło się miejsce konsula w Trieście. Ale rząd austriacki, pamiętając swoje dawne, mediolańskie obawy, odmawia uznania pana de Stendhal na stanowisku przedstawiciela bardzo wówczas liberalnej monarchii francuskiej. W Paryżu tymczasem ukazują się „Czerwone i czarne”. Stendhal otrzymuje stanowisko konsula w Civita-Vecchia. Nudzi się tu, mimo bliskości Rzymu i pisze w 1835 roku do

*) Stendhal „Pustelnia Parmeńska” wydanie nowe Sp. Wyd. „Książka” Warszawa — Łódź 1945

swojego kuzyna, Colomba „...wolę przyjemność pisania głupstw niż przyjemność noszenia szamerowanego fraka, który kosztuje osiemset franków”. W Civitta-Vecchia Stendhal skraca sobie czas pisaniem. Zwraca się do wspomnień młodości i rozmyśla nad sobą i nad czasem, w którym mu wypadło urodzić się i żyć. Tak powstaje „Henri Brulard” — prototyp analitycznej powieści-pamiętnika, tak powstają „Wspomnienia egotysty”, obejmujące okres paryskich studiów i podróży w okresie Restauracji. Obie książki rozpoczynają ten świetny cykl chłodnych i bezlitosnych ocen siebie samego, którymi słusznie chlubi się literatura francuska w wieku XIX i XX. Te książki, szczupłe i niezbyt może interesujące czytelnika przyzwyczajonego do pełnych akcji powieści Sue'go, mają tę niewątpliwą zaletę, że ratują literaturę francuską przed jednostronnym, nieco naiwnym romantyzmem wszechwładnej w owej epoce pani Sand. Stendhal pisze powoli, nie jak literat, lecz jak dyktant w dyplomatycznym fraku, bawiący się tylko w literata. Nie ma zaufania do czytelników; jego piękna i mądra, choć nieco okrutna książka „O miłości” rozeszła się w ciągu jedenastu lat w siedemnaście egzemplarzach.

W 1836 roku nadszedł upragniony czas urlopu. Konsul francuski w Civitta-Vecchia jedzie do Paryża. Tu, pomiędzy obiadami w modnej Café Anglais i salonami przyjaciół, pisze swoje „Pamiętniki turysty” i w „Kronikach włoskich” odnawia dawną miłość do Włoch pogłębiając przez rzetelną wiedzę o tym kraju, który był dla Stendhala bliższy niż episerska Francja Ludwika-Filipa. Z tych pomysłów włoskich rodzi się wreszcie zarys ogromnej powieści. Wśród starych dokumentów i książek o dawnej Italii znalazł Stendhal zapiski o pochodzeniu wielkości rodu Farnese. Dział jeszcze w Bibliotece Narodowej w Paryżu można znaleźć w rękopiśmiennej kopii owe „Origine delle grandezza della famiglia Farnese”, pokryte na marginesach uwagami autora „Pustelni”. Zasadniczy schemat akcji „Pustelni parmeńskiej” zawdzięczamy anonimowej kronice z XV wieku. Ale Stendhal w ten suchy schemat oparł historię współczesną, a życie Fabrycego del Dongo, podobnie jak i niektóre rysy wizerunku hrabiego Moska zostało wzorowane na osobistych wspomnieniach i na autobiograficznych motywach.

„Pustelnia parmeńska”, której pisanie przerwał Stendhalowi kilkutygodniowy pobyt w Anglii, powstała w Paryżu, w którymś z domów przy ulicy Caumartin, między 4 listopada a 26 grudnia 1838 roku. W ciągu siedmiu tygodni została napisana ta książka, która zawsze wydawała mi się piękniejsza i bardziej ludzka niż „Czerwone i czarne”.

Istnieją w literaturze francuskiej książki, które należy czytać kolejno po sobie lub w niewielkim odstępnie czasu. Jeśli ktoś chce zrozumieć „Panią Bovary” Flauberta, niech przeczyta „Wychowanie sentymentalne”, jeśli ktoś pozwala się uwieść burzliwym niepokojom, targającym parweniusza, Juliana Sorela, niech przeczyta „Pustelnę parmeńską”. Właściwie nie istnieje dla mnie tylko „Pani Bovary” lub tylko „Czerwone i czarne”. Te książki wymagają uzupełnienia — Flaubert i Stendhal, jak gdyby w przewidywaniu, że czytelnik wysnuje zbyt entuzjastyczne wnioski z tragicznych i zbuntowanych żywotów Emmy Bovary, czy Juliana Sorela, spieszą ugasić w nas żarliwość z jaką pragnęlibyśmy pomóc tym dwóm istotom rozbitym przez zły czas Francji mieszczańskiej. „Wychowanie sentymentalne” mówi nam wyraźnie o tym, że z pomocą spieszyć nie warto, „Pustelnia parmeńska” nie taj, że w życiu ludzkim klęska stanowi finał wszystkich usiłowań — dobrych i złych. „Pustelnia parmeńska” jest powieścią o klęskach. O klęsce wdzięku i urody — upersonifikowanej w Fabrycy del Dongo, o klęsce romantycznej miłości-uosobionej w pani Sanseverina, o klęskach



Stendhal

rozsządku — pokazanej na przykładzie Mosk. Mimo to jest „Pustelnia parmeńska” dziełem głęboko optymistycznym, co nie wyda się paradoksalne, jeśli przypomni sobie całą polityczną stronę tej książki. Klęski ponoszone przez nas są zapewne według Stendhala nieodłączne od ludzkiego istnienia, ale te klęski, jakich doznają konkretni bohaterowie „Pustelni”, podobnie zresztą jak klęska Sorela, są uwarunkowane nie tylko wewnętrzną, psychologiczną dyspozycją bohaterów, lecz również sytuacją zewnętrzną, której opis w „Pustelni” jest bardzo drobiazgowy. Wstęp książki, rozdział o Mediolanie, gdzie autor wprowadza nas w dzieje rodziny del Dongo, jest apoteozą swobody, jaką wniosła do Włoch północnych armia napoleońska w roku 1796. Nie byłby jednak Stendhal wielkim realistą, gdyby oglądał tę zewnętrzną sytuację, w jakiej każe poruszać się bohaterom „Pustelni”, wyłącznie od strony apoteozy. Jak każdy naprawdę wielki pisarz, Stendhal wie dobrze, że książka powinna zawierać całą prawdę, a nie tylko tę część prawdy, jaką z takich czy innych względów należy pokazać. Być może, że literatura przemilczająca i ukrywająca trudności i błędy opisywanej przez siebie rzeczywistości bywa bardziej dydaktyczna i bardziej pouczająca, nie bywa jednak nigdy wielką literaturą i nie staje się nigdy potrzebna ludziom w tym stopniu, w jakim potrzebny jest nam dziś Stendhal, Tolstoj czy Dostojewski. Przy całej namiętnej pochwalie epopei napoleońskiej, która dla Stendhala była syro-nimem swobody i wyzwolenia człowieka ze skostniałych kanonów politycznych i społecznych, nie waha się dawny oficer napoleoński i uczestnik odwrotu z pod Moskwy wprowadzić młodego Fabrycego del Dongo który wbrew ojcu — rojalistom i legitymistom, marzącym o Habsburgach, ucieka do Francji, w cień sławy napoleońskich orłów, do ostatniej bitwy, której wynik przesądził o losie Francji i cesarza. Młody del Dongo wpada na pole bitewne Waterloo w chwili, gdy Francuzi odступują. Stendhal pokazuje nam to tylko, co widzi mały del Dongo — armię w rozszpce, żołnierzy, którzy kradną mu konia, niezaradnych generałów. A przecież można nam było zalecić podziw dla złoconego mundurku Napoleona i można było kazać Fabrycemu, by zamiast prosić żołnierzy o chleb, deklamował o wierności dla idei swobody. Nowoczesność Stendhala polega jak mi się zdaje, na tym właśnie niezmiernie ekonomicznym rozporządzeniu się wzruszeniami. To, co różni Stendhala od Balzaca, dzięki czemu zresztą autor „Pustelni” bardziej — jak sądzę — nadaje się jako wzór dla prozy nowoczesnej, polega przede wszystkim na tym, że Balzac tworzy typy, zaś Stendhal dopiero je ożywia, indywidualizuje. Pogarda dla psychologii tworzy z „Komedii Ludzkiej” — prócz może „Goriota”, „Vautrina” — ogromny fresk, na którym rozróżniamy tylko wielkie wspaniałe zarysowane kontury. Dopiero Stendhal nie rezygnując z wnikliwej psychologicznej, z racjonalistycznej analizy, z prawidłowej konsekwencji przyczyn i skutków, tak często zaniedbanej u Balzaca, daje pierwszą naprawdę nowoczesną powieść.

Gdy przeczytałem teraz „Pustelnę” na nowo, mniej interesowałem się jej treścią, bardziej natomiast rozmyślałem nad losem książek, które z początku przeznaczone dla elity intelektualnej swojej epoki, stają się po pewnym okresie czasu własnością szerszych mas. Jeśli Balzac pisał w roku ukazania się „Pustelni”, iż jest to dzieło, które może być ocenione jedynie „przez umysły naprawdę wyższe” (vraiment su-

perieurs), to zapewne miał na myśli nieliczną elitę intelektualną Francji tamtych lat. Jak się to stało, że ta elitarna lektura może być dziś czytana i rozumiana przez każdego, kto zechce się nią zająć? Myślę, iż dzieje się to dlatego, że „Pustelnia” nie jest dziełem dydaktycznym i że autor w przeciwieństwie do wielu innych autorów współczesnych i późniejszych nie stawia sobie żadnych celów umoralniających. „Pustelnia” mówi prawdę o historycznej epoce w której racjonalizm, dziedziczony przez wiek XIX z pism encyklopedystów, zwyciężał feudalizm. Ale „Pustelnia” opowiadając dzieje Fabrycego del Dongo, zakochanej w nim pani Sanseverina, hrabiego Mosca, karbonariusza Ferrante, despotycznego władcy Parmy i jego syna, który dziedziczy po nim tron, a wraz z tronem — strach przed najmniejszymi oznakami liberalizmu i swobody, nie jest tylko zbiorowiskiem postaci ujemnych i dodatnich. Stendhal zapewne nienawidził sercem i rozumem racjonalistę XVIII wieku, tępego i złego księcia Parmy, ale nie waha się pokazać nam wszystkich motywów, które kierują jego postępowaniem. Stendhal nie sprząta zapewne hrabiemu Mosca w okresie gdy ten wykonuje swój urząd na dworze Parmy, ale pokazuje jednocześnie ograniczoną i niską zawzięłość przeciwników — liberałów.

Fabrycy del Dongo nie jest jedynie młodym, uroczym, zapalonym do przygód szlachcicem włoskim, ale jednocześnie jest cyniczny, obłudny i wyrachowany. Pani Sanseverina, zakochana w Fabrycy nie tylko marzy o nim, ale bardzo realnie działa, wychodząc za mąż za starego arystokratę, z którym nie będzie pod jednym dachem nawet tygodnia, pozwala, by kochał się w niej potężny Mosca. Gdy Mosca traci wpływ na księcia, pani Sanseverina nie porzuca go jednak, bo jeśli nawet kocha bardziej Fabrycego niż hrabiego Mosca, i przeciwieństwo przeżyła z nim w Parmie zbyt wiele, by się od niego odwrócić. Stendhal łamie kanon powieści romantycznej, w której uprawnione są tylko i zalecane wnioski oraz szlachetne akcje człowieka. Epilogiem tej wspaniałej książki mogłoby być szczęśliwe połączenie kochanków lub tragiczne, kładące kres ich życiu wydarzenie. Tymczasem, zgodnie z ludzkim prawem kolej losu, Mosca żeni się z panią Sanseverina wtedy, gdy oboje są już nie najmłodsi, Fabrycy umiera w pustelni parmeńskiej „położonej w lasach niedaleko Padu, w odległości dwóch mil od Sacca” Mosca, bynajmniej nie zniechęcony głupotą księcia Parmy, służy znowu jego następcy. Dzieje ludzkie zostały opowiedziane dokładnie, z umiarem, z tą doskonałą bezstronnością, której po latach zawdzięczamy to, iż „Pustelnia Parmeńska” nie jest tylko martwym tytułem w historii literatury.

Sekrety „Pustelni parmeńskiej”, podobnie jak sekrety innych wielkich powieści francuskich czy rosyjskich XIX wieku, polegają na krytycznym, trzeźwym obiektywizmie z jakim autorzy traktują sprawy ludzkie. Świadomość, że urządzenia świata są zmienne i że je zmieniać należy, pozwalają Stendhalowi zrationalizować przyczy-ny klęsk ponoszonych przez bohaterów „Pustelni”. Ale ten sam mądry i spokojny racjonalizm każde uznać Stendhalowi, że natura ludzka nie jest jednorodna, że istnieją w nas cechy stałe, nieznacznie tylko zmieniające się pod wpływem czasu i środowiska — egoizm, słabość, obłuda, lęk przed siłą. Ludzie Stendhala wyposażeni są w komplet cnót i w komplet wad: tylko dlatego są żywymi, prawdziwymi ludźmi.

Myślę, że literatura, która rezygnuje z obdarzania swoich bohaterów wszystkimi cechami, jakie są związane z ich życiem, nie ma szans przetrwania. Myślę także, że nauka moralna, płynąca z takich dzieł jak „Pustelnia”, „Czerwone i czarne”, jak książki Flauberta, jak powieści Turgeniewa, jeśli nawet nie działa wprost, to w każdym razie działa skuteczniej niż moralność tych utworów, których autorowie z lekkim sersem obdarzają swoich bohaterów jednym tylko określeniem i zaopatrują ich tylko w jeden komplet — cnót. Taka literatura wydaje mi się fałszywa i płaska. Pisarz, który zaleca czytelnikowi, by rozwiązywał w ślad za nim problemy ludzkiego szczęścia, musi mieć odwagę pokazania swojej koncepcji szczęścia i nieszczęścia, prawdy i błędu. W przeciwnym bowiem razie czytelnik, pozbawiony prawa samodzielnego wyboru, gotów uwierzyć autorowi na słowo. Wielka literatura nigdy nie kazała nam wierzyć. Wielka literatura Stendhala, Tolstoja, Dostojewskiego, Flauberta, zawsze stawiała nas przed decyzją, kazała wiedzieć. Stendhal, jak może nikt z pisarzy minionego stulecia, rozbił mitologiczne schematy rzeczywistości i podobnie jak encyklopedyści, choć posługując się inną zupełnie metodą, postawił nas oko z realną rzeczywistością historyczną i prawdą psychologiczną. W „Pustelni parmeńskiej” te dwa zasadnicze elementy bez których nie ma naprawdę wielkiej literatury, a więc takiej literatury, która jest w stanie przetrwać i z rąk intelektualnej elity może być przeniesiona w masę, są z sobą ściśle związane i stanowią o doskonałej kompozycji tego dzieła, gdzie sztycherstwa z władzy autokratycznej przepłatają się z opisami stanów psychologicznych. Ta cała publicystyczna część „Pustelni” stwarza tło na którym rozgrywa się historia klęsk Fabrycego del Dongo.

Jeśli istnieją w literaturze jakieś „sekrety zawodowe”, jakieś recepty na to, by napisać dzieło doskonałe — to pilne studowanie „Pustelni” odkryje je z pewnością uważnemu czytelnikowi. W tym sensie zapewne Balzac mówił o elitarności „Pustelni” i z tą myślą Stendhal, kończąc swój rękopis, położył na nim napis angielski „To happy few”, co znaczy — „dla szczęśliwych wybrańców”. Jeśli istnieje sekret, który sprawia, że książka napisana przed stu laty dla „szczęśliwych wybrańców” staje się dziś własnością czytelników mas, to sekretu tego szukać zapewne należy w tym, że „Pustelnia parmeńska” mówi prawdę o człowieku głosem tego samego zwycięskiego racjonalizmu, który przez dziesiątki lat domagał się, by garstka „szczęśliwych wybrańców” ustąpiła miejsca wyznaczonym ludziom, którzy podobnie jak bohaterowie w książkach wielkich pisarzy — ponoszą klęski, osiągają zwycięstwa, żyją życiem prawdziwym w zetknięciu z rzeczywistością, a co ważniejsze — żyją z pewną świadomością, iż ta rzeczywistość jest trudna, skomplikowana i nie zawsze człowiekowi życzliwa.

Jeśli sekret wielkiej literatury istnieje, jeśli potrafimy nieomylnie klasyfikować książki, jeśli nie niszczy ich czas, jeśli nie umierają one w naszej pamięci w godzinę po ich przeczytaniu, to dzieje się tak dlatego, że w tych książkach została zamknięta wiedza o świecie i o ludziach, podobna do naszej, wiedza, której ufamy bezgranicznie, gdyż sami sprawdzamy ją nieustannie w naszym własnym życiu. Książki, które są syntezą najszerzych i najbardziej rozległych doświadczeń, książki, które nie waha się opowiedzieć nam o gorczy i trudzie tych doświadczeń, książki, gdzie zachowano proporcje i życzliwy umiar w ocenie ludzkich zasług i błędów, będą nam towarzyszyły zawsze i mimo okrutnych prawd jakie w sobie zawierają, będą nas uczyły rzeczywistego optymizmu. Napisałem „mimo”, a właściwie wydaje mi się, że należałoby napisać: „dzięki okrutnym prawdom”. I to jest pewnie cały sekret „Pustelni parmeńskiej”.

Paweł Hertz

ADOLF RUDNICKI

SZEKSPIR

opowiadania

„KSIĄŻKA”

Cena 320 zł.

Stron 244

PAWEŁ HERTZ

SEDAN

opowiadania

„KSIĄŻKA”

Cena 300 zł.

Stron 242

BOGATY POLSKI CHŁOP PRZEKLINA SWOJĄ SIOSTRĘ KTÓRA UCIEKŁA Z DZIKIM CZŁOWIEKIEM

Feliksowa poszła z naszego domu i tym razem już na dobre, mam nadzieję.
Ona i jej mąż wzięli krowę którą dał im ojciec i sprzedali ją.
Poszła jak świnia, bo nie pożegnała się ani ze mną, jej bratem, ani z ojcem, przed odjazdem w tamte lasy.
Tam jej miejsce, z niedźwiedziami a nie z ludźmi.
Zawsze była jak ta małpa, małpą będzie tam z tym dzikim swoim mężem.
Nikt uczelwy nie postąpiłby jak oni.
A kto winien? Ileż na mnie i na ojca się nakłeli!
Niechaj Bóg ich za to skarże. Myślą tylko o pieniądzach. Wyrzekają się kościoła kiedy tylko pieniądz gdzieś poczują.

PAROSTATEK

Niedzielną noc i policjanci w parku mówią że jest ciemno jak gromada czarnych kotów nad jeziorem Michigan.
Wielki statek majówkowy wraca do Chicago z brzoskwinowych farm w Saugatuck.
Setki żarówek przełamują ciemność nocy, stado czerwonych i żółtych ptaków z nieruchomymi skrzydłami.
Nad barierą wzdłuż pokładu są festony i pętelice świateł skaczą z dzłoba i rufy do wysokich kominów.
Ponad szorstkim chrupaniem fal przy moim mołu przychodzi szorstka odpowiedź w rytmicznym umfą trąb grających polską piosenkę na powrót do domu.

KOPACZE

Dwudziestu ludzi stoi przyglądając się kopaczom.
W brzegi rowu ostrzem uderzają
Tam gdzie żółto polyskuje glina,
Coraz głębiej idą ich łopaty
Robiąc miejsce na gazowy przewód
I pot z twarzy każdy z nich ociera
Czerwoną chustką.
Kopacze pracują... przerwa tylko poto
Żeby buty wyciągnąć z błota które chlupie.
Z dwudziestu ludzi którzy patrzą na to
Dziesięciu mruczy: „To cholerna praca“
A dziesięciu: „Jezu, żebym ja miał pracę“.

ZBRUKANA GOŁĘBICA

Bądźmy sprawiedliwi. Nie była dziwką nim nie wyszła za mąż za prawnika z koncertu, który wziął ją z baletu Ziegfelda.
Przed tym nie brała niczych pieniędzy i płaciła za jedwabne pończochy z tego co zarobiła tańcząc i śpiewając.
Kochała jednego mężczyznę i on kochał sześć kobiet i gra zmieniała jej wygląd i trzeba było coraz więcej pieniędzy na masaż i zakłady piękności.
Teraz prowadzi długą, wysmukłą, jej własny samochód, czyta w gazetach co robi jej mąż w między-stanowej komisji handlowej, potrzebuje gorsetu obszerniejszego z roku na rok i myśli czasem jak jeden mężczyzna radzi sobie z sześcioma kobietami.

KAZIMIERZ BRANDYS

PO TRZECH LATACH

M IJA właśnie trzy lata, jak w marcu 1945 r. przyjechałem do wyzwolonego Krakowa, aby połączyć się z warszawskimi pisarzami, którzy osiedli na Krupniczej. Zawędrowałem tam dość okrutną drogą: ze wsi pod Mogielnicą przez Lublin i Warszawę. Dopiero na pontonowym moście koło ul. Karowej przypadkowy przechodzień powiedział mi, że w Krakowie literaci mają swój dom, redakcję „Odrodzenia“ i wieczory autorskie. Zagrała we mnie krew: chciałem pisać, drukować, wydawać. Tego samego dnia, towarowy pociąg unosił mnie w kierunku Krakowa. Dla ścisłości muszę dodać, że unosił mnie cztery dni. W tym czasie transport nie wydobyl się jeszcze z chaosu.

W Krakowie zastałem grupę ludzi tak samo wygłodniałych, obdartych i spragnionych pisania. Każdy przeżył conajmniej kilka powieści, był bohaterem lub świadkiem upiornych faktomontażów, każdy miał na ustach pytanie: co to było? jak to się stało? gdzie podział się człowiek? Jak wiadomo, z takich pytań powstaje literatura. I właśnie z takich pytań wówczas zaczęła powstawać.

Aktywność literacka w pierwszym okresie po wyzwoleniu rozładowała się w dwóch postaciach: w publicystyce i w gromadzeniu autentycznych materiałów. Kie-

dy dziś przeglądam roczniki pism i katalogi wydawnictw z tego okresu, uderza mnie siła i jednorodność zgodnego odruchu, z jakim pisarze, jedną ręką rozporządzając intelektualny wykład przeżytych doświadczeń, drugą jednocześnie rejestrowali fakty z niedawnej rzeczywistości. Już wtedy nazywałem ten okres okresem laboratorium i inwentaryzacji. Literatura nasza w tym czasie próbowała analiz ideologicznych w otwartych dyskusjach między pisarzami, a równolegle inwentaryzowała materiały ostatnich lat w licznie wydawanych utworach o charakterze pamiętnikarskim, reportażowym, dokumentarnym.

O twórczości tego okresu można dziś wydać pierwszy ostrożny sąd. Nie wnikać w słuszność czy wartość poszczególnych wypowiedzi, można ocenić ich funkcję społeczną jako zjawiska. Otóż funkcja ta w jednym i drugim wypadku wydaje mi się bezspornie dodatnia. Zarówno dla pisarzy, jak i dla odbiorców.

W toku dyskusyj literackich, w jakie obfitowało trzylecie po wojnie, uświadomiono sobie doniosłą prawdę: prawdę o ścisłym związku między kształtem artystycznym a ideologią dzieła. Jest to prawda użyteczna nie tylko dla warsztatu pisarza, ale i dla umysłu czytelnika. W ciągu trzech lat starć literackich i ideologicznych na łamach miesięczników, tygodników, a nawet pism codziennych — dano mu nowy klucz do zjawisk kulturalnych: świadomość wzajemnych powiązań między polityką a kulturą. W ogniu polemik, kiedy padały obok siebie słowa: marksizm i realizm, katolicyzm i psychologizm,

Gombrowicz i reforma rolna — uwydatniła się oczom pisarzy i odbiorców wspólność dwóch dziedzin działalności ludzkiej, między którymi przedwojenny klerk wołał nie dopatrywać się związków.

Z drugiej strony, to samo trzylecie zapoczątkowało rzeczywisty dopływ nowych elementów do twórczości powieściowej. O wdzieraniu się reportażu do beletrystyki mówiono już trzydzieści lat temu, wiem o tym. Ale nie zmienia to faktu, że w najlepszych utworach, jakie czytałem w ostatnich latach w Polsce, element reportażowo-publicystyczny nie tylko istnieje naprawdę, lecz ponadto jest żywy, pozytywny i stanowi dodatnią wartość w kompozycji (Borowski, Dygat, Hertz, Rudnicki). Czy powinniśmy się tym martwić, czy też cieszyć? Każdy nowy element życia w dziele artystycznym jest jego nową wartością. Przesadna obrona „klasycznej“ czystości wątków powieściowych wydaje mi się tak samo naiwna, jak walka z wszelką fikcją literacką na rzecz autentyzmu i faktografii. Czy powieść, jako gatunek, przeżywa swój kres, czy też ma przed sobą drogę dalszego rozwoju? Powieść, jako gatunek ma przede wszystkim niezwykle rozległe granice, — potrafi w nich wygodnie pomieścić najbardziej zaciętych swoich buntowników. Proza literacka, w ciągu trzylecia o którym piszę, napewno nie doznała uszczerbku w swej żywotności. Przeciwnie, wszystko zdaje się przemawiać za tym, że nadal otrzymuje mocne, świeże posiłki formalne i ideologiczne.

Dostrzegam jednak pewne znaki na firmamencie literackim, które kto wie czy

C A R L

przekłady

OD TŁUMACZA

Carl Sandburg urodził się w szwedzkiej rodzinie w r. 1878, w Galesburg, w stanie Illinois. Jest to poeta bardzo ściśle związany z tą częścią Stanów Zjednoczonych, a szczególnie z Chicago. Fakt ten, w połączeniu z datą jego urodzenia, daje nam pewien klucz do jego twórczości. Jak wiadomo koniec XIX wieku i początek XX był okresem gwałtownego i szybkiego rozwoju Middle West'u. Na te lata przypada największe nasilenie emigracji z ubogich krajów Europy: z Polski, Węgier, Włoch, Irlandii. Emigracja ta kierowała się głównie do szybko uprzemysławiających się stanów środkowych, dostarczając taniego robotnika, którego interesów nie strzegły żadne związki zawodowe. Brutalny świat jaskrawych kontrastów i bezwzględnej walki o istnienie kształtował młode lata Sandburga. Jeżeli wymienimy dwóch rówieśników Sandburga, którzy pisali o Middle West — Teodora Dreisera i Uptona Sinclaira — zrozumiałe się stanie podłoże, na jakim powstawała ta literatura. Ciekawe jest, że powieść realistyczna owego okresu dużo zawdzięcza dziennikarstwu. Niemal wszyscy ówczesni wybitniejsi pisarze od dziennikar-

stwa zaczęli, a ich przerwienie się do literatury było wynikiem rozczarowania: w dziennikarstwie nie mogli powiedzieć całej prawdy, silnie odczuwana chęć powiedzenia prawdy zmuszała ich do szukania środków, które okazały się w wielu wypadkach rewolucyjne. Tak więc tę literaturę można nazwać z pewną dokładnością literaturą „bezkompromisowych dziennikarzy“.

I Sandburg był przez długie lata dziennikarzem. Przed tym, od trzynastego roku życia, wykonywał wiele zawodów: był mleczarzem, posługaczem u fryzjera, robotnikiem teatralnym, robotnikiem rolnym, działaczem socjalistycznym, lekkoatletą, garniarzem, żołnierzem w wojnie amerykańsko-hispańskiej. Zawody te dały mu zasób wiedzy o życiu w Stanach oglądanym od dołu, a także zamiłowanie do pieśni ludowej, przypowieści, ludowego dowcipu. Ułożył on w późniejszych latach jeden z najbardziej znanych zbiorów pieśni ludowych — „The American songbag“.

Sandburg jest poetą ludowym w tym sensie, że budował swoją poezję na języku najbardziej potocznym, z dużą ilością gwary. Wzorem był tutaj Walt Whitman (który umarł w r. 1892, a więc kiedy Sandburg miał

OGRODZENIE

Gotów już jest kamienny dom na brzegu jeziora i robotnicy zaczynają ogrodzenie.
Pallasada jest z żelaznych pali o stalowych ostrzach które mogą wypruć życie z każdego człowieka.
Jako ogrodzenie jest to arecydło i nie dopuści hołoty, ni włóczęgów, ani głodnych, ani dzieci waleśających się w poszukiwaniu miejsca do zabawy.
Przez te pale, nad ostrzami, nie nie przejdzie, chyba tylko Śmierć i Deszcz i Jutro.

ODJECHAŁA

Każdy kochał Chick Lorimer w naszym miasteczku
Daleko stąd.
Każdy kochał ją.
Bo harda dziewczyna która idzie za swoim marzeniem wszyscy mężczyźni kochają.
Nikt nie wie dokąd poszła Chick Lorimer.
Nikt nie wie czemu walizkę spakowała
...trochę starych rzeczy i odeszła
Z małym podbródkiem naprzód wysuniętym
Z miękkim włosom syplącym się niedbale
Z pod szerokiego kapelusza,
Tancerka, śpiewaczka, śmiejąca się namiętna kochanka.
Czy dziesięciu czy stu mężczyzn gonilo za Chick?
Czy pięciu czy pięćdziesięciu miało serca złamane?
Każdy kochał Chick Lorimer.
Dokąd odjechała nikt nie wie.

ŁOPACIARZ

Na ulicy
Przełożona przez ramię naukos rękojeść,
Przywiązane wielkim węzłem na szuflę z żelaza
Robocze ubranie zblakłe od słońca i od deszczu
w rowach
Odprysk suchej gliny żółty na lewym rękawie
I wynięta koszula otwarta na szyi.
Dla mnie to jest łopaciarz.
Makaroniarz pracujący za dolara sześćdziesiąt dziennie.
A ciemnonoka kobieta w starym kraju marzy o nim

jako o jednym z najdzielniejszych mężczyzn świata, z parą świeżych warg i pocałunkiem lepszym niż wszystkie dzikie winogrona, jakie rosły kiedykolwiek w Toskanii.

MIŁOŚĆ MURARZA

Chciałem się zabić, bo jestem tylko murarzem, a ty kobietą która kocha człowieka co ma sklep.

Nie obchodzi mnie to, jak obchodziło. Klade cegły prościej niż dawniej i śpiewam wolniej, poruszając kielnią po południu.

Kiedy słońce jest w oczu i drabiny się chwieją i wapno się rozlewa, wtedy myślę o tobie.

nie świadczą, że charakterystyczny okres twórczości pierwszych lat po wojnie przekracza dzisiaj jakieś ważne progi. Cóż na to wskazuje?

Według mnie — liczne objawy. Po pierwsze: dyskusja ideologiczno-artystyczna, która wprawdzie jeszcze trwa na łamach periodyków, zaczyna tracić swoje dawne natężenie w oczekiwaniu na nowe fakty literackie. Jak długo można jechać na brakach czy przeroskach dwudziestolecia? Kto zdoła wytrzymać wywoływanie ducha Balzaka dłużej niż trzy lata? Nową burzę mogłaby rozpetać jedna nowa książka, ale ani klasycy XIX wieku, ani problem honoru u Conrada, ani „Ferdynandurke“ — nie dadzą już świeżego napędu. Tymczasem więc, w oczekiwaniu na to co Bóg da, trwa zabawa w „kukulki“, „zajączkę“ i w strzelanie z pistoletu do zagranicznych słów.

Fakt, że beletryści i poeci zmęczeni się publicystyką, należy chyba uznać za zupełnie naturalny. Nie każdy może dłużej niż trzy lata uprawiać specjalność sąsiada. Przykład Bolesława Prusa, który z pracą powieściopisarską potrafił godzić swe słynne „Kroniki tygodniowe“, powiększa podziw dla autora „Lalki“, ale nie powinien dla nikogo stwarzać obowiązków. Na ogół bowiem powieściopisarz lub poeta, zwłaszcza w okresach twórczych, z trudnością łączy swą pracę artystyczną z zawodem dziennikarza czy publicysty. Stało się tak, że dziś w Polsce powieściopisarze zasiedli do powieści, poeci do poezji, a publicystów szukaj ze świecą w ręku. Nie sprawdziła się groźna wróżba Kazimierza

SANDBURG

Czesława Miłosza

14 lat i rozwoił mleko). Hymniczny i optymistyczny pierwiastek, tak właściwy Whitmanowy, jest b. silny u Sandberga.

Twórczość Sandberga miała różne fazy. Jego ostatni tom, wydany kilka lat temu (bo Sandburg żyje i pisze) p.t. „The people's eyes”, jest rodzajem „skarbnicy mądrości ludowej”, w formie rozbudowanych poetycko-przysłów i opinii ludowych. Wyraża on wiarę w przyszłość i zwycięstwo ludu w duchu tradycji Lincolna (Sandburg jest też autorem monumentalnego życiorysu Lincolna prozą). Ten tom jest wyżej ceniony, niż kilka poprzednich, którym słusznie zarzuca się zbytnią gadatliwość, oraz mglistość myślową i formalną. Równie wysoko, a raczej wyżej, należy ocenić pierwszą fazę Sandberga, który zresztą zyskał rozgłos późno, w trzydziestym dziewiątym roku życia.

Wiersze przedłożone pochodzą głównie z tej fazy, a więc przeważnie z lat 1914 — 1920. Pierwsze filmy Chaplina o charakterze clownowsko-jarmarczonym mogą służyć za ilustrację tej epoki, pod warunkiem, że się w nich umie zobaczyć więcej niż czysty humor. (Dlaczego do nas nie sprowadzi się tych filmów? Są to bez wątpienia już klasyczne

dzieła filmu. Mają dorobioną muzykę i można je od czasu do czasu widzieć w Ameryce w bardziej postępowych kinach. Są znakomite).

Sandburg używa wiersza wolnego, wzmacniając go powtórzeniami i inkantacjami. Poza wpływem Whitmana trzeba pamiętać o tym, że w okresie w którym Sandburg debiutował poeci amerykańscy szczególnie lubili wiersz wolny, w znacznym stopniu pod wpływem teorii przychodzących z Francji. Od tego czasu poszli oni daleko w kierunku nowych rygorów formalnych, starając się jednak zachować cechę bardzo przez nich cenną t.j. eksperymentalne traktowanie metry i gwary. Dla Sandburga wiersz oswojony od regularnego metrum i rymu nie był tylko wynikiem estetycznej teorii, powstawał z pasji reporterskiej i dlatego oznacza ważny etap w historii poezji amerykańskiej.

Podane wiersze stwarzają, jak łatwo zauważyć, pewną „sytuację dramatyczną” w skrócie. To po pierwsze. Po drugie, jedynym zamiarem autora zdaje się być pokazanie otaczającego go świata takim jakim jest naprawdę, z tym samym rozłożeniem światła i cieni.

OMAHA

Czerwone spichrze i czerwone jałówki na zielonych kępkach trawy dookoła Omaha. Tanki śmietany, wozy sera hólują farmerzy.

Podmyte urwiska za rzeką przy Council Bluffs i rudery wiszą na włosku, przylepione do zboczy pagórków z tej strony Omaha.

Rzut stali wiąże bratnie Nebraska i Iowa ponad żółtą, szeroko-kopytną rzeką Missouri.

Omaha, chamskie miasto, żywi armie, je i klnie brudną twarzą. Omaha pracuje żeby dać światu śniadanie.

DOM

Dwie szwedzkie rodziny mieszkają na 50le, a na górze irlandzki policjant i stary żołnierz, wujek Józef.

Dwaj szwedzcy chłopcy idą odwiedzić Józefa. Jego żona nie żyje, jedyny syn nie żyje, a dwie córki, w Missouri i Texas, nie chcą go mieć u siebie.

Chłopcy i wujek Józef rozbijają orzechy młotkiem na dnie żelazka i styczulowy wiatr wyje i mroźne powietrze plecie koronkę na okiennej szybie.

Józef opowiada szwedzkiemu chłopcom o Chickamauga i o Chattanooga, jak żołnierze Unii wpełzli gdzieś w deszcz pewnej ciemnej nocy i biegli naprzód i zabili wielu Buntowników, zdobyli flagi, utrzymali pagórek i odnieśli zwycięstwo o którym mówi się w szkołach.

Józef bierze kawałek stolarskiej kredy, rysuje linie na podłodze i układa polana drzewa, pokazując gdzie sześć batalionów zostało wyciętych, gdy zdobywały pagórek.

„Szli tędy” i „Szli tamtędy” — mówi Józef — a styczulowy wiatr wyje i mroźne powietrze plecie koronkę na okiennej szybie.

Dwaj szwedzcy chłopcy idą na dół z wielką mazaniną, działo, ludzi i pagórków w głowach. Jedzą śledzia i kartofle i mówią rodzinie że wojna to чудо i żołnierze to чудо.

Jeden z nich wykrzykuje nagle przy kolacji: „Chciałbym żeby była teraz wojna i żebym mógł być żołnierzem”.

SZCZĘŚCIE

Prosiłem profesorów którzy uczą o sensie życia aby powiedzieli czym jest szczęście.

I poszedłem do słynnych zarządców, którzy pracą tysięcy ludzi kierują.

Wszyscy potrząsnęli głowami i uśmiechnęli się, jakbym chciał z nich zażartować.

A wtedy, któregoś niedzielnego popołudnia, przechodziłem nad Desplaines River

I zobaczyłem gromadę Węgrów pod drzewami, z dziećmi i kobietami, i beczulkę piwa i harmonię.

CZŁOWIEK, OPRAWCA CZŁOWIEKA

Widziałem człowieka, oprawcę człowieka
Połującego z pochodnią w jednym ręku
I z bańką nafty w drugim ręku,
Połującego z bronią, sznurem, kajdankami.

Słuchałem
I wysoki krzyk zadzwonił,
Wysoki krzyk człowieka, oprawcy człowieka:
Dostaniemy jeszcze ciebie, ty skwysynie!

Słuchałem później,
Wysoki krzyk dzwonił:
Zabić go! Zabić go! Skwysyna!

W porannym słońcu zobaczyłem
Dwa końca czegoś, kadłub dymiący
I ostrzeżenie zwęglonego drzewa:

Więc dostaliśmy go,
skwysyna.

BURMISTRZ MIASTA GARY

Zapytałem burmistrza Gary o 12-godzinny dzień i 7-dniowy tydzień.

I burmistrz Gary odpowiedział że więcej robotników w Gary kradnie czas pracując, niż gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych.

„Radzę pójść do hut i zobaczyć ludzi jak siedzą i nie robią — maszyna robi wszystko” — powiedział burmistrz Gary kiedy zapytałem go o 12-godzinny dzień i 7-dniowy tydzień.

Widziałem przewlekną kremową spodnie, ten burmistrz Gary, i białe pantofle i fryzjer właśnie zaczesał go i ogolił i był spokojny, niewzruszony, choć termometr biura pogody wskazywał 96 i dzieci zwijały głowy w belkoczących fontannach na rogach ulic.

I pożegnałem się z burmistrzem Gary i wyszedłem z ratusza i zawróciłem na główną ulicę.

I zobaczyłem robotników którzy nosili buty wydęte od ognia i żużli i podziurawione od bieżącej płynnej stali.

I niektórzy mieli zawodowe mięśnie przy łopatkach jak surowe żelazo, mięśnie ich przedramienia były blachą stalową i wyglądali mi na ludzi, co gdzieś byli.

Wyki, który przepowiadał, że — po wyčerpaniu powieściowych rezerw, nagromadzonych w czasie okupacji — do biur wydawniczych przestaną napływać nowe rękopisy. Możemy być spokojni — w bieżącym miesiącu w witrynach księgarskich ukazało się pięć tomów beletrystycznych dobrej klasy, rozpoczętych i ukończonych po r. 1946, wiele innych spoczywa w manuskryptach na dnie szuflad sfinksów wydawniczych, jeszcze inne są w toku. Za to nowych publicystów — na lekarstwo. Dobry reportaż zapalił się i zgasił jak rakietę. Łatwiej spotkać wielbłąda na Marszałkowskiej, niż nowy tom z zakresu krytyki literackiej. Wróżby K'jw należy więc odczytywać nawspak, inaczej się nie sprawdzają.

Drugi objaw charakterystyczny: pisarz i czytelnik odwracają się od faktografii okupacyjnej. Sprawa bardzo prosta: materiał został zinwentaryzowany; opis, relacja, dokument nie zaspokajają potrzeb intelektualnych, a potrzeby te wciąż rosną. Na pierwsze pytanie: jak było? otrzymano już odpowiedź; musi ono ustąpić dziś miejsca nowym: dlaczego tak było? dokąd zmierza człowiek, wyprowadzony z tamtych czasów? Na te pytania nie dadzą już odpowiedzi książki tak skądinąd cenne jak „Dymy nad Birkenau”, lub tak popularne jak „Trzynastcie opowieści”.

I tu właśnie, w jednoczesnym odwróceniu pisarza od publicystyki oraz faktografii, dostrzegam charakterystyczny moment zakreślenia. Przed rozpoczęciem poszukiwań nowych prawd o człowieku został jakgdyby zamknięty okres czynności przygotowawczych: rewizji ideologicznej i badania

mieznanych, nieuległych artyście realiów. Dalej otwiera się wielka droga: droga opowieści o życiu i przygodach ludzkich, poddanych prawom historii, o miłości między kobietą a mężczyzną, schwytej w tryby ponadindywidualnych doświadczeń, o nędzy i bogactwie, ukazanych w świetle ich prawdziwych przyczyn, o nienawiści i lęku, o wszystkim, co przeżywa i czemu ulega człowiek — wiecznie zmienny bohater naszych książek.

Czy taka literatura zaspokoi potrzeby czytelnika, czy stanie się użyteczna dla szerokiej mas odbiorczych? Myślę, że je zaspokoi i że stanie się użyteczna — w tym samym stopniu co niegdyś twórczość wielkich pisarzy ludowych, jak Turgieniew w Rosji, Zola we Francji, czy Orzeszkowa w Polsce. Takiej literatury chce dziś każdy człowiek, takiej literatury chciał zawsze i będzie chciał zawsze. Tylko ona dawała mu to, czego spodziewał się od wszelkiej sztuki: urok jednorazowej fikcji, niepostrzeżenie wyrażającej powszechne prawa rządzące jego życiem. Na taką sztukę trzeba nieraz czekać dość długo, szanowni przeciwnicy fikcji literackich.

Czy to wszystko? Nie, jeszcze nie wszystko. Obok bowiem literatury, w której pokładamy najwyższe nadzieje, a o której nadejściu miałby prawo z ironicznym uśmiechem zwać tylko ten, kto przestał wierzyć, że w ogóle kiedykolwiek wielka literatura może się w Polsce narodzić, obok pierwszych, dalekich jeszcze zapowiedzi tej literatury — dostrzegam rozlewający się skwapliwie nurt innej twórczości pisarskiej, mniejszego może lotu, któ-

rej wszakże użytek i znaczenie byłoby błędem lekceważyć.

Myślę tutaj o literaturze t. zw. małych zamówień społecznych. Potrzeba jej, mniej wprawdzie artystyczna, o charakterze nieraz wyłącznie wychowawczym czy propagandowym, lecz niewątpliwie żywotna i realna, daje się odczuć zwłaszcza od strony ośrodków działalności społeczno-politycznej, administracyjnej, a także oświatowo-kulturalnej. Związków zawodowych, zrzeszenia społeczne, świetlice, teatry robotnicze, instytucje oświatowe czy użyteczności publicznej — potrzebują utworów literackich, w których znalazłyby wyraz ich dążenia czy osiągnięcia, lub które by spełniły doraźną funkcję dydaktyczną w zakresie ich działalności. W ten sposób, nieraz w drodze „zamówień” w znaczeniu dosłownym, powstają utwory reportażowe czy reportażowo-powieściowe o hutach żelaznych, milicji, flocie handlowej, nauczycielstwie, osadnictwie na Ziemiach Odzyskanych lub odbudowie przemysłu.

Spotykałem zdania upatrujące niebezpieczeństwo tego rodzaju produkcji literackiej dla powszechnych wyobrażeń o sztuce i literaturze oraz dla „górnego” poziomu twórczości artystycznej. Nic bardziej fałszywego. Obydwa nurty pisarskie wpływają z odmiennych potrzeb, współistniejących w każdym zdrowym społeczeństwie. Potrzeba średniej, użytkowej twórczości literackiej jest, powtarzam, potrzebą rzeczywistą i jej zaspokojenie nie może przynieść szkody żadnej wartości ani żadnemu człowiekowi. Czytelnik nie

pomiesza tych dwóch gatunków pisarskich, tak jak nie pomiesza plakatu z olejnym krajobrazem. Literatura, o jakiej tu wspominam, odznacza się na ogół własną specyfiką: operuje w ściśle odmierzonych polach tematycznych, przedstawia celowo określony zespół realiów, a pisząc o człowieku ukazuje go zazwyczaj nie w świetle jego losu, lecz w świetle jego funkcji. Dlatego — jeśli są to powieści — zawsze będą bliskie reportażu. Każdy go rozpozna, każdy, kto zechce, przyjmie, nikt nie pomiesza z Joyce'm.

Zgodne współzycie tych dwóch gatunków twórczych powinno i może odbywać się w sposób naturalny i niczym niezamierzony. Sądzę, że każdemu pisarzowi należy pozostawić otwartą drogę wyboru między jednym a drugim. Napewno istnieje wiele wypadków, gdy pisarz, uchylając się od wykonania „małego zamówienia”, choćby o niewątpliwym użytku — nie popada przez to w kolizję z powołaniem społecznym swojego zawodu. Organizacja twórcza artysty jest dziedziną nie zawsze uległą doraźnym potrzebom — nieraz wymaga wielkich obszarów czasu, a nawet samotności, dla przelania swej wizji w kompozycję.

Mądra polityka kulturalna ma przed sobą doniosłe zadanie: nie naruszając naturalnej dwupostaciowości rodzącej się literatury — wyciągnąć z niej najlepsze korzyści dla pisarza i odbiorcy. Sądzę, że można ufać w pomyślną przyszłość tej sprawy.

Kazimierz Brandys

MIECZYŚLAW WIONCZEK (New-York)

Kronika amerykańska

Chorobie „dziecięcia pieniądza“

SLEDZENIE życia umysłowego Ameryki nie jest rzeczą łatwą. Jest ono wbrew pozorom bardziej zdecentralizowane niż się poza granicami USA przypuszcza i obcowanie ze sztuką i literaturą Ameryki wymaga dobrej znajomości geografii literackiej i wydawniczej kraju.

Można co prawda ograniczyć się do tygodniowych magazynów literackich „New York Timesa” czy „New York Herald Tribune”, bądź do jednego, rozchodzącego się po całym USA tygodnika literackiego „Saturday Revue of Literature”. Traci się wówczas jednak dużo, gdyż prawdziwe życie literackie, artystyczne i naukowe kraju toczy się w małych prowincjonalnych ośrodkach pryncypalnych, o których poza garstką wtajemniczonych wie niewielu. Dowodem ich istnienia są też miesięczne czy kwartalne magazyny typu przedwojennego polskiego „Ateneum” czy „Kamieny”, publikowane gdzieś w Oklahomie czy Texasie równie nieregularnie i dla równie małego koła czytelników jak wspomniane polskie wydawnictwa.

Pamiętając o istnieniu owych „Kamien” z Oklahomy i „Ateneum” z Texasu, nie należy jednak lekceważyć tego, co dzieje się na łamach kilku tzw. masowych mediów informacji o bieżącym życiu literacko-artystycznym USA, w rodzaju „Saturday Revue of Literature” (30.000 nakładu) czy dodatku tygodniowego do „New York Timesa”. Od paru tygodni właśnie na łamach „Saturday Revue”, której każdy numer składa się z jednego tylko artykułu i kilkudziesięciu stron recenzji z bieżącego ruchu wydawniczego, trwa dyskusja nad obecnym stanem literatury a raczej produkcji książkowej i krytyki literackiej Ameryki. Jest nad czym dyskusować, skoro produkcja wydawnicza USA — największa w świecie — wyszła w roku 1947 ponad 9000 tytułów. Po odliczeniu 2000 wznowień daje to siedem tysięcy nowych książek, których 21% (około półtora tysiąca pozycji) stanowią powieści.

Dyskusję rozpoczął artykułem pt. „O chorobie literatury” („The case of literary sickness”) Louis Bromfield, pisarz pokolenia Uptona Sinclaira, znany z przekładów na język polski powieściopisarz średniej klasy. Tytuł jego artykułu doskonale oddaje idea całej dyskusji. Owo schorzenie literatury a raczej życia literackiego współczesnej Ameryki polega zdaniem Bromfielda na jego komercjalizacji, dążeniu do taniej sensacji i sentymentalizmu „kulcie best — selleru (książki najlepiej sprzedawanej) i na braku w przeciwieństwie do lat po pierwszej wojnie, nowego pokolenia pisarskiego. Autor artykułu nie jest znanym — geniuszem i całkiem dobrze prosperuje w skomercjonalizowanej atmosferze Ameryki literackiej. Szereg jego powieści, krytykujących cywilizację kapitalistyczną (m. in. nieprzełożona na język polski powieść „Nowoczesny bohater”), z mniejszym co prawda talentem i mniejszą siłą od Sinclaira Lewisa czy Uptona Sinclaira, przyniosło Bromfieldowi w okresie międzywojennym ponad ćwierć miliona dolarów, sumę pokaźną nawet w stosunkach amerykańskich, jeśli pominąć autorów best-sellerów. Krytyka Bromfielda nie jest też, jak możnaby sądzić zemstą artysty na cywilizacji, która go odrzuciła, lecz raczej głosem pisarza zatroskanego o kulturę własnego kraju.

Gorzki, chwilami brzmiący beznadziejnie artykuł Bromfielda w „Saturday Revue of Literature” możnaby zamknąć w takich słowach: W techniczno-kapitalistycznej cywilizacji USA produkcja, krytyka i opinia literacka przypominają wszelkie inne gałęzie produkcji dóbr konsumpcyjnych. Osobowy stosunek twórcy, krytyka i czytelnika do dzieła literackiego i wzajemne stosunki między twórcą, krytykiem i czytelnikiem — stały się stosunkami rzeczowymi, opartymi na zasadzie wymiany usług na pieniądze i pieniądze na usługi. Pieniędzy mierzy się tak sukces pisarza jak i sukces dzieła. Przy zgodnej współpracy przemysłu wydawniczego i filmowego, krytyków, którzy są agentami sprzedawcy i publiczności, która obcuje z książką tak samo, jak pije whisky czy chodzi do kina i, ały się rozzerwać: Ameryka — w opinii Bromfielda — stała się pustynią intelektualną i literacką. Jest to zjawisko ze wszech miar niepokojące, gdyż — konkluduje Bromfield — śmierć dobrej literatury wskazuje zarówno na słabość narodu amerykańskiego, jak i na zanik w nim tej funkcji, jaką spełniali zawsze wielcy pisarze, tj. zmysłu krytycznego i zdolności oceny świata.

Wśród uczestników dyskusji, zainaugurowanej przez Bromfielda, nie ma dotąd przedstawicieli elity literackiej USA. Nie jest to rzecz niezwykła. Steinbeck, Faulkner i Caldwell, wielka trójca współczesnej Ameryki, żyją raczej na uboczu, zajęci własną twórczością artystyczną. W ciągu ostatnich dwóch lat żaden z nich nie zabierał też głosu w publicznych dyskusjach, a jedynym społecznym w pewnym sensie czynem wielkiej trójcy była seria artykułów Steinbecka o podróży do Rosji, opublikowana przed miesiącem w New York Herald Tribune. Intelektualiści Południa USA twierdzą też że stosunek Caldwellla do spraw rodzinnej Georgii, a Faulknera do spraw Missisipi sprowadza się wyłącznie do czerpania materiału obserwacyjnego i

wątków powieściowych z okolic, z których pochodzą i gdzie spędzają kilka miesięcy w roku.

W dyskusji „Saturday Revue of Literature” wzięli udział pisarze mniejszego kalibru: średniej miary poeta i powieściopisarz laureat cenionej nagrody literackiej Pulitzera, Conrad Aiken autorka wartościowych prac, z programica publicystyki i socjologii, o problemach rasowych Ameryki — Margaret Halsey; podróżnik i powieściopisarz — Ben Burman; wreszcie ukrywający swe nazwisko dostawca popularnych i dobrze płatnych nowel dla magazynów amerykańskich — anonim. Bromfield wzięł udział w dyskusji dwa razy po raz drugi — atakiem na krytykę amerykańską pt.: „Kaliopie i krytycy”.

Aiken w artykule pt.: „Wielkie rzesze konsumentów czekają...” („The great audience is ready”) mniej wykazał pesymizmu od Bromfielda. Oświadczył on, że analiza nastrojów w masach czytelników Ameryki wskazuje na dojrzwienie szerokiego grona poważnych odbiorców, czego zdaniem autora dowodem ma być widoczna zmiana stosunku otoczenia do poety i jego funkcji społecznej. Wg Aikena po raz pierwszy w dziejach USA wyższe uczelnie amerykańskie nie tylko tolerują poetów na katedrach, ale stworzyły instytucję poety-rezydenta, który przebywa na uczelni jako profesor bez obowiązku wykładania, a z obowiązkiem pisania wierszy, uświetniania uroczystości i różnych imprez kulturalnych uniwersytetów. Równocześnie Aiken przyznał musiał że dzisiejsze życie literackie Ameryki określić można najtrafniej dwoma niewykluczającymi się nawzajem terminami: dżungli literackiej i literackich zakładów przemysłowych.

Anonimowy dostawca śmiecia literackiego do magazynów o masowym nakładzie, dawniej — jeśli wierzyć na słowo autorowi i „Saturday Revue of Literature” — ceniony przez krytyków autor przetłumaczonej na kilka języków obojętnej powieści, bardzo ostro obszedł się ze swymi obecnymi chlebodawcami i rodzinnym krajem. Przyznając że „wstyd go ogarnia na myśl, ile milionów godzin tracą czytelnicy magazynów na lekturę bezwartościowego śmiecia, zamiast zająć się dobrymi powieściami Balzaca, Dickensa czy Conrada”, oświadczył, że młody pisarz amerykański nie może pozwolić sobie na ucziwle uprawianiu swej sztuki, gdyż okazuje się ona nikomu niepotrzebna i nie sposób zarobić nią na życie. Zdaniem anonimowego poczucie bezsilności młodego pisarza wobec żywiołów reklamy i fabrycznej twórczości literackiej jest zupełne. Pisarz taki postanawia niezależnie się od świata przez napisanie jednej, tylko jednej powieści dla Hollywood, ale owo artystyczne cudzołóstwo, w razie powodzenia, staje się ze środka celem i młody autor kończy jako jeden z tysięcy dostawców scenariuszy filmowych czy „stories” dla magazynów.

Owe sentymentalne scenariusze i „stories”, pozornie moralne i nieszkodliwe, są — według anonimów — zabójcze dla autorów i czytelników. Wystarczy przeczytać ich kilka (przeciętny czytelnik magazynów czyta ich kilkanaście w ciągu tygodnia), aby wejść w świat, w jakim żyją miliony obywateli USA.

Postulaty owego swoistego świata magazynów amerykańskich są następujące: „Miłość jest najważniejszą rzeczą w życiu ludzkim. Polega ona na działaniu gruczołów i prowadzi z reguły do czysto fizycznych celów, czasem — co gorsza — do celów pozornie sentymentalnych. Miłość taka rozwiązuje wszystkie problemy, a właściwie jest ona sama jedynym problemem. Życiową misją młodej kobiety jest zdobycie zdrowego samca, stojącego wyżej na drabnie ekonomicznej od niej. W tym celu kobieta musi wyglądać jak model fotograficzny i mówić jak bohaterka trzeciorzędnej powieści. „Story” kończy się natychmiast po zdobyciu mężczyzny przez kobietę (istnieje wariant, w którym kobieta odzyskuje utraconego mężczyznę), wówczas właśnie, kiedy rozpoczynają się rzeczywiste problemy dorosłych ludzi. — Ostatecznie wszystko sprowadza się do spraw, które potrafi rozwiązać przy pomocy paru złotych myśli miły i sentymentalny starszy gentleman, bądź też nie ma wogóle żadnego spraw do rozwiązania. Życie jest wg. magazynu amerykańskiego serią nieszkodliwych konfliktów, określanych przez diagnozę jako konflikty sercowe i leczonych licencją małżeńską. Co w takim świecie ma do roboty pisarz z prawdziwego zdarzenia — zapytuje nie bez rozpaczy anonim, który faktycznie kiedyś był pisarzem — zwłaszcza, że — co stwierdzają w dalszej dyskusji Ben Burman i Louis Bromfield — pisarz amerykański nie może oczekiwać żadnej pomocy ze strony krytyki literackiej, gdyż nie ma jej we współczesnej Ameryce.

Burman i Bromfield uzupełniają się wzajemnie. Burman atakuje krytyków z elitarnych magazynów literackich, którzy usiłują podać recepty na twórczość literacką, mierząc ją kryteriami europejskiej awangardy, która już dawno w Europie awangarda być przestała. Bromfield w artykule „Kaliopie i krytycy” atakuje krytykę komercyjną tj. sprawozdawców książkowych, z prasy codziennej i tygodników. Krytycy elitarni, któ-

rych bogami są nadal Joyce i Kafka — pisze Burman — byli nieszkodliwi dopóki ograniczali swe wystąpienia do szpalt nieczytanych przez nikogo periodyków. Obecnie jednak wyszli oni poza karty tych pism i usiłują publicznie mierzyć całą literaturę kryteriami, z których najważniejszym jest pogarda niezrozumiałców dla czytelnika. Wielbiciele Joyce’a, Kafki i Gertrudy Stein, prestidigitatorów XX wieku, gotowi są zamordować wielką literaturę. Na czym polegać ma owa wielka literatura, będąca w niebezpieczeństwie? „Widziałem — pisze Burman — na frontach w czasie wojny ludzi, czekających na sygnał do ataku który dla wielu z nich miał znaczyć śmierć. Z zapartym tchem czytali oni zabójcze księżycy, jakie przypadkiem wpadły im do ręki. Nie mogąc wyobrazić sobie tych ludzi, słuchających bezsensownego żargonu Gertrudy Stein, czy też czytających ostatni manifest egzystencjalistów”.

Bromfield, rozgrzmiając recenzentów, ponownie podkreśla fakt, że nie tylko sukces, ale i istnienie (w sensie zauważenia jej przez publiczność) książki amerykańskiej zależy całkowicie od aparatu propagandowego przemysłu wydawniczego, przemysłu o gigantycznych rozmiarach. Jeśli nowość wydawnicza z jakiegokolwiek względów nie otrzyma odpowiedniego przydziału aparatu propagandowego a la Hollywood, korzystnych ocen klubów książkowych i kampanii ogłoszeniowej, nie sposób aby zwrócić ona czyjąkolwiek uwagę w kraju, produkującym kilkadziesiąt książek dziennie.

Technika reklamowa zawiadnęła krytyką literacką — pisze Bromfield — a właściwie sprawozdawcami, którzy zależą w ten czy inny sposób od wielkich domów wydawniczych. Miejsce krytyków z prawdziwego zdarzenia zajęli trzecio i czwartorzędni dziennikarze zachwalający książki, tak jak zachwalała się konserwy mięsne i maszynny do prania bielizny. Inaczej było zdaniem pisarza przed dwudziestu laty. Wówczas krytyk był w USA prawie tak ceniony i znany jak powieściopisarz czy poeta. Dobra recenzja odgrywała nie mniejszą rolę na giełdzie literackiej od ilości sprzedanych egzemplarzy najnowszych dzieł. Dzisiaj wymaga się od pisarza amerykańskiego, aby produkował takie książki, które dobrze idą; przynaglała się wybitniejszych pisarzy pod groźbą pójścia w zapomnienie do regularnej corocznej produkcji i zmusza się ich do specjalizacji. Obowiązkiem znanego powieściopisarza ma być pisanie powieści, nowel, seriali — „short-stories”, dramaturgia — sztuk teatralnych, żeby leniwym sprawozdawcom łatwiej było wbić w głowę leniwej publiczności reklamowe slogany: „genialny pisarz historyczny” czy „autor najlepszych nowel XX wieku”.

Swą drugą filipikę kończy też Bromfield kategorięcznym stwierdzeniem: „Amerykańska proza i poezja nie odrodzą się, dopóki pisarstwo nie stanie się spowrotem funkcją ważniejszą od osoby pisarza jako rozdawcy autografów, od sumy wpływów ze sprzedaży książki, od wyboru klubu książkowego i honorarium, zainkasowanego w Hollywood”.

Nikt z uczestników dyskusji w „Saturday Revue of Literature” nie potrafił sformułować przyczyn opisywanego stanu rzeczy. Margaret Halsey w najgłębszym z artykułów całej dyskusji, zatytułowanym „Dzieci pieniądza” („Mammon’s little baby”) zwróciła uwagę, że dyskusja toczy się wokół objawów, a nie przyczyn choroby życia literackiego USA. Warto zdać sobie sprawę z tego — pisze ekspertka od problemów społecznych USA — że literatura jest częścią cywilizacji, w której powstaje i że rozwija się według tych samych wzorów, według których rozwijają się inne dziedziny tej cywilizacji. Mammy w USA standaryzacja, masową produkcję i kartelizację literatury, ponieważ w cywilizacji amerykańskiej stał, a sta, jak i buty są produkowane masowo, standaryzowane i kartelizowane. Jest czystym nonsensem oczekiwać, aby w takiej cywilizacji uprawiano pisarstwo w myśl wzorów średniowiecznych, produkowano i sprzedawano książki, tak jak czyniono to w epoce latarni gazowych i tramwajów. Jeśli w produkcji literackiej czy książkowej USA są rzeczy złe, jest to, to samo zło, jakie tkwi w innych dziedzinach życia amerykańskiego. Pisarze amerykańscy biorą pieniądze od Hollywood z tych samych przyczyn, z jakich adwokaci amerykańscy biorą pieniądze od korporacji. Jednych i drugich uczono od dzieciństwa, że pełnokrwisty Amerykanin wydobywa z każdej sytuacji tyle pieniędzy, ile można wydobyć, wykluczając ryzyko więzienia.

Pieniądz w USA — zwraca dalej uwagę Halsey — odgrywa inną rolę, niż w innych cywilizacjach. Nie tylko nabywa się zań jedzenie, bądź zabezpiecza siebie i rodzinę starość. Używa się go także jako środka zastępczego rozdawanie i otrzymywanie uczuć, jako osłony przed problemami, które wydają się zbyt trudne do rozwiązania w kategoriach nie-pięniężnych. Służy on wreszcie do gromadzenia szacunku otoczenia i do wzmacniania uszkodzonych czy zwichniętych osobowości.

Wreszcie wyjaśniając jako socjolog zachowanie się znacznej części pisarzy amerykańskich — Halsey stwierdza: Pisarz żyjący w określonej cywilizacji musi wyjść poza

pozycje bezbronnego dziecka, które potrafi jedynie przyjmować korzyści płynące z tej cywilizacji, a nie jest zdolne w niej czynnie partycypować. Inaczej, nie mając poczucia własnej wartości, ma niewielkie szanse rozwinięcia swych możliwości. Życie w cywilizacji amerykańskiej oznacza przyjęcie teorii amerykańskiego sukcesu i przyjęcie pieniądza jako jego miernika. Konsekwencje tego łatwo bywają zgubne, skoro jest to cywilizacja, w której trudniej niż w innych zachować uczciwość pisarską. Któż zresztą — pyta Margaret Halsey — może stworzyć przepis na zachowanie uczciwości pisarskiej w jakiegokolwiek cywilizacji?

Dyskusja „Saturday Revue of Literature” toczy się ma dalej. Trudno powiedzieć, aby jej dotychczasowy przebieg mógł wzbudzić zbyt optywizm w kołach myślących Amerykanów.

Nie trzeba sięgać zbyt daleko aby znaleźć konkretna przykłady stosunków i sytuacji, opisywanych przez Louis Bromfielda i towarzyszy. Od paru tygodni jednym z najpoczytniejszych autorów USA jest dwudziesto-trzyletni debiutant, Truman Capote, autor powieści „Odgłosy z dalszych pokoiów” („Other voices other rooms”), która w tydzień po opublikowaniu stała się jednym z dziesiątu best-sellerów USA w styczniu 1948 roku. Według zgodnej opinii krytyków w powieści Trumana Capote nie ma nic co wyniosłoby ją ponad przeciętność setek innych powieści, kończących swój żywot łącznym nakładem 10 tysięcy egzemplarzy. — (Sprawozdawca „Saturday Revue” nazywa tę książkę której akcja dzieje się w Luizjanie „południowym gulaszem przyrządzonym z okrawków Caldwellla, Faulknera, Prusta i kilkunastu innych mniej znanych pisarzy”). Mimo to „Odgłosy z dalszych pokoiów” rozchodzą się po USA w ilości około tysiąca egzemplarzy dziennie, z perspektywami rosnącej dalej popularności. Przyczyna tego jest całkiem prosta. Przed pół rokiem Life — Magazine (8 milionów nakładu) w artykule poświęconym współczesnej literaturze amerykańskiej poświęcił całą stronę fotografii nieznanego nikomu młodzieńca, Trumana Capote, zapowiadając „młodego geniusza pióra, którego przygotowujemy właśnie do druku pierwszą powieść, która będzie wkrótce całą Ameryką”.

„Młody geniusz”, o powierzchowności napót Wertera i napót członka drużyny futbolowej, przy wydatnej pomocy swego wydawcy stał się pupilem całej prasy amerykańskiej. Jego romantyczne fotografie z opisami życia pisarza, wędrowały po szpaltach dzienników między obu wybrzeżami. Powodzenie debiutu, tj. tysiąc egzemplarzy sprzedanych co dnia, jest owocem owej niezbyt wybrednej kampanii reklamowej.

Przykład Trumana Capote (jest ich bez liku) powinien zdjąć jednak ciężar oskarżenia z krytyków i recenzentów amerykańskich, pośredników między producentami i konsumentami literatury. Rzecz w tym bowiem, że primo są oni pośrednikami tylko teoretycznie (zastępują ich reklama, radio i opinie poszczególnych konsumentów), secundo — oskarżenia współpracowników „Saturday Revue of Literature” są przesadzone. Nie ma co prawda wielkiej krytyki w USA (nie jest nikomu potrzebna) ale tzw. mała krytyka czyli recenzentwo nie jest tak bardzo sprostytuowana, jakby się wydawało.

„Przemienię z wiatrem” stało się największym po Biblii best-sellerem w dziejach świata nie na skutek akcji wielkiej czy małej krytyki w USA, ale wspólnym wysiłkiem wydawcy i publiczności, domagającej się takich właśnie książek jak „Przemienię z wiatrem” i „Odgłosy z dalszych pokoiów”. Krytyka twierdziła, że dzieła Margaret Mitchell i Trumana Capote są równie dobre czy złe jak tysiące innych produktów przemysłu literackiego Ameryki.

Sprawa uzdrowienia życia literackiego czy wydawniczego USA nie sprowadza się więc do uzdrowienia krytyki czy wychowania krytyków, wobec minimalnej roli, jaką odgrywają i odgrywać będą zawsze w komercjalno-technicznej cywilizacji tego kraju. Jest to problem uzdrowienia aparatu produkcyjnego i wychowania publiczności, zwłaszcza że nie ma recepty na zachowanie w stanie uczciwości pisarzy, będących takimi samymi uczestnikami cywilizacji amerykańskiej jak adwokaci czy właściciele drogerii (vide uwaga Margaret Halsey).

Aparat produkcyjny, tj. przemysł wydawniczy, można śmiało pozostawić w spokoju, jeśli rozporządza się jedynie perswazją. Ządanie od prywatnych producentów, aby wypuszczali na rynek jedynie czy przede wszystkim książki dobre, mądre, piękne lub postępowe wydaje się czystym nonsensem. Będą oni zawsze produkowali towar, który można sprzedać lepiej od innego, i taki, który nie podcina podstaw systemu, w którym tak dobrze prosperują. Ich ustępstwa na rzecz literatury demaskatorskiej czy radykalnej są kompromisem na rzecz żądań konsumentów.

(dalszy ciąg na str. 18)

RENÉ MAUBLANC

Przekład EWY FISZER

Myśl marksistowska we Francji

ABY ZROZUMIEĆ obecny rozwój myśli marksistowskiej we Francji trzeba się cofnąć o dwadzieścia lat wstecz. Marksizm-leninizm zaczęło we francuskim środowisku intelektualnym i uniwersyteckim studiować poważnie właśnie w okresie między 1925 a 30 rokiem. Do tego czasu znajomość marksizmu ograniczała się do znajomości krótkich tekstów: „Manifestu partii komunistycznej” Marksa i Engelsa, „socjalizm utopijny a socjalizm naukowy”. Dopiero około 1925 roku kilku młodych profesorów przystąpiło do badania, tłumaczenia na język francuski i publikowania podstawowych dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, prowadząc jednocześnie studia nad filozofią Hegla. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić filozofa Georga Politzera i fizyka Jacquesa Solomona. Pod ich wpływem wybitni, a starsi od nich uczeni i filozofowie, tacy jak fizyk Paul Langevin, biolog Marcel Prenant i psycholog — Henri Wallon zajęli się skolei studiowaniem materializmu dialektycznego. Utworzyła się w ten sposób grupa badaczy, ożywionych po większej części demokratycznymi i socjalistycznymi przekonaniami, które opierając się niejednokrotnie na filozofii pozytywistów, starała się szczerze, choć niezawsze dość precyzyjnie, pogłębić w świetle marksizmu zasadnicze zagadnienia nauki i filozofii. Pod tym właśnie tytułem: „W świetle marksizmu” wygłaszane były zebrane później i wydane, odczyty manifestujące wysiłek włożony w pracę nad zagadnieniami ideologicznymi. W zorganizowaniu tej akcji brały udział specjalne naukowe komisje, „Koło Nowej Rosji” — przekształcone później w „stowarzyszenie do studiów nad kulturą sowiecką”, „Koło studiów nad marksizmem i wreszcie pracownicy grupowani wokół Paul Langevina’.

Dwa wydawnictwa: „Les Editions Sociales Internationales” i „Le Bureau d’Editions” podjęły wówczas poważną pracę wydawniczą i publikowały, wzrastającą z każdym rokiem ilość książek i broszur takich autorów, jak Henri Wallon, Marcel Prenant, Jean Baby, Georges Friedman, René Maublanc, Henri Lefebvre, Henri Mouglin, Paul Laberrenne, Georges Politzer, Jacques Soloman, Maurice Hasson, Jacques Decour, Charles Hainchelin itd. Jednocześnie, nakładem firmy „Costes” ukazało się prawie całkowite wydanie dzieł Marksa i Engelsa, a firma „Gallimard” wydała pożyteczny zbiór „Dzieł wybranych Karola Marksa”, pracę Henri Lefebvre’a „O materializmie dialektycznym” i znakomitą pracę doktora prof. A. Cornu pt. „Młodość Karola Marksa”. W ten sposób intelektualiści francuscy otrzymali wreszcie narzędzia niezbędne do pracy nad marksizmem.

Jednocześnie uzyskano podstawy do stworzenia periodyku, któryby z marksistowskiego punktu widzenia komentował rzeczywistość bieżącą. Obok miesięcznika „Europe”, założonego przez Romaina Rollanda (współpracownicy: Aragon i Jean Richard Bloch), zagadnieniami literackimi, filozoficznymi i artystycznymi zajmowało się „Commune”, które przy współpracy Aragon’a i Jacquesa Decoura zaczęło wychodzić w 1933 roku. W 39 roku wreszcie Paul Langevin i Georges Cogniot założyli czasopismo „Pensee” — „przegląd nowoczesnego racjonalizmu” które przystąpiło do publikacji słynnych artykułów Langevina, Wallona i Politzera, oraz innych prac, pogłębiających marksistowską rewizję podstaw nauki i filozofii.

Równoległe, pod bezpośrednim wpływem Georga Politzera i poparcia Paul Bouthoniere Uniwersytet Robotniczy w Paryżu prowadził na swych kursach filozofii, ekonomii politycznej i historii, — marksistowskie wychowanie, a na całym terenie Francji powstały Domy Kultury, do których w celu wspólnych dyskusji zjeżdżali się pisarze, profesoria i artyści.

Dziś, z upływem czasu, można już osądzić, że aż do 1939 roku umowano marksizm zbyt teoretycznie, że nie było jeszcze związku między teorią a praktyką, między poszukiwaniami naukowymi a akcją polityczną i społeczną prowadzoną przez partie i związki, — Wiele intelektualistów marksistowskich postępowało ciągle według starych tradycji i chlubiło się, pod pozorem zachowania niezależności, tym, że stoją zdala od wszelkiej działalności politycznej. Wojna 1939 roku i okupacja hitlerowska, niszcząc pracę już dokonaną, pozwoliły jednocześnie oprzeć ją następnie na nowych podstawach, nierozdzielnie łącząc teorię z praktyką.

Tymczasem, od początku wojny, nawet jeszcze przed okupacją niemiecką rozpoczęła się ideologiczna kampania przeciwko marksizmowi i nasze publikacje ścigane i nielitościwie przez rząd Daladier’a, stały się wkrótce nie do osiągnięcia.

Na początku zimy 1939—40 roku zostały zamknięte wydawnictwa: „Les Editions Sociales Internationales” i „Le Bureau d’Edition”, a zawartość ich składów uległa konfiskacji. Hitlerowcy, prowadząc dalej tak dobrze rozpoczęte dzieło niszczenia książki klasycznej marksizmu oraz ich komentatorów francuskich i zagranicznych, oczyszczając wszystkie biblioteki publiczne. Nazwiska wszystkich pisarzy marksistowskich, czy to jako autorów żydowskich, czy to jako autorów komunistycznych, znalazły się na liście „Otto” — na liście książek zabronionych. W ten sposób, przez zniszczenie licznych i cennych dzieł, wydanych w ciągu ostatnich dzie-

sięciu lat, zahamowane zostało całkowicie rozpowszechnianie się myśli marksistowskiej.

To zagrożenie wywołało żywą reakcję wszystkich intelektualistów, związanych z marksizmem, nawet tych, którzy dotąd byli najmocniej przeciwni braniu udziału w czynnej akcji. Stali się oni najgorliwsiymi i najdzielniejszymi i najczynniejszymi wśród bojowników Ruchu Oporu. Pracowali we wszystkich organizacjach akcji podziemnej, przede wszystkim we wszelkich grupowaniach intelektualistów takich jak Narodowy Front Uniwersytecki, Narodowy Front pisarzy, lekarzy, artystów, techników, prawników itd lub jak komitety narodowe — pisarzy, czy też naukowców, działające na terenie „Zone Sud”. Wydawali oni wreszcie podziemne pisma i broszury, które w przeciągu krótkiego czasu, z powielanych zmienili się w drukowane i to z wielką starannością. Wymienię na przykład: „Lettres Francaises”, „L’Université libre”, „L’Ecole laïque”, „Le Palais libre”, „L’Action”, „Le Medecin Francais”, „L’Art Francais”, a na specjalne uznanie zasługują wspomniane wydawnictwa „Minuit” i słynny pamflet Georga Politzera „Krew i Złoto”, rewolucja i kontrewolucja w XX wieku.”

Dzięki Politzerowi i Jacques Decour’owi, założycielowi „Lettres Francaises” oraz Jacques Soloman’owi, założycielowi „L’Université libre” — ukazał się numer „Pensee” jako kontynuacja dawnej „Pensee”. Dalsze numery już nie wyszły, gdyż trzej wymienieni pisarze zostali w styczniu 1942 r. zaarrestowani, a w maju tego samego roku — rozstrzelani.

Nadchodzi rok 44 i Wyzwolenie. Sytuacja wówczas wyglądała następująco. Z jednej strony mieliśmy grupę przedwojennych intelektualistów marksistowskich, pozbawioną niestety kilku najwybitniejszych członków, rozstrzelanych przez hitlerowców lub zabitych podczas walk o wyzwolenie, ale zato bardziej świadomą pilnej potrzeby walki we wszystkich dziedzinach, a obok niej wielu młodych intelektualistów, którzy do marksizmu doszli w czynnej walce w szeregach Ruchu Oporu, dawnych wolnych strzelców i partyzantów, pełnych patriotyzmu i nienawistnego pragnienia sprawiedliwości. Poza tym głębokie zainteresowanie i sympatia dla filozofii marksizmu zrodziły się w tzw. „opinii publicznej” zjednaną podziwem dla komunistów, bojowników Ruchu Oporu i dla zwycięstw Związku Radzieckiego. Ale tak jednym, jak i drugim, tak intelektualistom już zaangażowanym po naszej stronie, jak sympatykom, pragnącym poznać ruch, który dał Francuzom, Rosjanom, Polakom, Jugosłowianom i wielu innym narodom tyle odwagi i tyle jasności widzenia — brakowało dokumentów, wiadomości i książek. Aby zaspokoić ich pragnienie poznania filozofii marksistowskiej — nie mieliśmy przecież niczego, nawet podstawowych dzieł Marksa, zniszczonych w składach firm wydawniczych.

Aby więc doprowadzić do skutku powszechne wychowanie marksistowskie potrzebna było olbrzymiej pracy. Została ona niezwłocznie podjęta i mimo tysiąca trudności (z których trudności finansowe okazały się nienajmniejsze) prowadzona bez wytchnienia przez trzy lata. Trzeba było pracować przede wszystkim w dwóch zasadniczych kierunkach: z jednej strony chodziło o ożywienie wszystkich organizacji kulturalnych w duchu naszych ideałów i doprowadzenie do jak najlepszych i najpotężniejszych osiągnięć, z drugiej trzeba było zrealizować obszerny plan wydawnictwa i wznowienia marksistowskich. Każdy z tych punktów zasługiwałby na szczegółowe omówienie, narazie ograniczę się do podania tylko pobieżnego ich szkicu.

Jeśli chodzi o organizację — marksieści odegrali decydującą rolę przy tworzeniu zakrojonego na szeroką skalę „Narodowego Związku Intelektualistów”, który połączył wszystkie grupowania kulturalne powstałe z Ruchu Oporu i ożywione jego duchem. Marksieści znaleźli się wszędzie, czy to w Narodowym Komitecie Pisarzy czy Dziennikarzy, czy to we Francuskim Związku Uniwersyteckim czy Związku Inżynierów, na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach. I nie był to przyśpadek, że na przewodniczącego Komisji, stworzonej, celem opracowania demokratycznej reformy nauczania, wybrano Paul Langevina, a po jego śmierci Henri Wallon’a. Nie było przypadkiem, że, gdy we Francji zorganizowano wreszcie badania naukowe na rzecznych podstawach, badania, zakrojone na skalę, godną roli, jaką mają odegrać w dziele odrodzenia narodowego, zwrócono się do fizyka — marksisty Joliot - Curie, a później kiedy został on mianowany Generalnym Komisarzem do spraw energii atomowej, powołano na jego miejsce w Centrum Badań Biologicznych — marksistę Georga Teissiera. Marksieści podjęli także inicjatywę upamiętniania wielkich dat i wielkich postaci historycznych w dziejach świata i narodu. Wzoraj był to Anatol France i Cervantes, jutro będzie to Rewolucja 1848 roku.

Jednocześnie podjął z powrotem pracę marksistowski uniwersytet robotniczy, zwany przed 39 rokiem „Uniwersytetem robotniczym”, a obecnie „Uniwersytetem nowym”. Z

każdym rokiem zwiększa on ilość wykładów i słuchaczy.

Trzeba wreszcie przypomnieć o odczytach urządzanych przez marksistów w ramach „Francuskiego Związku Uniwersyteckiego” czy „Przyjaciół”, „Action” lub „Pensee”. Niektóre np. odczyty prof. Joliot-Curie czy Roger Garaudy zyskały duży rozgłos, gromadząc w wielkim amfiteatrze Sorbony tłumy słuchaczy.

Jednocześnie ośrodek kulturalny Towarzystwa Francusko - Radzieckiego dokonał wielkiej pracy dokumentacyjnej, a podobne ugrupowania stwarzane przez marksistów pracowały nad zacieśnieniem więzów przyjaźni z nowymi demokracjami Europy wschodniej — Polska, Rumunia, Jugosławia itd.

Wśród wydawnictw, ożywianych filozofią marksistowską trzeba wymienić znaczną ilość pism, takich jak: „Lettres francaises” (Claude Morgan) „Action” (Leduc, Hervé, Courtade) — tygodniki o szerokim zasięgu, miesięczniki: „Europe”, podejmujący chlubną tradycję pisma Romain Rollanda i „Arts de France”, pismo, które założone już po wyzwoleniu, zyskało sobie wkrótce czytelnika przez wysoki poziom ilustracji i tekstów. Wreszcie, na miejsce dwu podobnych, wydawanych przez Uniwersytecki Ruch Oporu zaczął się ukazywać miesięcznik „L’Ecole Laïque”, przeznaczony specjalnie dla nauczycieli i wykładowców, podczas gdy pismo „Servir la France”, wydawane w porozumieniu z ruchem zawodowym C. G. T., spełniło rolę zapoznawania robotników z problemami społecznymi i gospodarczymi. Oprócz tego istnieją oczywiście pisma czysto polityczne Francuskiej Partii Komunistycznej, jak tygodnik „France Nouvelle” i dwa miesięczniki: „Democratie Nouvelle” i „Les Cahiers du Communisme”.

Specjalne jednak miejsce chcę poświęcić czasopiśmie „Pensee”, ukazującemu się raz na dwa miesiące, którego to redakcji mam zaszczyt być sekretarzem.

„Pensee” zaczęła wychodzić w roku 1939 i wówczas to ukazały się jej pierwsze trzy numery. Potem, w 1941 roku zobaczyliśmy jeden numer podziemny, a do dziś od jesieni 44 roku — czternaście. Kierownictwo pisma objeli: Paul Langevin (zmarły w grudniu 46 r.), Frederic Joliot-Curie, Marcel Prenant, Georges Teissier, Francis Jourdain i Georges Cogniot, a w rozszerzonym Komitecie redakcyjnym widzieliśmy tak wybitnych przedstawicieli nauki, literatury i sztuki jak profesorowie: Côtton, Chevalier, Choisy, Georges Lefebvre, Mauguin, Bourgin itd., pisarze: Charles Vildrac, Eluard, Aragon, malarz Jean Lurcat, muzyk, Koehlin i Désormière. „Pensee” jest pismem encyklopedycznym, zajmuje się wszystkimi problemami z dziedziny nauki, filozofii, historii i literatury równie dobrze jak problemami artystycznymi, gospodarczymi i politycznymi. Powaga argumentacji naukowej, autorytet współpracowników, przejrzystość i zapalczliwość polemik, a wreszcie wysoki poziom rozpraw marksistowskich zapewniły „Pensee” możliwie szeroki krąg odbiorców tak we Francji, jak zagranicą.

Mówiąc o dziś wydawanych książkach trzeba podkreślić, że większość prac marksistowskich ukazała się nakładem trzech wydawnictw: „La bibliothèque Francaise”, „Hier et Aujourd’hui” i „Les Editions sociales”. Na pierwszym miejscu musimy tu postawić wydawnictwo „Hier et Aujourd’hui” z jego cyklem wydawniczym „Cywilizacja francuska”, w którym ukazała się już praca Pierre George’a „Geografia ekonomiczna i społeczna Francji” i praca słynnego językoznawcy Marcel Cohena „Historia języka francuskiego”, dalej z cyklem „Nauka i ludzkość” (rozszerzone i poprawione wznowienie mającej wielki sukces przed wojną pracy Paul Laberrenne’a, pt. „Źródło światów”) z cyklem „Szkice i dokumenty” („Tajemnica i potęga atomu” — Georges Gadoul’a), i wreszcie z cyklem „Wielkie postacie” (praca Marcela Prenant — o Darwinie i Henri Lefebvre’a o Kartezjuszu). Nakładem „Bibliothèque francaise” ukazały się przede wszystkim powieści takich autorów jak Aragon, Elza Triolet, Gaston Baisselle, André Würmser, a prócz tego „Podręcznik Historii Współczesnej” Jean Baby i Jean Bruchardt oraz mój krótki „Szkic o moralności republikańskiej”.

„Les Editions Sociales” włożyły wielki wysiłek we wznowienie podstawowych prac Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Oprócz tego nakładem tego wydawnictwa ukazała się także seria prac naukowych nowych o najrozmaitszych tematach. Aktualne zagadnienia polityczne reprezentują tu: Maurice Thorez „Polityka wielkości francuskiej”, Benoit Frachon „Bitwa o produkcję”, Jean Duclos „Bitwa o republikę”, zagadnienie gospodarcze — F. Bonnet „Rozwój kapitalizmu japońskiego” oraz seria artykułów o ZSRR; zagadnienia filozoficzne — zebrane wykłady „Nowego Uniwersytetu” (Cecile Augrand, Teissier, Wallon, Halbwachs, Maubla itd.), krótkie broszurki z cyklu „Problemy” („Wiedza i Religia” Marcela Cachin, „Komunizm i moralność” Roger Garaudy’ego), a wreszcie pomnikowe dzieło Henri Lefebvre’a „W świetle materializmu dialektycznego” przewidziane na osiem tomów, z których pierwszy pt. „Lo-

gika formalna i logika dialektyczna” już się ukazał. Na specjalne podkreślenie zasługuje praca wielkiego biologa angielskiego Haldane’a „Filozofia marksistowska a nauki przyrodnicze”, przedwojenne wykłady Georga Politzera na Uniwersytecie Robotniczym, zanotowane i przechowane przez jednego ze słuchaczy i wydane teraz pt. „Elementarne zasady filozofii”, a wreszcie broszura tego samego uczonego „Kryzys psychologii”, zawierająca jego dawne artykuły i otwierająca jednocześnie ankietę, na którą niezmiernie interesujące odpowiedzi zaczęły już napływać, nawet z zagranicy. Przewiduje się w tym samym cyklu „Problemy” dalsze tego rodzaju ankiety na temat estetyki, socjologii itd.

Dalej, nie mogę nie wspomnieć, że w walce z modnym dzisiaj prądem filozoficznym — egzystencjalizmem, dwoma filozofami, którzy odnieśli całkowite zwycięstwo, byli dwaj marksieści: Henri Mouglin z dziełem „Świata rodzina egzystencjalistyczna” (nakład „Editions Sociales” i Henri Lefebvre z książką „Egzystencjalizm” (nakład firmy „Sagittaire”). Podobny sukces oczekuje moim zdaniem broszurę Jean Kanapa, wydawaną obecnie przez „Editions Sociales” pt. „Egzystencjalizm nie jest humanizmem”.

Niestrudzony Henri Lefebvre wydał jeszcze nakładem firmy „Grasset” książkę pt. „Krytyka codziennego życia”. Dalej ukazały się broszury, zawierające odczyty wygłaszane we „Francuskim Związku Uniwersyteckim”, broszura Jacques Solomona „Filozofia francuska od czasów powstania do Rewolucji” i wspomniane „Cahiers rationalistes” zawierające zorganizowane przez Związek racjonalistów w Sorbonie odczyty. Znajdujemy wśród nich wspomniane wyżej odczyty Paul Langevina i Frederica Joliot-Curie.

Przechodząc do innych dziedzin myśli, trafiamy na bardzo ważną dla działalności marksistowskiej pracę Aragon’a pt. „Kultura i ludzie”, prawdziwy manifest kultury humanistycznej. Dwa odczyty, które składają się na tę książkę (jeden wygłoszony w UNESCO, a drugi w „Narodowym Związku Intelektualistów”), opierają się mocno i skutecznie rozkładowym wpływom „amerykanizmu”. Z prac politycznych Aragon’a trzeba wymienić jeszcze dwie broszury „L’homme - communiste” i „Taki wam daję przykład”.

Nie można też zapomnieć o rozwoju młodej poezji komunistycznej, zrodzonej w czasach Ruchu Oporu wokół dwóch „Wielkich” — Eluarda i Aragona. Widzimy młode talenty Pierre Seghers’a, Guilleric’a, Madeleine’a, Rittard’a i Jacques Gauchera.

Wreszcie realizuje się już olbrzymie, długo dojrzwające przedsięwzięcie — Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego. Zaraz po wznowieniu marksieści francuscy powzięli zamiar streszczenia wszystkich wiadomości ludzkich pod kątem widzenia materializmu dialektycznego, tak jak Encyklopedyści francuscy XVIII wieku — pod kątem widzenia materializmu mechanicznego. Profesor Paul Langevin zajął się realizacją tego projektu, a szeregowe opracowanie zostało rozpoczęte przez Henri Mauguin’a. Obydwaj oni zmarli w ciągu 48 roku, w związku z czym przygotowanie Encyklopedii zostało powierzone Marcellemu Prenant, który w pracy tej korzysta z pomocy najlepszych specjalistów ze wszystkich gałęzi nauki.

Encyklopedia zacznie się ukazywać na początku 1948 roku, w formie zeszytów, z których każdy omawiać będzie jeden poszczególny temat. Oczywiście wydawnictwo to ukazywać się będzie w ciągu szeregu lat.

Chciałbym się wytłumaczyć z licznych i poważnych przeczeń, których się niewątpliwie dopuściłem, w tym krótkim i pobieżnym streszczeniu. Chciałem, aby czytelnik mógł się przekonać o dwóch rzeczach: przede wszystkim o tym, że badania nad marksizmem, które hitlerowski najeźdźca usiłował całkowicie stłumić we Francji, ożyły z 44 rokiem, a filozofia marksistowska zajęła pierwsze miejsce w ruchu intelektualnym Francji; następnie o tym, że intelektualiści francuscy zerwali z drogią sobie przyzwyczajeniami — mieszkania w „wieży z kości słoniowej”, zdala od niepokojów życia i że oddają wszystko, co mają w sobie najlepszych walce ideologicznej i politycznej. Dopiero w ten sposób zrozumieli oni i realizują istotny sens marksizmu, który leży w nierozdzielalnym związku między teorią i praktyką, między myślą, a działaniem.

René Maublanc

TREŚĆ NR 12:

Ignacy Cieplak — Bitwa pod Stalingradem; Witold Kula — Podłoże gospodarce „Wiosny Ludów” (dokończenie); Nikołaj Asiejew — 18 marca; Mariusz Margał — Paryski Luty 1948; Jean Paul Sartre — Pod ścianą; Stanisław Piętał — Nowe wiersze; Stanisław Brucz — O nowelach włoskich Iwaszkiewicza; Stefan Zólkiewski — Druga książka Stanisława Dygata; Mieczysława Buczkówna — Pamiętnik Bryczny; Kandyd — Tak toczy się świat; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

ADOLF RUDNICKI

EPOKA PIECÓW

W NIEBO
WSTAŁ
PIENIEI twarze deptać tych, którzy milcząca
Wybrali piękność.

(Czesław Miłosz-Roki)

I



Niema. Służąca, małe drobne stworzenie, miała zamknąć drzwi. Ból, przed którym drugi czołwiek niekiedy się zatrzymuje, tkwiący w twarzy osoby po drugiej stronie progu, kazał jej zmienić decyzję:

— Niema, ale powinna nadejść. Może pani zaczeka?

Służąca wprowadziła Raisę do pokoju, chwilę z nią pobyła i wyszła.

Raisa została sama. Rozejrzała się; w każdym kącie czuło się tu rękę kobiety; pełno kwiatów, talerzyków na ścianie, kilimków, chust, drobiazgów umilających wnętrze. — Jaka cisza — pomyślała. — Te ściany cieszą oko, jak las. Apokaliptyczna szalała na ulicach. Pomimo to, w ciągu niewiele minut spędzonych w ciszy pokoju, odrodziły się w Raisie wszystkie wstydlive uczucia, na wieki zdawałoby się wygasłe. Na ich tle gorzej jej sytuacji wystąpiła jeszcze wyraźniej. Życie Raisy leżało w gruzach; było lato 1943.

II



W czerwcu 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-rosyjska. Nazajutrz Lwów ruszył. W poniedziałkowy wieczór dziesiątki tysięcy ludzi wiedząc czego się spodziewać po Niemcach, ruszyli na Wschód. W ciepły ten wieczór „pochód historii” składał się — na ulicach Lwowa — z dwóch kondygnacji: z niekończącego się strumienia ludzi o oczach zalanych potem już teraz, u samego początku wielkiego marszu oraz z ludzi którzy, postanowiwszy zostać na miejscu, sterczeli w oknach, w bramach domów, nie mogąc oczu oderwać od widoku ulicy. W ciepły ten wieczór Raisa wyszła również ze swego domu. Na Placu Prusa czekał na nią skrzypek Tamarkin. Rozstali się dwie godziny temu z tym, że ona wróci do siebie, przygotowując się do drogi, a potem się spotkają. Z myślą o spotkaniu wyszła Raisa z domu. Niepokój, który przez cały czas mącił jej samopoczucie, zaostriął się na rogu ulicy. Plac Prusa znajdował się na prawo, Raisa powinna być po lewej, poszła jednak na lewo, na ulicę L—ca. Mieszkał tam Sebastian. Raisa chciała się z nim tylko pożegnać; obiecywała sobie nie zabawić chwili dłużej, aby zdążyć do Tamarkina i wraz z nim udać się na Akademicką, skąd władze konserwatorium oraz część uczniów miały się ewakuować. Powziawszy decyzję, przyspieszyła kroku. W ciepły ten wieczór biegła, jak dziesiątki tysięcy innych. I podobnie jak dziesiątki tysięcy innych tego wieczoru zmieniła swój los.

Raisa pochodziła z Wileńszczyzny. Zimą 1940 roku znalazła się w świeżo przez Rosjan zajętych Lwowie. Megafony smagały wtedy ulice pojęciem wschodnich melodyj,

w których nurzał się tłum bez dachu nad głową i bez jutra, „bieżący”. W „hurtożytku” — w Domu Akademickim — gdzie Raisa początkowo zamieszkała, dziewczęta gnieździły się po kilka w nieopalanym pokoju, na noc przykrywały się siennikami. Pieniąca się historia, barwność jej wzlotów i okrucieństwo upadków odwracały uwagę wszystkich od małych braków codziennych. Jej niezwyklej zimy Raisa słuchała Boya na uniwersytecie i chodziła do konserwatorium. Skrzypek Tamarkin, chłopiec sztywny i błąd, z karbowanymi włosami, codziennie odprowadzał ją do domu. Pewnego dnia zrobiła jej się egzema na rękach. Gdy Raisa znalazła się w gabinecie lekarza, wszedł tam drugi lekarz. Wziął ją za rękę tak, jakby miał od nich prawa; był to psychiatra Sebastian. Tamarkin był braterski, Sebastian — nie; nigdy nie dało się przewidzieć jak postąpi, co powie. Gdy się pierwszy raz pocałowali, Raisa miała cukierek w ustach. Podzieliła się nim; Sebastian wypił go natychmiast. Rzekł: tego się nie robi. Przez rok trwania znajomości Raisa nie chwyciła zamiarów Sebastiana. Nie byłaby zdziwiona; gdyby pewnego dnia powiedział, że nie chce jej więcej widzieć.

Nie przypuszczała tego poniedziałkowego wieczoru, że Sebastian spróbuje ją zatrzymać. Przywitał ją jednak z taką radością, jakiej u niego nigdy nie widziała; krążył wokół niej jak ciepły obłok. — Stwierdziwszy, że przyszła z walizką, otworzył szeroko oczy i spytał: Jak to? Chcesz naprawdę uciekać? Pytał z takim bólem, że się zawałała. Również rodzice Sebastiana zatrzymywali ją. Nie znała ich, ale oni musieli o niej więcej wiedzieć, niż przypuszczała. Była kiedyś w tym mieszkaniu, ale wtedy Sebastian nie przedstawił jej rodzicom. Teraz ojciec, matka i syn stali nad nią i namawiali, by pozostała. Tamarkin nie oczekiwał jej na Placu Prusa. Raisa została w obszernym mieszkaniu Goldsteinów, które w ten drugi dzień wojny już lekko pachniało rozkładem; widać było brak troski o meble, panoszył się kurz. Sebastian spał razem z rodzicami w jednym pokoju, obok w drugim spała Raisa. Nikt nie rozbił się na noc. Wszystkie drzwi stały otworem, Raisa słyszała, jak matka powiedziała do ojca: Teraz Sebastian będzie się mniej bał. Wzruszyła ją myśl, że jej obecność ma usciszyć lęk Sebastiana przed nalotami. W chwilę później pomyślała, że może nie naloty miała matka na myśli.

Wojna wybuchła w niedzielę. W poniedziałek Rosjanie zaczęli wywozić swoje kobiety i dzieci. Pod wieczór fala ewakuacji objęła wszystkich, którzy nie chcieli Niemców. We wtorek fala spadła, a w środę sytuacja zmieniła się na tyle, że tych, co uciekli, jedni uważali za głupców, inni za zdrajców. Zresztą sporo „uciekierów” wróciło, ukraińscy nacjonalisci mordowali na drogach. W środę słońce w ogóle inaczej świeciło: sowiecka artyleria, umieszczona na Wysokim Zamku, pracowała celując podczas nielicznych dwóch lub trzech nalotów o małej sile. We czwartek fala ewakuacji wzrosła nagle i trwała cały dzień. Rosjanie i Ukraińcy zza Zbrucza z małymi tobołkami lub bez, ładowali się na ciężarówkę, zostawiając wszystko, w co obrośli przez cały czas pobytu na tych ziemiach. Miało się wrażenie, że boją się wojny więcej, niż tutejsi mieszkańcy. Tego dnia ludność cywilna przeniosła się do piwnic; to samo uczynili Goldsteinowie z Raisą. W piątek rano niemiecka artyleria pustoszyła miasto. Ludność cywilna nie wytykała nosa z piwnic, ci co chcieli uciec, już uciekli, reszta czekała. W południe obstrzał umilkł. Pod wieczór do piwnicy wszedł stróż z wiadomością, że pod domem stoi motocyklista i reperuje motor. Uśmiechał się tak, że wszyscy od razu zrozumieli. Ciekawsi wyszli, aby popatrzeć na żołnierza piątej kolumny, wystrojonego rzeczywiście jak krasnoarmiejec; w zielonej płóciennej rubaszce, w cholewkach jak do trepaka, tylko czut' - czut' różnił się od żołnierza Czerwonej Armii. Wojska sowieckiego już niewiele zostało w mieście; gdy od czasu do czasu jakiś samochód wałł na lew na szycie w kierunku Lyczakowa, motocyklista odwracał głowę i udawał że naprawia motor. Na pytanie gdzie jedzie, odpowiadał po ukraińsku: do Kijowa. Nazajutrz, w sobotę, zrobiło się tak cicho, iż wydarzenia ostatnich dni odpłynęły całkowicie. W mieście nie widziało się ani Rosjan, ani Niemców; do tego stopnia trudno było się zorientować, jak właściwie jest, że nie doszło nawet do rozbijania sklepów; ci, którzy czekali na dziurę w dziękach przesłепili swą godzinę. Wzorem innych domów, w domu na L—ca, lokatorzy w obawie przed rabunkami dyżurowali nocą. W niedzielę około godziny trzeciej nad ranem Raisa poszła na swoją zmianę. W korytarzu cichym jak cmentarz, na wyniesionym przez siebie krześle, siedział szwec Buch i odmawiał psalmy. Usłyszawszy kroki, podniósł zmiętą, kwaśną twarz, poślinił palec, zaglądnął brzeg kartki i rzekł:

— Zy, zenen sozjo du.

Przyjrząwszy się Raisie, przetłumaczył te słowa na język polski:

— Już som.

W ciągu dnia przewalała się armia, przejeżdżały tankietki wypelzone, drobne jak koniki tatarskie, w niczym nie przypominające sowieckich smoków, świeżo malowanych, które tydzień temu szły na granicę zachodnią. Przy kierownicach siedzieli chłopcy jak złoto, zgrani z maszyną, jakby się w niej urodzili. Uśmiechnięci, przyjaźni, powtarzali jak jeden, że w przeciągu sześciu tygodni Rosja będzie kaput. Cienia wątpliwości nie czuło się w tym, co mówili ci chłopcy, z których żaden potem nie wrócił: użyźnili stepy Ukrainy. „Armia sportowo-wekkendowa” nazywano ich w mieście. „Chłopek jak pi-stolecik” — mówiły dziewczki lwowskie. — W ślad za złotymi chłopcami Wehrmachtu zjechali czarni chłopcy SS i Gestapo.

Nazajutrz po wejściu Niemców wartość Raisy wzrosła stokrotnie. Jasnowłosa, duża, przypominająca Ukrainkę, nieznaną nikomu mogła poruszać się swobodnie, w przeciwieństwie do Goldsteinów, którym każde wyjście na ulicę mogło przynieść śmierć; również pozostawanie w mieszkaniu nie dawało im bezpieczeństwa. — Część ich kłopotów i trosk Raisa wzięła na siebie. Była forpocztą mężczyźni. Wyręczała również matkę. W mieście panował głód; zostało trochę mąki w domu, ale nie było piecznika, więc Raisa zanosila ciasto na drugą ulicę, nakrywając je ścierką. Bobrowała stale; lubiła wracać z kilogramem cukru, czy z wieńcem cebuli, „z niespodzianką”. Zaopatrywała dom w żywność, w informacje, starała się o jego bezpieczeństwo.

W niewiele czasu po wejściu Niemców Sebastian i Raisa postanowili się pobrać. Ojciec Sebastiana, lwowski psychiatra, Karol Goldstein, wielbiciel Goethego i Lessinga, jak również jego małżonka Anna, nauczycielka, emancypantka, opowiedzieli się za ślubem religijnym; jeszcze przed wojną zwrócono uwagę, iż wielu postępców w centralnych momentach życia chętnie podporządkowuje się średniowieczu.

Nazajutrz po ślubie stary psychiatra Karol Goldstein obudził się pierwszy. Usłysawszy dzwonek, poszedł do drzwi. Ukraińiec i Niemiec uśmiechnęli się do niego. „Typisch” — ocenili brodatego psychiatrę Niemiec. Na ulicy stała już gromadka sąsiadów. „Same nasze” — oświecił lekarza szwec Buch. Jakiś przechodzień roześmiał się na głos: — Nu, rebata, czemu nie śpiewacie Moskwa Moja? Popędzono ich do budynku świeżo utworzonej milicji i przez kilka godzin robili w ogródku. Około południa trzech czarno ubranych milicjantów zapowiedziało obiad. Obiad polegał na tym, że mieszkańcy ulicy L—ca postawiono twarzą do ściany i zadano kilka pytań, na które mieli odpowiadać trzema słowami: Zdyś, sława Ukrainie. — Kto wywołał wojnę? Zdyś, sława Ukrainie. — Kto wydawał bolszewikom nacjonalistów ukraińskich? Zdyś, sława Ukrainie. — Kto jest największym wrogiem Ukrainy? — Kto zabił Petlurę? — Kto wymordował Ukraińców na Łackiego? — Po każdej odpowiedzi otrzymywali nowe pytania i pałką po głowie. — Udzielwysz ostatniej odpowiedzi udali się na skraj miasta do stajni wojskowych; mieli wyrzucać nawóz ze stanowisk. Dozorujący Niemiec w trakcie pracy zadawał pytania, podobne do ukraińskich. — Również odpowiedź miała być podobna, choć krótsza. — Kto wywołał wojnę? — Die Juden. — Kto jest największym wrogiem narodu niemieckiego? — Die Juden. — Kto zawsze i wszędzie zbiera zyski? — Die Juden. — Kto rządzi Rosją? — Kto rządzi Anglią? — Kto rządzi światem? — Die Juden. Mieszkańcy ulicy L—ca wynosili tragi, a Niemiec biegł za nimi i tłukł ich nogą od krzesła. Stary lekarz nosił tragi wraz z szwecem Buchem, którego z gorączką zabrali z łóżka. Niemiec częściej niż innych wałł go nogą od krzesła. Znow go dzielił, żądając krótkiej odpowiedzi na pytanie: Kto rządzi światem kapitalistyczno-bolszewicko-jezuickim?; pytanie to w języku niemieckim ma zwarty szyk. Juden — odpowiedział ponuro szwec Buch. Wtedy stary psychiatra odstawił tragi, ujął się za boki i krzyknął: To nieprawda! To kłamstwo! — Tak ty powiadasz, Jude — odparł oszołomiony żołnierz; przypomniałszy sobie nogę od krzesła, grzmotnął swego rozmówcę.

Pod wieczór pobity i pokrwawiony psychiatra wrócił do domu. Leżał bez ruchu i bez słowa, a Anna powtarzała bez przerwy „barbarzyńcy”. Stary lekarz wreszcie podniósł się, obmył, zmienił koszulę, kazał wezwać stróża Władysława i zaofiarował mu kredens dębowy, ozdobę stolowego. Władysław, chłop, który podobnie jak intelektualista posiadał świadomość drugiego dna, zapytał: Leczego, cóś? — Bo wiem, że kredens od dawna się Władysławowi podobna. — No, ale leczego? — zapytał znow Władysław, gdyż był człowiekiem konkret-

nym, drążącym tam, gdzie na przykład ludzom delikatnym delikatność nie zezwala stawiać pytań; (stąd mniejsze zorientowanie w świecie ludzi delikatnych) — Dlatego, mój Władysławie, że chciałbym przenieść się do pralni w piwnicy i chciałbym uzyskać waszą zgodę. Leczego nie? — odparł po raz trzeci stróż. — Można, choć lepiej żeby o tym nikt nie wiedział, bo dzisiaj ludzie są rozmaite.

Nazajutrz Władysław zabrał kredens, ale psychiatra wytrzymał w piwnicy tylko kilka godzin. Wróciwszy z podziemia, oświadczył, że za nie tam nie wróci. Nie zważając na protesty żony wyszedł z domu. Od pewnego czasu próżno błagał syna, aby mu się wystarał o miejsce w szpitalu; praca w szpitalu w nowych warunkach była czymś cennym i nie chciało Goldsteinom dać dwóch miejsc. Stary psychiatra postanowił sam się rozmówić. Udało mu się; wrócił do domu z ausweisem. Działo się to w drugi od wejścia Niemców piątek. Pierwszy nazwano „czarnym piątkiem”. W pierwszy czarny piątek „karawaniarze” w asyście Niemców obchodzili domy z listami i wyciągali lekarzy, inżynierów, adwokatów i kupców.

Już szarzało, gdy rozległ się delikatny dzwonek. Stary psychiatra spojrzął na żonę i z ausweisem w ręku poszedł otworzyć; nie wrócił więcej. Tej nocy Anna, Sebastian i Raisa nie zasnęli. Tej nocy we Lwowie czuwało sto tysięcy ludzi chodząc z kąta w kąt w ciemnych pokojach, albo leżąc w ubraniach na łóżkach. Wyciąganie ludzi znów miało charakter masowy. Pokój Raisy i Sebastiana mieścił się od ulicy. Około północy usłyszeli ciężki, miarowy stukot. Dochodził z sąsiedniej niewidocznej ulicy masywniejąc z każdą chwilą. Za oknem pusty, odcinek ulicy L—ca, przeżarty księżycem, grał chłodem, niemotą i grozą; pokropował deszczem. Ciągłe nie było nic widać. Wbiegła matka zlewając swoje przerażenie z przerażeniem młodych, jak rzeka swoje wody z wodami drugiej rzeki. Wreszcie w niedużą uliczkę L—ca wstąpił tłum: mężczyźni w marynarkach, mężczyźni w chałatach, kobiety w koszulach, bielejących spod trenczów, dzieci. Kroki dzwoniły o kocie lby i to był jedyny głos życia, jaki masa ta wydawała z siebie. Z boku szły konwojanci, uzbrojeni w automaty. Gdy tłum podpłynął bliżej, jego ciężki oddech oblepiał nashuchujących. Pochód zamykał drobny samochód, prowadzony przez kogoś, kto umiał oceniać to, na co patrzył: długo nie gasił świateł.

Raisa z Anną stały w jednym rogu okna, w drugim Sebastian kryjąc się, by nie zauważono ich z dołu. W pewnej chwili Anna, zarzucając ostrożność, przebiegła do syna. Raisa nie mogła się zorientować, co zaszło. Dopiero po chwili zrozumiała. Sebastian drżał, a matka gaskała go po twarzy, po rękach, jak małe dziecko. Sebastian drżał jeszcze długo z jakimś szczególnym wyrazem twarzy, widocznym w świetle księżycy.

Ukraińcy z Legionu Ukraińskiego, którzy przybyli wraz z Niemcami, nazywali miejscową ludność „miękkimi jajami”. Niemcy rozstrzelali w lesie lisieniickim; gdy puszczały swe ofiary na kładkę, zawieszoną ponad dołem piaskowym, obsługa karabinów maszynowych ukryta w krzakach otwierała ogień. Lisieniicki ludzie uciekali do miasta, nie mogąc znieść jęku i krzyków i opowiadali o tym, co widzieli. Nikt nie dawał wiary ich opowiadaniom. Cały Lwów składał się z „miękkich jaj”. W porównaniu z późniejszym morzem krew, płynąca na razie drobnym strumieniem i rodziny wierzyły, że zabrani naprawiają mosty. Anna także wierzyła, że stary psychiatra lata mosty i codziennie czyściła motelkę jego ubrania.

W listopadzie przybyła do Lwowa „sztafeta zagłady” generała Reinhardta i zażądała starców, kalek, żebraków i „innych elementów nieproduktywnych”. Gmina po namyśle zgodziła się wydać elementy nieproduktywne. Widziano codziennie pochody, od których nawet konwojenci trzymali się w pewnej odległości — ze wstydu. Nie było istoty, która mogłaby spokojnie patrzeć na ten hłm ludzki, na ten pochód kalek — dusi. Gdy policja żydowska skończyła wylapywanie elementów nieproduktywnych, sztafeta generała Reinhardta, uważając liczbę ofiar za niedostateczną, sama zaczęła „pracować”. Ludzie opowiadali pełni zdumienia, jak to wyglądało. Niemcy, zaczajali się w bramie; widząc osobę nieco starszą, kiwali palcem, dyskretnie, delikatnie, z uśmiechem. Ofiara podchodziła bez słowa sprzeciwu, bez wiary w wartość sprzeciwu, wszystko za czasu było przygotowane, wszystko odbywało się bez słowa. — Tak działo się w żydowskich stronach, gdzie pół był największy. Jednak również w reszcie miasta, w całym mieście, trzeba było ukrywać starszych ludzi, przy czym granicy starości w ogóle nie dano się określić, zależała od każdorazowego widzimisie Niemców. Ojców i dziadków, matki i babki chowano w aryjskich piwnicach,

wydzierżawionych za pewną sumę, za dobre słowo. Zamykano Annę w piwnicy z rana i wypuszczano ją dopiero wieczorem. Wieczorem stara kobieta z twarzą skurczoną, szerniącą, trójkątną siadała na brzeжку krzesła, długo milczała, wreszcie pytała swym grubym głosem: — Czy to prawda, że biorą nas na gulasz?

Sztafeta wyjechała i już trzy dni panował spokój. Raisa wróciła do domu po kilkogodzinnej nieobecności. Na schodach usłyszała głos: Komm, Sara, kommher. Poczuli gorzką ślinę w ustach. Odwróciła się. Od stróżówki zbliżał się ku niej żandarm w długiej kurtce i w hełmie, podobny do kobiety — Sara? — zapytał ponownie. Zaprzeczyła ruchem głowy. Roześmiał się: — To widać. — Został na parterze. Raisa minęła dalszą partię schodów. Drzwi do mieszkania stały otworem. Usłyszała dialog: Chodź, stara. — Nie jestem stara. — Jesteś! Jesteś szmelc... Matka Sebastiana, konwojowana przez żandarma, minęła Raisę z twarzą, po której błąkał się cień, szczerak uśmiechu. Sztafetowcy tego dnia wrócili z Żółkwi. Nagie wyjazdy i powroty należały do ich stałych metod „pracy”.

Są słowa, które w tłumaczeniu na inny język znaczą to samo, ale znaczą mniej; suma doświadczeń narodów nie jest równa. Żaden naród nie ma tylu synonimów cierpienia co Żydzi. Księgi Hioba nie napisał ani Francuz ani nawet Rosjanin. Wszyscy wiedzą, że to co zrobili Niemcy podczas drugiej wojny światowej nie ma odpowiedników w dziejach, a jednak zmieszcza się ono w starym słownictwie Żydów. Jeden z pamiętnikarzy pisze, że niemiecka strategia w walce z Żydami polegała na tym, by ich kruszyć codziennymi szykanami i wytworzyć dookoła nich stałą atmosferę grozy. Inny pisze, że była to robota systematyczna, wzbogacana codziennie nowymi niespodziankami. „Man weiss nicht von wo der Schlag kommt”, mówiono we Lwowie, gdzie wszyscy znali język niemiecki — „stary słowiański język”.

W takich warunkach płynęły miesiące miodowe Raisy. Mówiąc językiem narodowym podobnych miesięcy miodowych nie należałoby właściwie życzyć nikomu. Tak, jednakże życie intymne, w które weszła Raisa, znaczący jej dni czymś, czego dotąd nie znała. Składały się one z jednego imienia, z imienia pierwszego mężczyzny w jej życiu. Świat zwał się, dawał się objąć. Błaski życia osobistego nie zawsze bywają zharmonizowane z historią.

We Lwowie panowało przekonanie, że bestialstwa niemieckie obejmują tylko terytorium opuszczone przez bolszewików; zaczął się exodus. Wyjeżdżali ci, którzy w kraju zostawili rodzinę we wrześniu 1939 oraz ci, którzy mieli dosyć pieniędzy. Nie wolno było wyjść poza rogatki miasta, pokazywać się na pewnych ulicach, jeździć koleją. Należało więc zdobyć lewe papiery, przewodnika, płacić, płacić; niewielu mogło sobie na to pozwolić. Osoby o „złym wyglądzie” przewodnicy (nowe źródło utrzymania) niechętnie zabierali; nim zdecydowali się przewieźć dziecko, poddawali je egzaminowi z religii; świat, okrutniejąc, stawał się chrześcijański. Raisa z Sebastianem nie mogli się zdecydować; każda łagodniejsza fala wpływała na zmianę terminu. Stanowisko lekarza dawało pewne przywileje. Raisa znalazła sobie także niezłą pracę. Wyjechali dopiero w sierpniu 1942 roku, gdy fala wielkich mordów zalała Lwów.

W Warszawie natrafili również na okres morderstw; latem zbrodnie w całym GG osiągnęły szczyt. Znajomi Polacy z narażeniem życia przyjęli do swego domu Raisę i Sebastiana. Wystarali się o pismo, stwierdzające, że Sebastianowi zagraża gruźlica i zaleca mu się pobyt w Otwocku. Raisa zabrała męża do Otwocka. Chęć jak najmniej pokazywać się w mieście, uprosili gospodynię u której zamieszkali, aby gotowała im obiady.

Gospodyni, starszka, wdowa po jakimś wybitnym działaczu endeckim, okazywała się samą rzetelnością. Drżała, aby nie policzyć o grosz ponad koszt własny. Raisa obiecywała sobie, że po wojnie kupi staruszcę szafę z lustrem i „przynajmniej do wszystkiego”. Mieszkanie miało swoje ale: osiemnastoletnia siostrzenica gospodyni, która przyjeżdżała raz czy dwa w tygodniu orzekła, że w akcencie Sebastiana słyszy coś węgierskiego. Nazajutrz Raisa pojechała do Warszawy, by poszukać nowego mieszkania. Gdy się jednak zorientowała w trudnościach, postanowiła trzymać się Otwocka pazurami. Akcent węgierski rozlał się zresztą szybko; Sebastian narysował młodą osobę, nie skąpiąc jej urody, której Bóg jej poskąpił.

Siedzieli w Otwocku już czwarty miesiąc. Od czasu do czasu Raisa wyjeżdżała do Warszawy i sprzedawała coś z cennych drobiazgów, które uratowali; z tego żyli. Za każdym razem poznajmiała gospodynię, że wyjeżdża do rodziny; to brzmiało le-

piej. Sama gospodyni nie zadawała jej nigdy żadnych pytań. Pewnego razu wróciwszy z Warszawy Raisa nie zastała męża. „Pojechał do Warszawy do kuchni”. Raisa nie chwyciła znaczenia szyfru: wszyscy kuzyni Sebastiana i jej dawno już byli na tamtych świecach albo „leżeli na półkach jako kawałki mydła”. Przypuszczała, że zaszło coś groźnego i że trzeba może uciekać. Muszko! — rzekł do niej Sebastian, gdy się zjawił. — Muszko! tak mi się nudzi! Myślałem, że sufit mi spadnie na głowę. — Po tej pierwszej podróży warszawskie ulice, bogate w możliwości i wrażenia, kusily Sebastiana i „wyjazdy do kuchni” powtarzały się. Za czwartym czy piątym razem w okolicach hali Mirowskiej przystąpiło doń dwóch „facetów”. — Dokumenty? — Pokazał im. — Lipa — odrzekli. — Chodź pan z nami, to sprawdzimy pana. W bramie dał w zęby jednemu i kopnął niżej brzucha drugiego. Na spotkanie z Raisą zjawił się triumfujący: Muszko! Mówię ci, alem im dał! Jeden z nich aż krwawił! — Potem okazało się, że w płaszczu, który zdarli zeń szantażyści, został portfel z wycinkiem meldunku. Adres otwocki znalazł się w rękach „szmalcówników”.

Ryzyko było zbyt wielkie, aby wracać. Wynikała fundamentalna sprawa nowego mieszkania. Mieszkania szukało się w ten sposób, że pytało się wszystkich „czy nie wiedzą o czymś”. Nikt nie wiedział. Raisa była w rozpacz. Pewnego dnia znalazła się na Żoliborzu, na małej uliczce Haukego o jednopiętrowych prześwietlonych domkach; zrozpaczona, zmęczona nieludzką zapukaną na chybił-trafił do najbliższych drzwi. Usłyszała, jak ktoś gramolił się po schodach. Staruszek, który jej otworzył, poprosił ją do siebie na pięterko. Uczynił to dlatego, że podobał mu się jej akcent. Wilnianka? — Raisa w swojej biografii nie musiała nie zmieniać, prócz szczegółów o pochodzeniu. Nie było światła i rozmowa na tematy wileńskie toczyła się w zmrzoku. Raisa z awersu przygotowała „opowieść”. Mieszkała na prowincji, teraz trafia im się coś w mieście i chciałby przenieść się z mężem. — A jest pokój u państwa? — Jest. — Raisa zadrżała. — Można wynająć? — zapytała z akcentem na o. — Można — odpowiedział były sędzia z Wilna, również z akcentem na o. Zostawiła zadatek. Przy tym udało jej się tak szczęśliwie pokierować rozmową, że nie musiała podać nazwiska, którego jeszcze nie miała. Falszerze dokumentów, najdzielniejsi ludzie czasów okupacji, mieli ją dopiero ochrzcić.

Zamieszkali na Haukego u sędziostwa Kociołów. „Dokumentarze” wytłumaczyli jej, że mogą pozostać przy starym nazwisku. Adres wpadł co prawda w ręce szantażystów, ale wystarczyło usunąć nowy odcinek zameldowania z kartoteki magistrackiej — co za niedużą sumę dało się zrobić — aby byli bezpieczni. W płaszczu znajdował się również jeden z dwóch kolczyków z brylantami — resztki fortuny. Rzeczy osobiste przepadły w Otwocku. Mie-li tylko to, co na sobie. Aby się trochę ubrać, musieli sprzedać drugi kolczyk i „na czarną godzinę” zostali bez niczego. Ich sytuacja materialna, która wyglądała ponuro, pewnego dnia zmieniła się gruntownie. Raisa spotkała ziemianina, z którym ojciec jej robił interesy i ziemianin ten zapoznał ją z kilkoma kupcami. Znajomość z jednym z nich zwłaszcza, z Józefem, przysłała Raisie. Towar kupca Józefa składający się ze wszystkiego, co otrzymywał żołnierz niemiecki w dziedzinie odzieży, lekko się sprzedawał. Rano Raisa spędzała zwykle kilka godzin w halach. Ukończywszy „dzień”, robiła zakupy do obiadu i na kolację i wracała „do Muszki”; lubła chwile powrotu. W domu rozpalala pod blachą, obierała kartofle, gotowała obiad. Powoli przywykła do życia, w którym była i kobieta i mężczyzną zarazem. Stabilizacja obudziła w niej potrzebę robienia czegoś z myślą o przyszłości. Spotkała profesora z konserwatorium ze Lwowa i umówiła się z nim, że będzie do niego przychodziła dwa razy na tydzień. Za pewną opłatą pułkownikowa, która zajmowała parter i miała u siebie fortepian, pozwoliła jej ćwiczyć. Zaczęła się również uczyć angielskiego. Podczas okupacji wszyscy uczyli się angielskiego, jak gdyby Wyspy Brytyjskie leżały za Milanówkiem. Apokalipsa trwała, ale przyzwyczajono się do Apokalipsy i w ramach Apokalipsy jedni ginęli w krematoriach, drudzy w obozach, a inni próbowali sobie urządzić życie z angielskim i z fortepianem.

Podczas obławy w halach Raisa bojąc się, iż nie uniknie rewizji osobistej, polknęła „świnke” — złotą pięciorublowkę. Nazajutrz czuła się niezbyt dobrze i została w łóżku. Sebastian wróciwszy ze spaceru rozłożył na stole i oknie książki Clausewitza — O Wojnie, Ettingera — Zbrodniarza w świetle prawa, piąty tom Wojny i Pokoju w języku rosyjskim, traktat o malarstwie

Leonarda po włosku i wiersze Heinego w języku niemieckim. Co dziesięć minut przerywał czytanie i kładł się na kanapie z której rychło się podnosił, stawał w oknie, coś notował, zaglądał znów do otwartych książek i znów się kładł. Niekiedy zwracał się do Raisy: — Sejmczas budiem rozgawariwat pa ruski; ostatnio brał lekcję u żony. Po niewiele minutach miał dość: Już mnie głowa boli, mów do mnie po polsku, na drugi raz nie mów taszczyć, język polski nie zna takiego słowa. Raisa ugotowała obiad dla obojga. Po obiedzie Sebastian położył się twarzą do ściany. Raisa położyła się również. Spała niedługo, ale sen wzmocnił ją i obudziła się z sercem wzbrzmianym nadzieją.

Za oknem był łagodzący maj, na listkach nie było ani jednego pyłka, ich zieleń była nieskazitelna jak skórka dziecka. Sebastian chodził po pokoju, nie zwracając uwagi na Raisę. Na raz zobaczyła, iż robi coś, czego dotąd nigdy nie robił: pakował się. Wyjął koszulę z szafy, okrył ręcznikiem przybory do golenia, wybrał książki. Nie odzywał się przy tym ani słowa do wodzącej za nim zdumionym wzrokiem żony.

— Muszko, gdzie ty się wybierasz?

— Nie odpowiadał.

— Muszko! — krzyknęła i wyskoczyła z łóżka.

— Uspokój się, Muszko! — Ponieważ ciągle zmieniali imiona, jedno drugie stałe nazywało Muszką. — Wyprowadzam się na dwa dni do hotelu.

— Do hotelu? — Raisa nie wierzyła własnym uszom. — Przecież w hotelu noc w noc odbywają się rewizje. Przecież cię zabiją...

— Nie zabija. Byłem w Otwocku i nie zabili. Chodziłem po Otwocku i nie zabili. Byłem niedawno u naszej gospodyni i — widział mnie. Ostatnio handluje nawet, sprzedam dziesięć apteczek polowych. Gdybym siedział w domu, byłbym skazany na twoje zarobki.

— Byłeś w Otwocku? Jeździłeś kolejką? Wystawiałeś w poczekalni? Przecież to są miejsca najbardziej zaszpiclowane, najbardziej niebezpieczne, Muszko.

— I co?

— Jak to „i co”? Przecież cię zabiją!... Proszę cię, nie mów tak. Nie przesądź. Ludzie przesądźają. To wszystko nieprawda...

— Co jest nieprawdą? Co jest przesadą? Zabili i spalili kilka milionów ludzi, wszystkich naszych najbliższych zamordowali, naród szantażowali, a ty mówisz, że przesadzam. Słyszysz detonacje? Przecież tam stale mordują, palą żywcem. Posłuchaj tylko...

Przeszło miesiąc trwało ostateczne burzenie dzielnicy. Miasto zrazu wstrząśnięte, przestało się wkrótce zajmować tragedią murów. Ale codzienne detonacje świadczyły, iż zbrodnia toczy się dalej.

— Proszę cię, nie każ mi słuchać, sama także nie przysłuchuj się. Człowiek jest kołalem swego losu, to przysłowie jest jednak prawdziwe.

— Więc oni tam, których palą żywcem, albo ci, których gazują w Treblince, chcą tego co ich spotyka?

— Nie, ale nie byli dość przemysłni, dość silni, aby temu zapobiec. A mogli zapobiec... Zastanów się: my we Lwowie byliśmy przecież w identycznej sytuacji, a jednak. Dlaczego siedzieli tam do ostatniej chwili? Dlaczego nie uciekli? Mogliby żyć spokojnie, tak jak my u sędziego Kocioła i jeść kurę w rosole na obiad.

— Muszko, my siedzimy spokojnie? Przecież oni w każdej chwili mogą wejść i — sam wiesz, co nas wtedy czeka. To samo co tamtych. W jednej chwili kura w rosole może się skończyć...

— Oni mogą wejść? No, niech wejdą. Przecież bardzo chcą, a my jesteśmy najlepszym dowodem, że nie mogą.

— Nie mogą wejść i zabrać nas? — Raisa uważnie przyjrzała się mężowi, przekonana, że coś przed nią ukrywał, na pewno coś ukrywał. — Do Rottmannów przyszli niedawno. Trafili akurat na obiad: Popatrzcie, jak im się powodzi: mięso, masło, jabłka; a ileż to naszych dzieci nie ma chleba w tej chwili. Zabrali im wszystko a w dwie godziny później przyszli Niemcy. Pod jedenastym mieszkano małżeństwo z ośmioletnim synem. On krępy, szpakowaty, musiałeś go widywać. Po kilku szantażach, gdy usłyszał pukanie, nie wytrzymał, zarząbał siekierą żonę, dziecko, a potem sam zażył trucizny. To nie był prostak, do-cent uniwersytetu. Nie mogą wejść?...

— Nie opowiadaj mi takich historii. To był tchórz. Powinien był mieć taką ołowiankę, jaką ja mam stałe w pogotowiu. Trzeba się bić. Wtedy pod halą poradziłem sobie z trzema.

— Trzeba się bić?

— Tak, trzeba się bić.

— Muszko — rzekła jak do dziecka. — Gdybyśmy mieli wrogów tylko w Niemczech, moglibyśmy się bronić. Moglibyśmy

się bronić nawet wtedy, gdybyśmy mieli wrogów w Niemczech i Polakach, ale pomyśl, ilu Żydów pracuje w gestapo. Jeden drugiego wydaje, aby siebie ratować. Przecież nie można bić się ze wszystkimi, a my właśnie jesteśmy w takiej sytuacji. Oparcia, ziemi pod nogami nie mamy. Nikogo pewnego...

— Właśnie, otóż właśnie Muszko, to są moje myśli co do jednej. Felek od dwóch lat nie był na ulicy, wyszedł raz jeden i wpadł. Gold nie chciał mieszkać w pokoju „tylko w piwnicy”. Gdy kanały wiosną zalewały piwnicę, on wlaził na belki, jak kura. Nosili mu jedzenie, i co? — I zabrali go z piwnicy. Wychodzisz na ulicę? Złe. Nie wychodzisz. Złe. Chodzisz do fryzjera, siedzisz na ławce, z przerażeniem przyglądasz się sobie w lustrze? Złe. Nie chodzisz do fryzjera? Złe. Raz jeden wyjrzałeś oknem, nieostrzyżonego ktoś cię zobaczył i — doniósł. Jesteś błąd? Złe. Jesteś zbyt czarny teraz wiosną? Złe. Czy jest rada jaka? Nie ma. Ponieważ nie ma rady, pozostaje jedno: żyć normalnie. Powiem ci więcej, obrona byłaby możliwa nawet wtedy, gdybyśmy mieli wrogów w Niemczech, Polakach i Żydach. Ale my mamy jeszcze czwarte-go równie groźnego wroga — w nas samych. Człowiekowi jak glebie, potrzeba zmian. Ograniczając się, niszczyliśmy się nerwowo i fizycznie, to jedno tylko pewne, bo bezpieczeństwa sobie i tak nie możemy zapewnić. Ograniczając się, zabijamy się nudą, zabija nas przymusowa obecność w mieszkaniu, stanowiącym część naszych ran. I dlatego to, Muszko, jestem zdania, że trzeba żyć tak, jakby Niemców nie było, normalnie. Chcesz wyjść na miasto? Idź. Chcesz nocować poza domem? Nocuj. Czy chcesz, abym chodząc po mieście widział tylko jeden napis: dementia Hitler, abym nie odczuwał słońca, wiatru, szumu drzew? Trzeba, rzecz jasna, uważać. Nie należy się bać, to najważniejsze, bo od razu wycują. Nie należy za bardzo odróżniać się ubiorem. Do sklepu trzeba wchodzić śmiało. Ja od kilku tygodni handluje apteczkami polowymi, które biorę od Feliksa. Wchodzę do apteki; gdy mówią mi, że nie mają czasu, ja odpowiadam z głupią frazą, to nic, ale ja mam czas, śram, poczekam, śram. Jak nie ma zajęcia, jeżdżę tramwajami dla hartowania odwagi. Nie powiedziałem ci prawdy: nie nocowałem u Feliksa wtedy, gdy dzwonił. Nocowałem w pensjonacie na Brackiej. Już mnie tam znają, bardzo się dobrze odnoszą. Trzeba...

— W pensjonacie na Brackiej! — krzyknęła Raisa. — I wybierasz się tam znowu? Dopiero przedwczoraj zabrano stamtąd wszystkich do sprawdzenia!

— Przesada! Ja chcę wyjść z domu. Muszę!

— Dlaczego musisz?

— Nie opowiadaj mi, że zabijają! Dosty z tym zabianiem! Popatrz Muszko, jeszcze tylko kilka dni, a maj się skończy.

— Jestem idiotka — krzyknęła nagle Raisa — wszyscy mi to mówią. Zaharowuję się, a ty biegasz za kobietami. Nigdy nie masz czasu dla mnie. Gdy ja wracam sterana, padam z nóg, ty wychodzisz. Książki wynosisz z domu. Dla kogo? W sobotę wychodzisz na cały dzień — do kogo?

Sebastian odwrócił się i wyszedł. Gdy Raisa wyjrzała oknem, stał jeszcze przy furtce z wypchaną drobiszganą toaletowym torbą od cukru, z wieszakiem wetkniętym do polowy za płaszcz, z wzrokiem wbitym w przestrzeń, nieobecny, groźny, a przede wszystkim czarny. — Zabiją go! Zabiją go na najbliższym rogu! — pomyślała bez litości. — Muszko! — zawołał raz jeszcze. Jej okrzyk wyrwał go z odrętwienia; ruszył.

— Zabiją go — pomyślała z już stygnącą złością. — I mnie przez niego!

III.



Raisa usłyszała dzwonek. Do pokoju weszła kobieta o strojach, dziecinnych ramionach, małej brązowej twarzy, ścisłej jak pieść. Stwierdziwszy kim jest osoba, która czeka, skrzywiła się, ale zaraz się opanowała.

Raisa zdawała sobie sprawę, że jej odwiedziny były wykroczeniem. Kodeks tych czasów zabraniał nie tylko wzywać, ale nawet ukłonić na ulicy; nie należało poznawać znajomych, znać ich na-

zwisk i adresów. Był jeszcze inny powód. Osoba, do której przyszła Raisa, nazywała się niegdyś Ludwika Gerson. Dzisiaj pozostała przy imieniu, nazwisko zmieniła z tych samych co Raisa powodów. Obie młode kobiety pochodziły z jednego miasta, gdzie Gersonowie uchodzili za rodzinę lepszą, niż rodzina Raisy, Wołkowowie „tylko kupcy”. Starego Gersona, lekarza, ogólnie szanowano, choć zachowywał się nieco zbyt dumnie; cała rodzina zachowywała się w ten sposób, ale wybaczano to jej. Wołkowowie z Gersonami nie lubili się nigdy. Sprawa, z którą przyszła Raisa, nie poprawiała jej samopoczucia.

Raisa:
— Otrzymałam twój adres od Adama. Proszę, nie bierz mu za złe. Ja bardzo nalegałam. Przygotowanie spotkania przez ludzi zajęło wiele czasu, a ja mam sprawę pilną...

Ludwika skinęła głową w stronę drzwi. Raisa zrozumiała: należało mówić ciszej. Gospodarze nie wiedzieli o Ludwice, tak jak sędzia Kociół nie znał prawdy o Raisie.

— Chodź tu pod okno. Mów cicho, nie szeptem. I nie wychylaj się za bardzo, żeby cię nie było widać z ulicy.

Usiadły w rogu przy stoliku, nakrytym czerwonym w kwiaty serwetą, na której stała miseczka z monetami. Ludwika zanurzyła palce w tej kaluży srebra.

Raisa:
— Mój mąż był człowiekiem wartościowym i na pewno będzie nim nadal. Jest psychiatrą, napisał szereg prac w swojej dziedzinie, jest również zdolnym rysownikiem; pamiętasz pismo „Wiadomości Literackie”? Rysował dla nich, rysował jeszcze dla wielu innych pism, na kongresie w Bazylei, Weitzman zachwycał się jego rysunkami. Mówiono mi, że macie fundusze na ratowanie ludzi. Nie proszęm dotąd, choć nieraz słyszałam, że mam prawo, że każdy z nas ma prawo. Nie, myślałam sobie, prawo do pieniędzy, przesyłanych z takim trudem, mają tylko ludzie, którzy znajdują się w sytuacji bez wyjścia. Dotąd radziłam sobie, handlowałam, ale teraz już sobie nie mogę poradzić, nie mam głowy do handlu, nie mam czasu, a jak nawet pójść do hal, to i tak nic mi się nie udaje. A właśnie teraz potrzeba mi pieniędzy...

— Przepraszam, jak masz teraz na imię, Raiso?

— Marysia.
— Więcej mi nie mów, nie potrzeba mi twego dzisiejszego nazwiska. Chodzi o to, aby cię wciągnąć na listę osób korzystających ze wsparcia, ciebie i twego męża?

— Mnie nie, jego. Jego przede wszystkim. Jeśli akcja wasza ma mieć jakiś sens, to wtedy, gdy ratować będziecie takich jak on. W przeciagu niewielu tygodni będę mogła wrócić do handlu i oddam wam, chodzi mi tylko o pożyczkę... Podobno ci co dają te pieniądze podkreślają, że pierwszeństwo mają ludzie wartościowi. Jak powtórzysz jego przedwojenne nazwisko, to może nie odmówią... Ludko, ciężka bieda spada na mnie.

Nabrała tchu, po czym:
— Wszyscy mężczyźni są skończonymi dziwakami, każdy z nich ma jakieś bzik. Byłam przyzwyczajona do dziwactw Sebastiana, nie przejmowałam się nimi. Zbierał przystawia i kazał mi rozstrzygać ich sens. „Powiedz mi, Muszko, dlaczego jedno przystawie mówię, że każdy szuka swego szczęścia, a drugie, że tylko durak szczęścia szuka”. O tak, w tym rodzaju... We Lwowie, gdy zaczęły się mordy i uciekliśmy na pola łyczakowskie, zabraniał mi myśleć o tym, co się dzieje w mieście. I sprawdzał, czy nie myślę. Gdy widział, że przysłuchuję się widmowym hałasom, wyciągał egzemplarz Juliusza Cezara i kazał mi czytać na głos. Gdy przerywałam czytanie, zaczynał wykład o mechanizmie ucha; na siłę chciał mnie oderwać od myśli — jest lekarzem. Nie znośił gazet w domu. Wyrzucił „Warszauer”, bo to trucizna. Narzekasz na bóle głowy, to od czytania tych świństw. Zaśmieszasz się, „Reichem”. Przed wojną „wue-mi” czytali „Wiadomości”, teraz czytają „Das Reich”; im się zdaje, że zatruć można się tylko flakami. Studiował długowieczność, strasznie chce żyć sto czterdzięci lat. Najdłużej, pouczał mnie, żyją chłopcy na Syberii. Uczni rosyjscy znaleźli tam kilka okazów powyżej stu dwudziestu, a jeden nawet powyżej stu czterdziestu lat. W Europie najdłużej żyją żebracy. Dlaczego? Bo się nie wysilają. Z wniosków, do jakich doszli uczeni rosyjscy wynika, że chcąc długo żyć, należy unikać gwałtownych wzruszeń. Trzeba uważać, ale w sposób właściwy. Ty, na przykład, zabraniasz mi chodzić bosą po pokoju. A dlaczego nie każesz mi nakładać rękawiczek? Czy myślisz, że jest jakaś różnica pomiędzy rękami a stopami? Sama natomiast nie uważasz i stąpasz na pięcie... Zawsze był dziwakiem, ale to były dziwactwa nieszkodliwe, godzące tylko we mnie; kobiety muszą być przygotowane na dziwactwa zwierzyny męskiej.

Ale od pewnego czasu wyszedł na ulicę ze swymi dziwactwami. Zapisał się do czytelnicy i codziennie pokazywał swą „assyryjską” twarz — bardzo czarną, bardzo nietutejszą, włosy mu się kręca — w miejscu, gdzie znali jego nazwisko i adres. Pewnego razu, gdy w halach usiadłam przy straganie, żeby coś zjeść, zaniemówiłam. Obok siedział Sebastian. I straganiarka zaniemówiła: Boże, jaki kontrast, pani jaka jasna, a pan jaki czarny! Na wiosnę zapalił się do robót na działkach. Chodził razem z gospodarzem, zabierał wiadro, łopatę, wkładał zasmelcowane spodnie i pracował wedle własnego systemu; we wszystkim ma własny system. Co piętnaście minut odkładał szpadel i wyjmował „Zbrodniarza” Etttingera. Wszystko to nie byłoby ważne, gdyby nie miał tej jednej skazy. Pewnego dnia zaczął jeździć tramwajami, kolejkami — dla hartowania odwagi. Przepadał na całe noce i dnie. Początkowo podejrzewałam, że znalazł sobie kogoś, w pożyciu dwojga ludzi wszystko od razu idzie na karb wielkiego powodu: przestał kochać, tak jak gdyby świat składał się tylko z łóżka. Niestety nie miał nikogo, miał tylko swoje własne stanowisko. Rolegało ono na nieprzyjęciu do wiadomości, że w Warszawie znajdują się Niemcy... Pewnego razu przyniosłam do obiadu flaki. Położyłam je w pokoju na stole. Gdy rozwinęłam papier, zdawało mi się, że rzeźnik musiał mnie oszukać na wadze. W kilka dni potem zastałam Sebastiana przy telefonie; domagał się od kogoś recepty na garbunek delikatnych skór. Nie łączyłam ubytku flaków z tą rozmową, a należało. Wkrótce zresztą Sebastian przestał robić tajemnicę, że udało mu się „tanim i skutecznym sposobem usunąć najważniejszy mankament żydów, okaleczonych przez obrezanie i że odtąd oglądanie w krok przestanie być skuteczne...”. Widziałam, że coś mu jest, widziałam, że cierpi. Nie odpowiadał na pytania, jakby nie słyszał. Zdecydowałam się w końcu sprowadzić lekarza-internistę. Wiesz z jakim sercem wprowadza się obcego człowieka do domu, bez względu na to kim jest. Lekarz, gdy tylko spojrział, powiedział, że on tu nie ma nic do roboty. I ja wiedziałam, że to właśnie to, ale odpędzałam od siebie tę myśl, ludziłam się. Nawet wielki powód byłby mnie bolesny, niestety...

Przerwała na chwilę:
— Tak, Ludko, to niestety obłąd, gorszy u niego niż u każdego innego, bo przecież jest psychiatrą. Za każdym razem zdaje sobie sprawę z odpywania świadomości, czuje jak noc zalewa mu umysł, pomyśli, to są straszliwe, dodatkowe męczarnie. On zawsze wiedział o swoich skłonnościach do obłądki i postanowił się bronić. Nie wolno mi było nie tylko przynosić gazet niemieckich, ale i opowiadać kogo i w jaki sposób zamknęli czy zamordowali. Chciał się oddzielić od grozy codziennej i wymyślił sobie cały pracowy program z Clausewitzem, Leonardem, Tolstojem, z samouczkiem hiszpańskim z „budiem rasgowariwat pa ruski”, ze stapaniem na palcach, a nie na pięcie, z Juliuszem Cezarem, z długowiecznością chłopów syberyjskich — to wszystko miało być profilaktyka. Opancerzał się. Opancerzał się, ale i tak nie wytrzymał, bo w końcu sam przynosił do domu „Warszauer”, a z jego słów mogłam wynioskować, że znał sprawy, o których mnie nie pozwalał mówić. Opancerzając się przed grozą i strachem, skazywał się na nudę, z którą również nie mógł sobie poradzić. W końcu wypracował sobie formułkę o nieobecności Niemców i — załamał się całkowicie...

— Ach, nie! — krzyknęła Raisa. — Nie całuj mnie, nie rób tego. Każda oznaka czułości pomnaża jedynie mój ból... Ludko, wszystko co opowiedziałam nie brzmiało, gdy się nie widzi jego twarzy. Ja nie wiedziałam, że w twarzy ludzkiej tyle bólu może się zmieścić. Twarz ta wysycha, jak szczapka drzewa na piecu, ubywa jej w oczach. On potrafi stać godzinami, trzyma się poręczy krzesła; kiwa się, patrzy w niebo, a męka jego staje się aż dotykalna... Ja dzisiaj niczego na świecie tak się nie boję, jak jego twarzy.

Ludwika:
— Marysiu, Raiso, pamiętasz moją kuzynkę, Cywię. Ukrywała się w melinie na Miodowej razem z kilkoma jeszcze osobami. Pewnego dnia doktor Paweł, nasz człowiek, dostaje telefon: na Miodowej wypadł ślepej kieszki. Przychodzi, w przedpokoju kosze, szafy, smród, światło pali się za dnia, taka sama mniej więcej reszta mieszkania. Wprowadzają go do chorej. Leży nieruchomo ze skrzywioną twarzą. Maca brzuch, rzeczywiście twardy, może być ślepa kieszka. Pyta o gorączkę 37.1. Na tak małą gorączkę, chora wydaje się zbyt słaba. Każę jej się podnieść. Nie słucha go. Załóż ją w oczy i nagle dochodzi do wniosku, że to musi być coś psychicznego. Każe wyjść domownikom i zabiera się ostro: Podnieś się! Odwróć głowę! — ciągle per ty. Później dopiero zmienił głos. Moje dziecko, co ci jest? — Doktorze, ja nie mogę zapomnieć moich dzieci. Zostawiłam dzieci

w wagonie, a sama wyskoczyłam. Dzieci wciąż patrzają na mnie. — Dzieci pani wybaczą. — A pan? — Ja? — Pan jest doktor X., poznaję pana. — Co ja mam pani do wybaczenia? — Byłam na Czystym podczas wielkiej akcji. Wstrzykiwałam cyanek potasu mężczyznom i kobietom. Zatrzymałam się przy łóżku jednej z chorych kobiet i zapytałam: Dać pani zastrzyk? Nie miała siły odpowiedzieć, skinęła tylko głową, że tak. To była pańska żona. — Dziecko, dziecko kochane! — krzyknął doktor Paweł. Zdjęła mi pani kamień z serca. Słyszałam, że nie wywieziono jej, ale nie miałem pewności. Teraz będę mógł spokojnie umrzeć. Wybaczam z całego serca. Rozgrzeszam cię, dziecko! ...Może przystać ci doktora Pawła, Marysiu. Nie jest psychiatrą, ale to mądry człowiek...

— Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego, Ludko. Gdy już straciłam złudzenia, odszukałam dawnego profesora uniwersyteckiego Sebastiana, sławę w tej dziedzinie. Opowiedziałam mu wszystko tak, jak teraz tobie. Bardzo się wzruszył, sam się zaoferował z przyjściem. Sebastiana ta wizyta nawet nie zdziwiła. Wyszedł potem z profesorem. — Do Bonifratrów — powiedział — nie można go oddać, bo poznają od razu. Trzeba go leczyć prywatnie. Jeden z moich pielęgniarek wziął go do siebie, po zastrzykach musi być przy nim ktoś obeznany z tymi sprawami; mógłby u niego przeleżeć jakiś czas. Zastrzyki, separata, pielęgniarka, profesor, na to wszystko potrzeba pieniędzy, Ludko, pieniądze, a ja nie mam...

— Tak... — Ludwika długo nie dorzuciła nic do tego jednego słowa. Potem:

— Moja Marysiu, w zeszłym miesiącu musiałam swoim podopiecznym obciążyć zapomogi do połowy, dostaliśmy mniej niż zwykle. W tym miesiącu delegatura jeszcze nam nie wypłaciła, ale mówią, że kurier wpadł. Są co prawda rezerwy, ale do tych rezerw z najrozmaitszych powodów teraz sięgnąć nie można. W zasadzie ratujemy ludzi zdrowych. Twój „przypadek” jest wyjątkowy. Jak się do niego odnosić — nie wiem. Ja niestety nie decyduję. Zreferuję twoją sprawę z całym oddaniem, wierzę mi, Niestety, musisz uzbroić się w cierpliwość: przeżyjemy złą chwilę, sporo wartościowych ludzi wpadło ostatnio i najbliższe zebranie odbędzie się dopiero za jakiś czas, trudno określić za jaki. Ale to może się przeciągnąć do trzech tygodni a nawet dłużej.

— Trzy tygodnie?!...
— Niestety. Teraz muszę ci zwrócić uwagę na coś, co zauważyłam nie pierwszy raz dzisiaj. Widuję cię od czasu do czasu na ulicy. Twoja twarz zwraca uwagę: ściśnięta cierpieniem, nieobecna, zawsze w gorączce; nie, nam dzisiaj nie wolno mieć takich twarzy. Jesteś jasna, ale nasza jasność nie jest ich jasnością. Warszawa jest zbiorowiskiem ludzi z całego świata i nie możesz wiedzieć, czy nie patrzy na ciebie ktoś, kogo ty nie znasz, ale on ciebie; — to raz. Dwa — twój ubiór. Pamiętasz, co mówiły koleżanki w szkole, że mamy zawsze zachłapaną pończochy. Koturny na sznurkach w taki dzień jak dzisiaj? Nie masz innych butów? Pasek, na co ci ten pasek? Taka twarz w połączeniu z brakiem troski o ubiór — to śmierć. Za dużo oznak cierpienia, a kto w tej chwili cierpi? Uważaj na siebie... Adam pomimo wszystko postąpił nieodpowiednio. Jestem odpowiedzialna nie tylko za siebie...

IV



złowiekiem, o którym Raisa, opuściwszy Ludwikę, myślała — nie był mąż. Człowiekiem tym był Ezechiel Bukin, noszący dziś piękne nazwisko: Władysław Przeździecki.

Gdy po przyjeździe do Lwowa Raisa z „hurtożytku” sprowadziła się do wujostwa, zastała w mieszkaniu mężczyznę dobiegającego trzdziesiątki, który niewiele miał danych, by zatrzymać wzrok młodej dziewczyny. Nieduży, krępy, łysiejący, o czarnych, mocnych oczach, pozbawionych brwi, gorzkich ustach, grubym uśmiechem i głosie, zajmował się czymś, co całkowicie oddalało Raisę od niego: handlem walut skupowaniem papierów wartościowych, złota i domów; za pięćset tysięcy a za dolara trzysta rubli. Bolszewicy nacjonalizowali domy, nie miały więc żadnej wartości dla prywatnych nabywców, ale ci „liczyli na zmiany w przyszłości”. Bukin nie należał do „naganiaczy”, uwijających się po

Jagiellońskiej, gdzie milicja często urządziła obawy i gdzie nawet zdraźca Zbrucza przyjeżdżał z dolarami. Przeciwnie, to naganiacze skupowali dla niego, zaś on sam wysiadywał całymi dniami w cukierniach, co dwie godziny w innej. Człowiek zajęty podobnymi sprawami był w owym czasie kimś ostatnim dla Raisy. Nie dostrzegając nawet, że ten „zimny gieldziarz”, uznający tylko „puti-puti”, syjący kawalami o „so-wieckiej własti”, której oczywiście był wrogiem, często błądł z jej powodu. Wracał wcześniej do domu, gdy Raisa zapowiadała swój wczesny powrót, przynosił wina, sardynki o co nie łatwo było nawet za pieniądze. Raisa zjadała sardynki, resztą się nie zajmowała. Gdy bolszewicy zaczęli oczyszczać strefy pograniczne z wrogich sobie elementów, Bukin zmienił mieszkanie.

Dalsze wiadomości o nim dotyczą już okresu niemieckiego. Po wycofaniu się Rosjan, Bukin jeden z pierwszych otrzymał wezwanie „na drugą stronę”. Jego małżonka wzywała go do Warszawy. Rodzina Bukinów dorobiła się ciężkich pieniędzy na interesach z Niemcami. We Lwowie, a potem w Warszawie Raisa słyszała nieraz „o braciach Bukinach-milionerach”. Po wprowadzeniu się na Haukego ktoś „w wielkiej tajemnicy” powiedział jej, że milioner Bukin ukrywa się tu gdzieś na Żoliborzu. Prócz pokoju, odnajmowanego przez Strzeleckich — ostatnie nazwisko Sebastiana i Raisy — sędziostwo Kociółowie wypuszczali drugi jeszcze pokój urzędnicze, osobie pulchnej, spokojnej i cichej. Jakichś czas temu urzędniczka wydała się za mąż i zagadnienie, kto po niej zajmie pokój nie należało do ostatnich ze zmartwień Raisy. Groźny był każdy, zwłaszcza współlokator. Wiedziała, że sędziemu proponują „kogoś spokojnego, samotnego, dobrze ułożonego i niebiednego” i że sędzia się waha. „Jeśli — rozumowała Raisa — proponują sędziemu kogoś spokojnego, samotnego, dobrze ułożonego i niebiednego, a sędzia się waha, to znaczy, że chodzi o kogoś podejrzanego. Raisa nie myliła się: pewnego wieczoru przyprowadzono Bukina, ochrzczonego przez fałszerzy dokumentów na Władysława Przeździeckiego.

Gdy otworzyła drzwi, pierwszym jej uczuciem, po stwierdzeniu kim jest nowy sąsiad, było niezadowolenie. To samo da się powiedzieć o Bukinie. Z przepelnionego tramwaju każdy gotów jest krzyknąć: nie ma miejsca; ilość pomnaża zwykle kłopoty, tutaj pomnażała niebezpieczeństwo. Przez tydzień „Władysław Przeździecki” chodził skrzywiony; „locum” nie znalazło u niego łaski. Posiadał wszystkie możliwe papiery, ale nie ruszał się na krok. Umowa zresztą przewidywała, że nie będzie wychodził; tym razem sędzia wszystko wiedział.

Początkowo Bukin nie szukał zblizenia z Raisą, z czasem jednak zaczął odwiedzać „Muszki”. „Ciężkie miliony” mają wymowę niemal mistyczną, jak wszystko, co wyraza wysoko ponad normę. Kiedyś Raisa zastanawiając się nad Bukinem, doszła do wniosku, że musiał przed nią coś ukryć. Przeglądała mu się teraz: stare przysłowie powiada, że kto chleba krajać nie umie, nigdy na chleb nie zarobi. Bukin nie umiał chleba ukroić, nie umiał sobie herbaty sam nalać, na codzień był niedołągą, chodził po świecie jak bez oczu, nie widział koloru ścian, nie widział w co się ubiera, jego głowa stale była zaprzątnięta planami. Lecz realizacja drobnej ich części mogła istotnie przynieść fortunę. Na pytanie czy coś uratował, odpowiadał: „coś niecoś”. Zresztą jego interesy nie urwały się; co pewien czas przyjeżdżał Niemiec Tuchband na długie rozmowy w zamkniętym pokoju. Co drugi dzień przychodził „sekretnarz” Bukina, młody Polak, poeta, przynoszący pieniądze od różnych ludzi, „którzy chcieli być w porządku na przyszłość”. Gdy Raisa wyraziła swoje zdumienie, że Niemiec przwozi pieniądze, zamiast go zadunucjować, Bukin odpowiedział, że „raz — daje mi grosze, dwa — tak mu się lepiej oplaca”. Za te grosze poeta kupował dolary w Banku na Jasnej, które Bukin chował gdzieś w siebie w pokoju.

Jego opowiadania o dzielnicy wywołały w Raisie żal, że ominęła ją to życie jednorazowe. Ostatnio mieszkała istotnie o dwieście kroków od ulicy Haukego u osoby, która przyjmowała tylko „z pensjonatem” i liczyła odpowiednio; bez wielkich pieniędzy nie można było do niej zapukać. Osoba nie bała się nikogo, ani gestapo, ani „szmalcowników”, jej dom już z dwadzieścia razy przetrząsnęto. Stale ulepszała „system kryjówek” i stale przyjmowała. Wpuszczała tylko tych, którzy dzwonili „trzy razy po dwa i krótko” wedle umówionego znaku. Po każdym innym dzwonku pensjonariusze biegli na strych. Policjanci i szmalcownicy znali oczywiście i te sposoby, wiedzieli, że ostatnio tyrolczycy wierzą tylko w skrytki. W praktyce zwykle dwie, trzy

osoby nie zdążyły się ukryć i szmalcownicy oskubywali je nie szukając już dalej. Ostatnio, naloty powtarzały się niemal codziennie, dom opustoszał. Czekając na decyzję sędziego, który ciągle się wahał, Bukin szalał. W końcu szantażył go wymagal. Kosztowało go „dosyć”; wiedzieli kim jest.

Sebastiana nie lubił. Początkowo nie podobał mu się jego stosunek do Raisy. „Wolno mu nie zarabiać, wielu jest dzisiaj takich mężczyzn, ale dlaczego nie rozpalili w piecu? Dlaczego nie obierze kartofli, nie wyrzuci śmieci?” Potem jawnie podkreślał to przed czym Raisa się bronila. Mówił: To nie jest człowiek normalny, wystarczy spojrzeć; zresztą wszyscy Goldsteinowie slynęli z tego. We Lwowie dla nikogo to nie stanowiło tajemnicy. Sebastian nie mógł liczyć na pannę z dobrego domu, na nie przyzwoitego... Tą ostatnią wiadomością długo truća się Raisa.

Z miny sędziego Kocioła, gdy jej otworzył, wywnioskowała, że coś zaszło, ale sędzia szybko udał się do siebie. Stojąc pod drzwiami, Raisa usłyszała lekki rumor w swoim pokoju. Równocześnie na korytarzu zjawił się Bukin z twarzą przejętą tak samo, jak sędzia. Ku zdumieniu Raisy — w pokoju nie było nikogo. Bukin, który podążył za nią opowiedział jej co przez ten czas zaszło. Sebastian natknął się na ulicy na patrol. Nie zatrzymali go. Coś mu strzeliło do głowy, i zawrócił, by zapytać policjantów o godzinę. Wtedy potłukli go „za bezczelność”, obszukanli i zabrali mu wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Pułkownikowa z dołu wszystko widziała.

— Gdzie jest teraz? — spytała Raisa.

— Nie wiem, może na dole u pułkownikowej.

— To mogło się przydarzyć każdemu — rzekła Raisa w zamyśleniu.

— Nie mów, że to mogło przydarzyć się każdemu — krzyknął Bukin; dalej starał się mówić szeptem: Powtarzam raz jeszcze: wolno by ci było biegać do hał, nie zważać na łapanki, wolno by ci było nawet codziennie polykać „świniki” jak Lo-Kitay, narażać się sto razy na dzień po to, by przynieść „swojej Muszce” nowy sweter, nowe kałesony, czy paczuszkę krówek śmietankowych, które byś sama wyciągała z papierków, aby się Muszka za bardzo nie zmęczył, mogłabyś nadal być jego służącą i myć mu nogi — gdybyś ryzykowała tylko własnym życiem, gdyby tylko twoja osoba wchodziła tutaj w grę. Ale Sebastian posiada adresy ludzi, których życie nie jest może tak cenne, jak jego, ale którzy mają prawo się bronić. Raiso! Na miłość Boską, w dzisiejszych czasach nie można robić dramatów z powodu jednego pomieszanego człowieka. Miłosierdzie nie brzmie głębiej w żadnym języku świata. Nazywają nas narodem miłosiernym — am rachmonys. Gdy ze zlikwidowanych miasteczek Żydzi uciekali do jeszcze nie zlikwidowanych, odpędzano ich kijami: Tylko wasze miasteczko miało być zlikwidowane, nasze nie! Uchodźcie, abyście waszą obecnością nie ścignęli na nas nieszczęścia. Schulz dał słowo, że nas to nie dotyczy. Latem 1942 wyrazem miłosierdzia był cyanek potasu kupowany za złote dolary. W okresie Wielkanocy matki dusiły dzieci poduszkami, w obawie aby płacz nie ścignął Niemców, te same matki, które trzy lata wcześniej mówiły: No, plun, Beniusiu, na mamę, pokaż, że umiesz pluć! Na Placu Przetadunkowym matki porzucały dzieci, bo z dziećmi były skazane. Gdy okres cierpienia się skończy, matki znów zaczynały mówić do dzieci: plun na mamusię, ty tak ładnie plujesz; ojcowie gra na skrzypcach nadal będą je zachęcały, żeby jady. Oczami niewidzącymi nauczyliśmy się patrzeć na umierających tam za murami — bo i tak nie mogliśmy pomóc wszystkim. Czy wiesz co robią marynarze, gdy tonący chwytają się przepelnionej łodzi? Wolno by ci było poświęcić swe młode życie, swą urodę, kobiety zdolne są do tego; jedne z nich plać światu za to co wyrabiają inne. Gdy zaczną bić, to i za normalnego człowieka nie można ręczyć, tego co się dzieje w bitym człowieku na trzydzień nie można zrozumieć. Ale nie chodzi o to, że zaczną go bić. On i bez tego pewnego dnia przyprowadzi nam zandarmów. Przecież to człowiek obłąkany! Raiso! Nie ma innej rady! Nie widzę innej rady! Trzeba, musisz go uspić...

Przysunął głowę do głowy Raisy. W trosce, aby jego słowa nie wybiegły poza pokój, mówił szeptem, który rozgorączkowanie zmieniło w szpazm:

— Tak, nie ma innej rady! Halecka miała identyczną historię. Dano jej cyanek i otruta męża w mieszkaniu. Czy wiesz, jak go wyniosła? Sikięra odgrała najpierw głowę, potem ręce, potem nogi i wywoziła w walizce do miasta. Można pomagać ratować tych, którzy chcą się sami ratować, ale nie tych, którzy nie wytrzymują. Słabi muszą odpasć — to prawo wojny! Prawo

do życia mają tylko ludzie silni „nur tüchtige Leute”. Nie można wymagać ode mnie, abym pomagał ratować kogoś, kto mi sprowadzi szmalcowników na kark. Muszko, nie trzeba tak jak Halecka. Pojedziesz z nim pod wieczór za miasto, na Bielany, np. do lasku, poczekaasz aż się ściemni, dni już są krótsze, tak, że zdązysz przed godziną policyjną. Zabierzesz w termosie herbatę, przed tym nakarmisz go twardymi jajkami, do herbaty wrzucisz cyanek, można się postarać o cyanek. Potem wrócisz... Straszne! Straszne! Ale nie można inaczej. Słuchaj, mam pieniądze pod dostatkiem, aby przeżyć wojnę. I na wojnie mam pieniądze, wszędzie mam pieniądze, w Ameryce, zabezpieczyłem się! Mieszkanie mamy, to mieszkanie wyda się mi się świetne. Kociołowie są ludźmi cichymi, porządnymi. Wiem, że za miesiąc przyjdą, „że nie mogą, że inni biorą więcej, że muszę im dorzucić — jeszcze pięćset, jeszcze tysiąc złotych!” Idioci! Możemy tu przeżyć wojnę, tylko miej odwagę ciecia!...

Usłyszeli pukanie. Wszedł sędzia Kocioł. Odnosił książkę „panu Strzeleckiemu”. Uwagę wszystkich zwrócił jakieś szmery w szafie.

— Myszy ma pani w szafie? — zapytał sędzia Kocioł.

Raisa nie odpowiadała. Przez cały czas przemówienia Bukina nie odrywała oczu od szafy. Nagle ktoś otworzył ją od środka. Cześciowo przestronięty własnymi marynarkami stał tam Sebastian.

— To nie myszy — rzekł. — To ja, doktor Goldstein...

V.



Nazajutrz po scenie w szafie Raisa pożyczyla trochę pieniędzy od Warszawskiego, owego znajomego ziemianina,

nie oddała pewnej sumy Józefowi i zawiozła Sebastiana do profesora. Sebastian nie zdawał sobie z niczego sprawy, trwał w apatii. Po pierwszym zastrzyku glukozy zbudził się odmieniony. Zorientowawszy się, gdzie się znajduje, pobit pielęgniarką i w białiznie wybiegł na ulicę. Raisa z pielęgniarką gonili go po Dobrej wśród uciechy i przerażenia przechodniów. Siłą sprowadzony Sebastian rozplakał się. Jak mogłaś mi coś takiego zrobić! — powtarzał bez przerwy. — Jak mogłaś! Świadomością faktu zjadała go. Czy pod wpływem nagłej poprawy, czy raczej zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, profesor orzekł, iż można przerwać kurację i po dwóch dniach Sebastian powrócił na ulicę Haukego, gdzie atmosfera stała się nie do zniesienia. Sędzia „w imię bezpieczeństwa wszystkich” żądał zwolnienia pokoju. Pewnego dnia oświadczył, iż „za nie” nie wpuści Sebastiana, niech Raisa „zrobi z nim co chce”. Z trudem uprosiła dawną służącą Tamarkinów (której kiedyś oddała ukłony od młodego Tamarkina, czym ją wzruszyła), aby przyjęła Sebastiana na jakiś czas; nie mówiła, że chodzi o męża, nie mówiła nic wyraźnie. Służąca mieszkała w Jelonkach; Sebastian spędził tam dwie noce. Po pierwszej odkryli go urzędnicy, którzy szukali bimbrowni. Chcieli okupu już nie tylko za bimbrownię, ale i za Sebastiana. „Z takiego ptaszka ma pani więcej niż z bimbrowni”. Wyjechali z pogrozkami. Kobieta żądała, aby Sebastian natychmiast opuścił mieszkanie; zaczął wydawać się jej dziwny i żalowała, że uległa „wysokiej blondynce”. Na noc zaprowadziła go do piwnicy jakiegoś zrujnowanego domu, gdzie ktoś wrzucił mu butelkę z benzyną. Poparzony i w strasnym stanie Sebastian wrócił na ulicę Haukego. Sędzia wzruszony przestał chwilowo nalegać, by opuścił mieszkanie. Sebastian jak gdyby się odmienił; stał się prawie normalny, czytał co prawda pięć książek na raz i uważał by nie stąpać na pięcie, ale żadnych dziwactw poza tymi nie okazywał. Zaczął nawet pomagać Raisie w domowych sprawach. Raisa przyglądała się zmianie z cichą nadzieją. Po trzech tygodniach zaczęło się wszystko na nowo: Sebastian znów „nie przyjmował do wiadomości obecności Niemców”, wychodził na noc itp. Gdy Raisa próbowała go zamykać w pokoju, spuszczał się po rynnie, wywołując sensację

na całej uliczce. Bukin, który milczał przez trzy tygodnie, rozwścieklił się na nowo. Udał się na noc do swego pokoju powtarzał: Dzisiaj można się spodziewać, kładę się w ubraniu, umocnię linkę i na pierwszy dzwonek, wieję. Ale — kończył patetycznie — dokąd? Dokąd?... Sebastian, który dotychczas miał obojętny stosunek do Bukina, teraz zniechęcił go. Gdy wracał zawsze w strasnym stanie, wołał na całe mieszkanie: Ten parszywiec! Dorobił się! Czy wiesz, jak się dorobił? To judasz! Odgrażał się, że go zniszczy! Pewnego dnia wrócił „z facetem”, Bukin ledwie zdążył uciec do ogródka, gdzie przeleżał w krzakach kilka godzin, Sebastian z facetem pili w pokoju; w pewnej chwili Sebastian wstał i zażądał, aby facet już poszedł. „Nigdy — odgrażał się facet — nigdy, ty Szapiro!” Raisy przez ten czas nie było w domu; po tym fakcie zrozumiała, że nie ma prawa narażać ludzi. Znalazła jakiś pokój w Alejach i przeprowadziła się; mieszkała tam zaledwie kilka godzin. W halach usłyszała, że jest w Alejach mieszkanie, którego właściciel chętnie przyjmuje „wszystkich”, a następnie własnoręcznie siekiera zarabuje w piwnicy. W popłochu pojechała do Alej i wyciągnęła Sebastiana. Sędzia przyjął ją „na kilka dni, ale nie na dłużej”. W ciągu tego czasu Sebastian znów nie przyjmował do wiadomości obecności Niemców. Raisa sama widziała, że nie da rady, że to się musi skończyć katastrofą dla wszystkich, co stale podkreślał Bukin. Działania na froncie zastygły, wyglądało na to, że wojna nie rychło się skończy. Odezwała się nędza, nie się Raisie w halach nie udawało, tonęła w długach, Józef tracił do niej zaufanie. Ludwika milczała, sama zdaje się miała kłopoty, bo zmieniła adres. U kresu sił Raisa zdecydowała się pojechać na Bielany.

VI.



nie sprzeciwiał się temu spacerowi bez końca, aż doszli tutaj. Nie uskarżał się na zmęczenie. Nie nalegał, aby kocz rozłożył gdzieś w pobliżu ludzi, choć zawsze przepadał za towarzystwem, a nie znosił samotności. Bez oporu szedł w objęcia przeznaczenia.

Siedzieli na skraju chudego lasku, w dole płynęła Wisła. Jak okiem sięgnąć nie było nikogo. We wrześniu plaża już nie ma wielbiciele, nawet niedzielne wyjazdy „za miasto” tracą swój tłumny charakter. Ostatnich ludzi minęli godzinę temu, przez ten czas szli nie natrafiając nawet na skorupy od jaj. Sosny, woda, piasek, niebo.

Odwrócona w stronę rzeki nie widziała go, słyszała tylko jego spokojny oddech.

— Muszko...

— Nie zmieniając pozycji, spytała:

— Co?

— Jak tu cicho, jak dobrze. Byłaś tu kiedy?

— Nie.

— A skąd znasz to miejsce?

— Tu wszędzie ładnie

— Wszędzie? A mnie się zdaje, że tylko tutaj. Przyjedźmy na drugą niedzielę?

— Przyjedźmy; uderzał ją własny głos, wolniejszy niż zwykle. Nie odrywała oczu od nieba.

— Właściwie moglibyśmy przyjechać tu jutro.

— Jak zechcesz...

Mówił w dalszym ciągu:

— Któregoś dnia siedzę w pokoju i myślę sobie: Dzisiaj święto Trąbek, ukochane święto mamy. Matki nie ma, domu nie ma, nie wejdzie nikt i nie powie: czy ci wszystko najlepszego. Naraz wchodzi sędzia i powiada: wszystkiego najlepszego życze panu. — Dziękuję, to ładnie, że pan sędzia pamiętał. Wtem uprzytamiam sobie, że przecież sędzia nic nie powinien wiedzieć o święcie, czyżby znał prawdę? — Nie wygląda pan na szczęśliwego solenizanta; wieszował mi imienin... Ile miałem imion w ciągu ostatnich dwóch lat? Już mi się w głowie kręci. Człowiek tak sobie wzbrania wszystkiego, że byłoby naturalne, gdyby zaczął odpowiadać hebrajskimi cytatami z Proroków. Zawiodłem się na tobie, Muszko. Czulem się źle, sam wiem, a ty jak postąpiłaś? Wysłałaś mnie z domu. Pierwszy cios i już się załamalaś. Czy tak postępuje żona? Moja matka była inną żoną.

— Może nie całkiem jesteś sprawiedliwy — rzekła nie oczekując odpowiedzi, nie przywiązując z góry do niej wagi. Nie można było z nim rozmawiać; rozmowy miały tylko pozory rozmów. Po dziesięciu jasnych odpowiedziach, za jedenastą otwierała się noc. I ta jedenasta przekreślała wartość dziesięciu poprzednich.

Odwrociwszy się stwierdziła nie po raz pierwszy, że piękna w oczach, nigdy uroda jego nie była tak czysta jak ostatnio. Męka wydelikacila, wysuszyła mięśnie twarzy nie psując jej proporcji; miał wysokie, mocne czoło i nieco słabszą linię podbródka, orzechowe, gorące, zachłanne wpatrzenie oczu, nos z szlachetnym garbkiem, geste czarne włosy. Mniej więcej w środku czoła odcinał się kawałek skóry wielkości śliwki, surowy jak od poparzenia. Tej śliwki nie miały się ani zmarszczki ani sińce, pozostawała zawsze surowa. Leżała w lekkiem wgłębieniu czoła jak studzienka w środku jezdnia. „Tam mieściło się źródło wszystkiego” — myślała nieraz. Raisa czuła się wobec tego miejsca bezradna, jak wobec grobu.

Ślizgając się po leżącym Sebastianie wzrok jej padł poprzez otwartą koszulę na marszczącą się w nachyleniu skórę, wskutek czego jej brąz był o ton ciemniejszy. Przez bieg skojarzeń wspomniła jedną z pierwszych wspólnych nocy: leżał wtedy na łożku, jak mniej więcej teraz na kocu, z głową opartą na dłoni i przyglądał się jej. Nie mówił źle o kobietach! Bardziej niż mężczyźni wiedzą one, jak wysoko miłość wiedzie i modlą się i wypatrują codziennie i czekają codziennie, aby dokonało się ich wniebowstąpienie przez miłość. Przymknijcie oczy, natęście uszy a usłyszycie wielki krzyk świata, codzienną jego modlitwę o wniebowstąpienie!

Wniebowstąpienie Raisy siedziało tu teraz przed nią: człowiek poruszający się na wąskiej kładce, umieszczonej pomiędzy światłami, oglądający widoki, których nikt prócz niego nie oglądał; istota, z którą trudniej było się porozumieć, niż z rzeką płynącą w dole, niż z sosną rosnącą obok; ktoś, z kogo naigrawała się natura, ukazująca raz po raz swe kły; pomieszanie — istota bez szczelin dla drugiego człowieka. Wyschniętymi, od dawna pozbawionymi łez oczami Raisa przyglądała się swemu wniebowstąpieniu.

Postanowiła nie dać mu napoju przygotowanego przez Bukina. Już wiedziała: bardziej samotna niż więzień zanurzy się znów w tej walce bez zwycięstwa i nagrody. Nie wiedziała, gdzie spędzi noc dzisiejszą, co przyniesie jej jutro, czuła gorzki smak tego jutra — ukłucia, ukłucia, jakby nie z tego świata jakby ktoś cienką, długą igłą przekłuwał jej serce — ten ból tarzający się wszystkim wyłączonym z życia często chwytła Raisę. Czula go i teraz pod wieczornym niebem, uprzedzał smak życia, do którego miała powrócić, jak czasami ktoś bardzo kochający uprzedza tęsknotę już wtedy, gdy osoba ukochana jeszcze przy nim siedzi.

— Którego zaspacicie lekko, wspomnijcie tych, którym noc nie przynosi snu. Obuci wspomnijcie tych, których Bóg zysła bosych na drogę wysypaną szkiem. Nie patrzcie okiem obojętnym na krew; być może, iż ona płynie, abyście wy nie broczyli. Wspomnijcie nieobutych...

Tak jak gdyby nie było nikogo przy niej, Raisa powiedziała głośno ten ulubiony wiersz jego matki, małej skulonej istoty, która do ostatka błagała ją, by się opiekowała Sebastianem. Ilekroć upadała na duchu, ilekroć postanawiała nie walczyć dłużej, przypominała sobie obietnicę daną tamtej kobiecie. Tamta kobieta już nie żyła, ale w chwilach wielkiego światła, świat nie dzieli się na żywych i umarłych, wspólność rozciąga się w wymiarach, gdzie wszystko, co żyło ongi, trwa nadal. Nie kochała już Sebastiana jako mężczyzny. Jako człowiek był mniej wart niż rozbity garnek. Ale nie miał nikogo prócz niej. Do kogoż więc miał pójść?

— Dlaczego płaczesz? — usłyszała nagle.

— Już nie.

— Widzę przecież.

— Już nie. Już nie, Muszko...

Podniosła głowę, zamarała z wrażenia: Sebastian odkręcał termos z zatrutą herbatą. Przez chwilę zdawało się jej, że musiał zabrać drugi, cały czas ręką przytrzymywała coś pod kocem, przekonana, że to termos, był to kamień. Wytrąciła mu naczynie z ręki, płyn rozlał się po kocu.

Przedtem w drodze przyplątał się do nich kundel, brudny, wymizerowany, z żółtymi łapanami na grzbiecie, z żółtym pyszczkiem, przedzielonym białą linią. Nie dawał się dotknąć, ale i nie odchodził. Dowiódł się z nimi aż tutaj i usiadł pod sąsiednim drzewem, spoglądając oczami tak bolesnymi, że tego znieść nie było można. W końcu osmielił się, podszedł i położył się obok Sebastiana. Teraz, gdy herbata rozlała się, odskoczył, zaraz jednak wrócił i zaczął ją wychlepywać. Raisa z prze-

rażeniem patrzyła na psa, Sebastian na Raisę, która czuła się jak sparaliżowana, ruchu nie mogła wykonać. Wyliczawszy koc pies próbował usiąść, przewrócił się jednak, jakby go ktoś pchnął. Po krótkim czasie zdążył; leżał z otwartymi, ludzkimi oczami. Raisa spoglądała to na psa, to na Sebastiana. Nagle rzuciła się pędem w stronę rzeki.

Gdy wróciła — bez termosu — Sebastian siedział obok martwego pieska. Widziała niemal, jak obłęd rozplywa się po twarzy męża, przymykał i otwierał oczy; drżał. Przez piętnaście minut nie wyrzekł słowa. Gdy zaczęła płakać, spytał ją dlaczego chciała go otruć. Było już szaro, ale Sebastian nie chciał wrażeć. Z trudem naciągnęła nań marynarkę i wzięła go pod rękę. Ciągłe drżał. Gdy znaleźli się na Diełanach, z jednej z uliczek wyszedł patrol żandarmerii. Nie można go było ani ominąć, ani się cofnąć. Raisa przycisnęła mocno Sebastiana. Żandarmi zatrzymali ich. — Żydok? — zapytał jeden z nich po śląsku. — Gdy śmiejąc się już zupełnie przekonany żandarm zapytał po raz drugi, Sebastian potwierdził ruchem głowy.

VII.



W dwa dni po zabraniu Sebastiana, Raisa otrzymała wiadomość od Ludwika, że przyznano jej poważną sumę na leczenie męża.

Doktor Braun znał Sebastiana; usłyszawszy o jego przejściach pragnął zobaczyć Raisę. Wywiad doktora Brauna ustalił, że Sebastian znajduje się na Pawiaku w celi 207. Cele 207 i 208 przeznaczono były dla oskarżonych o „pochodzenie”. W pierwszej siedzeli podejrzani, w drugiej ci, którym już udowodniono „pochodzenie”, zatem skazani na śmierć. Czekali na nią rozmaito, czasem dwie godziny, czasem dwa tygodnie, a nawet dłużej, zależnie od stanu liczebnego i potrzebnej siły roboczej. Z 208 chętnie szli do robot, nawet najgorszych, z nadzieją, iż zdołają coś do zjedzenia. Cella 208 mieściła się w suterrenach, trzy kliki biegły amfildą, na podłodze leżały sienniki. Ludzie, którym udało się wydostać z 207, opowiadali z podziwem o godności sąsiadów. Do 208 trafiali niekiedy wspaniali ludzie, artyści, uczeni. Słabym z głodu głosem mówił towarzyszem o „wielkim cudzie życia”. W celi 208 nie było już swarów, nie było brzydoty śmierci, którą widziało się w obozach i w dzielnicach. Cele 208 skazańcy opuszczali z uśmiechem. Wyprowadzano ich do ruin na rogu Dzielnej i Pawiej, tam padał strzał. Jak długo Sebastian znajdował się w więzieniu, kosztem wielkich wysiłków można mu było posłać cyanek. Kilku wybitnym osobom, które obawiały się, iż załamią się pod biciem, na ich własne żądanie Braun posłał truciznę. Raisa była przeciwna cyankowi; zresztą w jedynym grypsie, jaki Sebastian przysłał, prosił nie o cyanek, lecz o ratunek. Na Pawiaku wyzdrowiał, zdaje się, zupełnie.

Musiano go chyba wziąć do robot, bo udało mu się uciec; ostatni ślad po nim znaleziono na terenie fabrycznym znanej firmy garbarskiej T., której zabudowania przylegały do dzielnicy. O pierwszej po północy policjanta Karbońskiego zastąpił policjant Hopdaj, któremu straszenie chciało się spać w tę mglistą listopadową noc; był to młody chłopak. W pewnej chwili zdawało mu się, że coś się w zabudowaniach ruszyło. Strzelił raz i drugi. Zaraz potem usłyszał jęki. Strach trzymał go zdala aż do powrotu Karbońskiego. Oświełwszy rannego nie mieli wątpliwości co do jego pochodzenia; nie był to pierwszy wypadek ucieczki przez ten teren. „Nie daj się męczyć człowiekowi — powiedział Karboński do Hopdaja. — Zaczęłaś człowieka, to go dokończ”. Ale Hopdaj strasznie się przełękł i za nic nie chciał. Poszli do Niemca z O. T., który pracował w garażu i obudzili go. Skłali ich. Dwaj policjanci udali się wtedy na dalsze poszukiwanie i wrócili z SS-manem. Zaczęło świtać; ranny leżał w starej garbarni i śpiewał w malinie; sprzeciali się potem co do tekstu śpiewu. Karboński twierdził, że brzmiał: niech żyje Polska, Hopdaj: Niech żyje Wielka Polska. Ranny leżał odwrócony. Niemiec występował mu dziurę w plecach. Leżący szarpnął się i skoczył jak żaba. Gdy zniuruchomiał, Niemiec ściągnął mu buty w poszukiwaniu złota. Nie znalazł go i podarował buty Hopdajowi. Człowiekiem zabitym był Sebastian.

VIII.



o wojnie, latem 1946 r. ojciec Raisy, Saul Wołkow, wrócił z Rosji i rozpoczął poszukiwania za córką, którą ostatni raz widział w grudniu 1939 roku.

Najdziwniejsze bodaj z tego, co można znaleźć w historii rodzaju ludzkiego, są z pewnością dzieje Żydów. W obliczu ostatnich wydarzeń, mówię oczywiście o energii atomowej i o powszechnym wyczekiwaniu końca świata, dzieje takiej np. Anglii — drogiej nam wszystkim — wydają się bez sensu, a dzieje Żydów może nie. Jeśli chodzi o Żydów samych, to spośród wielu ich cech, wywołujących zdumienie, na pierwszym miejscu należy postawić siłę odrodzenia, możliwą jedynie przy równej sile zapomnienia; tę ostatnią Żydzi posiadają w takim stopniu, iż chwilami wydają się narodem idiotów. W jaki sposób jedna generacja może nic nie pamiętać z przeżytej poprzedniej, tego nie sposób pojąć, to jedna z tajemnic życia. W roku 1939 martyrologia Żydów nie była przecież niczym nowym, a jednak musiała ona być czymś dobrze skostniałym, skoro Saul Wołkow mógł przeżywać swój wielki dramat w związku z czym? Zaraz powiemy.

Jesienią 1939 do W. weszli bolszewicy. Raisa, która akurat kończyła osiemnasty rok, była lewa i od dawna wyglądała Rosjan. Nic jej to nie przeszkadzało, że pochodziła z najzamożniejszej rodziny w miasteczku, że ojciec był właścicielem tartaku i kilku domów i żył zapanbrat z ziemiaństwem okolicznym. Wkrótce zaczęto widywać Raisę w towarzystwie kapitana Czerwonej Armii, Igora Zasławskiego. Otóż większego nieszczęścia niż to, że kapitan Czerwonej Armii Igor Zasławski zostanie jego zięciem, Saul Wołkow w 1939 roku nie mógł sobie wyobrazić. Wielkim urokiem Rosjan było to, że gdy im się dziewczyna podobała, od razu chcieli się żenić. Raisa, która w ciągu kilku ostatnich miesięcy z dziewczynki stała się dojrzałą kobietą (ojciec z przerażeniem patrzył na tę zmianę), wracała późnym wieczorem rozpalona, nie skora do rozmowy z nikim z domowników. Wołkow wiedział, iż nie jest dobrze widziany w oczach władz i postanowił „rozparcelować” rodzinę i wynieść się z W. Teraz postanowił wysłać przede wszystkim Raisę. Ku zdumieniu ojca dziewczyna nie stawiała prawie oporu; zgodziła się przejść granicę, by przedostać się do Lwowa; tam miała czekać na resztę rodziny. „Jest rozsądna” — pomyślał Wołkow. Nie wiedział, iż dziewczynę gnębiło to, co się w niej działo. Jej pierwsze uczucie wydawało się jej czymś niedobrym. Igor był człowiekiem obcym, jego obcość z jednej strony odpychała, z drugiej jednak posiadała dużą atrakcyjność dla dziewczyny. Niedługo po wyjeździe Raisy, Rosjanie wystali Wołkówów w głąb swego rozległego kraju i w ten sposób uchronili ich od pieców niemieckich.

Jak większość nieobecnych w kraju, Wołkow myślał o śmierci milionów jako o czymś niezróżnicowanym. Gdy zaczął przysłuchiwać się historii zagłady, zrozumiał, że sporo osób zginęło jednak w sposób indywidualny. Zapragnął szczegółów o córce. Był to człowiek energiczny, nie lubiący polowicznej roboty. Zaczął od ogłoszeń w dziennikach, korzystał z radiowej skrzynki zagubionych — bez rezultatu. Jak większość przybyłych z Rosji, zatrzymał się na Ziemiach Zachodnich. Ponieważ było więcej szans na spotkanie znajomych Raisy w środkowej Polsce, jeździł kilkakrotnie do różnych miast, głównie do Warszawy. Tu udało mu się odnaleźć jakąś przyjaciółkę Raisy z okresu lwowskiego, która pamiętała, że Raisa cesała się jej czarnym grzebieniem i zawsze zostawiała na nim kłęby jasnych włosów. Nie miał poczucia własności. Tyle się Wołkow dowiedział po czterech miesiącach poszukiwań.

Pewnego dnia spotkał Warszawskiego, owego ziemianina, który skontaktował Raisę z kupcem Józefem. Bazyli Warszawski, człowiek blisko sześćdziesięcioletni o białych włosach i kontrastującej z nimi brudnej, jak gdyby, zmiętej twarzy znał historię Raisy nie tylko w jej dokładnym przebiegu, ale z rozmaitymi uwagami i zwierzeniami Raisy, która traktowała go jako „zyciową duszę”. Saul Wołkow otrzymał dokładny opis życia córki i jej męża, uwagi o jego wyglądzie i stanie umysłu. Bazyli Warszawski nigdy nie lubił Wołkowa, a wojna jak wiadomo nikogo nie zmieniła, więc nie zataił przed nim niczego.

O córce Wołkow dowiedział się jeszcze następujących szczegółów: po zabraniu Sebastiana wyprowadziła się szybko do śród-

mieścia. Do powstania współpracowała z doktorem Braunem, z którym pozostawała w serdecznych i bliskich stosunkach. Powstanie zaskoczyło ją na Żoliborzu gdy przypadkowo znalazła się u Kociołów. Dziewiętnastego września ciężki pocisk spadł na ulicę Haukego. Ogółem cztery takie pociski padły na Żoliborz, gdzie powstanie miało przebieg łagodniejszy, niż gdzie indziej. Od samego podmuchu płuca pękały ludziom, znajdującym się na powierzchni. Raisę zasypało wraz z sędziostwem i innymi.

Rozporządzając nazwiskami otrzymanymi od Warszawskiego, Wołkow nadal prowadził poszukiwania. Starał się odnaleźć ostatnich gospodarzy Raisy — bez skutku. Również sędziostwa nie mógł odnaleźć nigdzie. W końcu pułkownikową, u której Raisa grała na fortepianie odnalazł w Łodzi. Wręczywszy wdowie „piękny kupon materiału”, uprosił ją, ażeby pojechała z nim do Warszawy i wskazała mu miejsce, gdzie stał niegdyś dom. Pułkownikowa zgodziła się. Gdy przyjechali, zostali na ruinach żołnierza armii polskiej z Zachodu, syna sędziostwa Kociołów. Wraz z nim Wołkow postanowił przystąpić do ekshumacji zwłok. Saul Wołkow wydobyl „swoją krwawą szczyptę gliny”, przewiózł ją na ementarz, żonę zabrał na ostatnią chwilę. Ludzie mówili modlitwę i zwrócili ziemi to, co jej zabrano.

IX.



miliony spalonych i zabitych, część Europy „ausradiert” — wymazana, rola człowieka zrównana z rolą mikroba, perspektywa nowej wojny, oto obraz dnia dzisiejszego.

Pisarze, którzy w swej sztuce chcą zmierzyć się z historią, powinni przyjeżdżać do Warszawy, powinni chodzić po ulicach, których nie ma, patrzeć na ludzi, których nie ma, wspominać wydarzenia ongi cięższe od krwi, dziś wiotkse od babiego lata; powinni patrzeć, patrzeć na ruiny przeświecające pełnią dla nich, nicością dla dorastającego pokolenia. Po takim spacerze pisarz może zająć do kawiarni i zanurzyć się w ludziach, z których każdy na swym niewyprostowanym grzbiecie dźwiga tobole historii. Jest wczesna godzina, jedynasta dopiero, w „Kolorowej” jeszcze pustawo. Przy jednym ze stolików siedzą Saul Wołkow i Ezechiel Bukin, który ciągle jeszcze nazywa się Władysław Przeździecki. Spotkali się przypadkowo.

Cztery tygodnie temu na ulicy Wołkow podszedł do Bukina, nie bez pewnego bólu serca. Nie było mu przyjemnie, że właśnie tacy ludzie, jak stary Warszawski, czy niski, krępy, nieprzyjemny dla oka Bukin, otaczali jego młodą córkę. Sto pytań Wołkowa Bukin puścił mimo uszu. Nie lubił pytań, nie lubił odpowiadać, „nie się z tego nie ma”. Przeważnie sam zadawał pytania i to tak szczegółowe, jakby za każdym razem chodziło o wykrycie zbrodni. Ludzie po rozmowie z nim wychodzili jak z łaźni. „Taki żyje, a moje dziecko nie” — pomyślał Wołkow z goryczą.

Wołkow: — Wie pan dlaczego Muszka zginęła? Dlatego, że zapomniała o rodzicach. Jej obowiązkiem było przyjechać do nas. Pisałem, żeby przyjechała. Nie wiodło nam się źle w Rosji, a jej byłoby świetnie. Oni tam przepadają za muzyką, a ona świetnie grała. Dałem jej najlepsze wychowanie, jeździła do Wilna, do najlepszej nauczycielki. Ile to kosztowało! A ile wyrzecen! Gdy wyjeżdżała w sobotę, służąca nosiła za nią skrzypce; nie mogłem przecież pozwolić, aby w miasteczku mówili, że moja córka jeździ w sobotę i gra w sobotę. Niech pan powie, aby tak skończyć, czy potrzebne jej były skrzypce?

Wydobył z portfela kilka fotografii Raisy pobryzanych błotem, podziurawionych; otrzymał je od pułkownikowej.

— Podobna? Ciężki, przysadzisty Bukin przyglądał się pytającemu. Tak samo jak za pierwszym razem był zdziwiony jego wyglądem; inaczej go sobie wyobrażał. Podczas wielkich mordów latem 1942 a także i później inteligencja zorientowała się, że nie ma dla niej ratunku, trula się masowo. Natomiast nie zanotowano ani jednego wypadku samobójstwa wśród ludzi wierzących. W Treblince wchodziło do komór gazowych wołające: „Błogosławiony mąż, który...”. Opór Raisy Bukin tłumaczył sobie jej religijnym wychowaniem. Jednakże człowiek,

z którym siedział, wyglądał raczej na muzyka, niż na ortodoksyjnego Żyda; miał pękłą grubą twarz i błękitne głęboko osadzone oczy. Pomimo to bez trudu poznał w nim ojca porcelanowej, dziełkowej, słodkiej Raisy.

Bukin: Raisa była podobna do pana, Wyszyła za Sebastiana, bo pan pochwaliby jej wybór. Nie kochała swego męża, tak jak Iggra, kochała go inaczej, ale rozumując pańskimi kategoriami, uważała, że powinna być szczęśliwa. Sebastian był „niezłą partią” — przystojny, inteligentny, z dobrej rodziny, „doktor”, coś takiego jak młody Gerson. Na pewno by pan pochwalił jej wybór — i roześmiał się złym, grubym śmiechem.

Przez całe życie należał do tych szorstkich, nielubianych istot, nazywających po imieniu to co widzą i czują, bezwzględnych zarówno w stosunku do innych, jak i do siebie samego. Rys ten ostatnio jeszcze się w nim pogłębił. Powstanie przeżył w Warszawianie. Po powstaniu znalazł się na wsi w Mieleckim, umierał sto razy na dzień, nie można już dzisiaj czytać tych historii, Zniechęcił ludzi jeszcze bardziej, traktował świat jak wściekłego psa. Lecz im bardziej nienawidził, tym mocniej przywiązany był do życia. Mówił: inni mają szczęście, inni stracili żony, a ja? Nie znoślił swojej żony, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby się rozwieść.

Bukin: — Raisa nie przestawała mnie zapewniać, że po wojnie rozstanie się z Sebastianem; chciała go przeprowadzić przez najgorsze, spełnić obowiązek do końca. Nie! Nie! To nie to! Raisa po prostu kochała swego obłąkanego męża.

Bukin znów się roześmiał, tym razem ciężej. Twarz miał przesyconą goryczą. Wołkow spojrzal na niego. Ani się domyślał rozmiarów bólu, rozsadzającego piersi tego nieprzyjemnego człowieka, któremu kilka razy zabrakło tchu podczas rozmowy. Widział Raisę jak żywą, nachyloną nad miską; oberała kartofle, ciężkie włosy opływały jej perłową twarz o polickach lalki. Była to jedyna osoba, którą kochał — wtedy i teraz jeszcze — najdroższa osoba jego pamięci. Sto razy zastanawiał się, dlaczego nie mógł jej zdobyć, na czym polegał jego błąd. Powinien był może okazać się hojnym i niczego nie żądać? Może to byłaby droga? Nie mógł jednak przezwyciężyć swego skąpstwa: W roku 1942 nie wywiózł szwagra z dzielnicy, bo bał się, że będzie go musiał utrzymywać. Ale to nie było to. Już dawno rozumiał i powiedział to właśnie Wołkowowi: Raisa po prostu kochała swego męża. Kochała bezkompromisowo, jak osoba czysta. „Nawet takiej konkurencji nie wytrzymałem” — sycił siebie jadem. „Wolała człowieka obłąkanego, Lazarza. Po wypadku na Diełanach zniechęciła mnie. Wszystko inaczej niż przewidywałem”.

— W miłości przez duże G. dwa a dwa daje; przeważnie pięć — rzekł i znów gorzko się roześmiał.

— Pan wyjeżdża? — spytał Wołkowa po chwili. — Bierze pan znów kij wędrowny do ręki? Spróbuj pan postawić dom gdzie indziej? Gdzie mianowicie?

— Dom? — odrzekł Wołkow. — Epoka domów skończyła się, nie ma już domów. Żyjemy w epoce „kwatirnoej płoszczadzi”. Tutaj dla mnie za dużo krwi, a za mało bezpieczeństwa. Polacy to naród tragiczny.

— — — — —

— Czy robię dobrze? Nie wiem. Mam siostrę w Johanensburgu. Chcemy pojechać do niej. Uciekam jeszcze z innego powodu. Moja młodsza córka spotyka mi się zbyt często z pewnym kapitanem, Polakiem. Po co mi to? Niech pan powie??

— Znów pan chce wpłynąć na los córki tak, jak z Raisą?

— Co pan powiedział? — Wołkow jak gdyby się zawahał, ale wkrótce się roześmiał. Była w tym śmiechu szczypta świadomości, rozświetlającej prawa wewnętrzne i — poddająca się im. Ten blask przez chwilę leżał na twarzy Wołkowa i zgasił.

Bukin podniósł się: — Miałbym do pana prośbę. Gdyby pan mógł mi podarować jedną z fotografii Raisy...

Ale Wołkow, który nie podejrzewał ile ta prośba kosztowała Bukina, odmówił. Tłumaczył się tym, iż nie może wyzbyć się tak cennych pamiątek. W kraju nie zdąży zrobić odbitek, bo wyjeżdża już — już, ale z Johanensburga na pewno przysła.

— Dobrze — odpowiedział Bukin, głęboko przekonany, że zdjęcia Raisy nigdy nie będzie miał, tak jak samej Raisy nie miał nigdy. Skinał głową komuś przy sąsiednim stoliku, że już kończy. Nagle, z najwyższą ulgą pomyślał o czekającym go interesie. Kochał interesy, pasjonował się nimi. „Jakie szczęście, że życie nie składa się z samej tylko miłości — byłoby zbyt okrutne!”

Adolf Rudnicki

RYSZARD MATUSZEWSKI

„SZEKSPIR“ CZYLI DOJRZAŁOŚĆ*)

ZADEN z naszych prozaików, przynajmniej tych, o których wiemy, że — pisząc — gospodarują bogatym materiałem doświadczeń tylko co minionej historii, nie kazał nam na ich pełny wyraz w pierwszej wojennej książce czekać tak długo, jak Adolf Rudnicki. Czytając ukazujące się w „Kuźnicy“ i w pojedynczych broszurach niezwykle, przejmujące opowiadania Rudnickiego, od czuwalności oddawna podziw mieszały z ciekawością i z pewną niecierpliwością: jaką całość stwórzą te fragmenty trudnej i autentycznej wiedzy pisarza o współczesności, o przeszłości tak świeżej, że aż — jakby powiedział może w tym wypadku sam Rudnicki — „jeszcze cieplej”? Jakie właściwości wykaże — w skali książki — ów gtop wspólnej nam wszystkim prawdy historycznej, zawartej w samej materii opisywanych wydarzeń, — z najnieuchwytniejszą fikcją, jaką jest już każde użyte przez pisarza słowo, jaką jest, dalej, wszystko, co tę materię przyobleka w tak bardzo różnorodną formę: od najosobliwszych refleksji pamiętnika do dramatycznych wątków opowieści o losach kreowanych przez pisarską wyobraźnię postaci? Wydawca nie odbiegł od prawdy, zaopatrując tom Rudnickiego w opaskę z napisem „dawno oczekiwany”. Czekaliśmy na tę książkę. Wiedzieliśmy oddawna, że więcej niż którakolwiek inna odśloni nam z obrazu jakiejś istotnej prawdy, który spodziewamy się znaleźć w literaturze. Znajac poszczególne opowiadania, mieliśmy jak gdyby jej przedsmak. Ale był to tylko przedsmak, gdyż części wzięte oddzielnie nie dają nigdy pełnego wyobrażenia o całości.

W tomie „Szekspir“ zamknął Rudnicki dzieł się opowiadań. Nie jest to całość ostateczna, stworzy ją bowiem dopiero cykl pod wielomówiącym tytułem „Epoka pieców”. Notatka na ostatniej stronie książki wyjaśnia, że dopiero po napisaniu tego całego cyklu ustala na zostanie właściwa kolejność utworów. To, co otrzymaliśmy do ręki obecnie, jest tylko pierwszą serią, pierwszym etapem studiów nad tematem wielkim i groźnym, od którego autor jeszcze się nie odwrócił, nie wyczerpał jego zawartości. Będzie do niego powracał, wypełniał luki swego obrazu, wzoogacał go o nowe rysy. „Epoka pieców“ — to przecież kopalnia motywów żywych i gorących. Nie trudno zrozumieć autora, który nie podchodzi do tematu „systematycznie”, lecz opracowuje to co najbliższe, jego pamięci i wyobraźni, póki temat, „nie ostygnie”. Opóźnia to ukazanie się pierwszej książki, ale pomnaża bogactwo jej treści. Zawsze jest później czas na układ, segregację, kompozycję — na ostrość widzenia rzeczywistości może być potem zapóźno.

„Szekspir“ jest skomponowany chronologicznie, o ile może być mowa o chronologii w prozie, której zasadą kompozycyjną są nawroty w czasie i w której większość opowiadań posiada akcję dziejącą się w tych samych latach. Rozpoczyna się nowelą „Konia”, która napisana została przez autora najdawniej (1941) i której akcja dzieje się jeszcze przed wojną. Ma ona jednak dla „epoki pieców“ znaczenie bardzo istotne. W niej narasta i obnaża swe przedwojenne korzenie tragedia narodu, który spalono w krematoriach. W niej też osiąga odrazu swój pełny kształt — skryształizowana postawa autora wobec procesów historii. „Konia” — to dzieło dwóch ludzi: ojca, religijnego Żyda, z rezygnacją znoszącego swą nędzę, i syna, który ginie w świadomej, konsekwentnej walce.

To pierwsze opowiadanie wprowadza nas odrazu w klimat głęboko ludzkiego, pełnego tkliwości stosunku Rudnickiego do świata, do postaci, w których wyraża się złożony konflikt dwu pokoleń. Przy tym stary Jakub Kagan, prosty, ubogi Żyd, przywiązany do tradycji i jej zewnętrznych form, w którym głęboka miłość do syna kanalizuje się ostatecznie, po jego śmierci, w śmieszny dla nas pragnieniu sprawienia mu okazałego obrzędowego pogrzebu — to jeden z dobrze nam znanych już przed wojną bohaterów Rudnickiego. Jeden z tych, jakich widzieliśmy w „Leście”, opowieści, o której pisałem niedawno, że jest właściwie, wbrew pozorom okrutna, pesymistyczna, nie ofiarująca swym bohaterom niczego prócz litości. Ale „Konia” od „Lata” dzieli już okres pierwszych i wielkich doświadczeń pisarza. To, co w „Leście” stanowi o klimacie całej książki, tu jest zaledwie punktem wyjścia. Obraz walki, jaką toczy „Konia”, jego zagrobowe zwycięstwo jest sprawą postawioną wyraźnie. Słowo „nadzieja” kończy to opowiadanie, jedyne zresztą, w którym śmierć wydaje się celowa, uzasadniona walką.

Jeżeli chodzi o technikę „Konia” — to łatwo zauważyć w noweli tej chwytły, których w dalszych, później napisanych opowiadaniach Rudnicki już nie stosuje. Są tu np. w kilku miejscach w usta bohaterów włożone słowa, których będąc takimi, jakimi uczy-

nił ich autor, biorąc pod uwagę całokształt rysunku psychologicznego ich postaci, nie powiedzieliby nigdy. „Zachariasz zbliżył się do kogoś co ucieleśniał ideę. Dla czystych serc świętem jest ujrzeć wiarę serca, przyobleczoną w ciało i krew. Dla ludzi małego serca niemożliwością jest uwierzyć w przewagę człowieka o oczach i nosie niczym nie różniących się od innych. Czasami wydaje się brakiem to zakonspirowanie natury w swych wzlotach” — mówi Rubin Zelmanowicz, towarzysz pracy ideowej „Konia”, zamieszkały przy ulicy Nowolipki.

To ukazanie prawdziwej, wewnętrznej treści postaci, ale w sposób, w jaki nie zamianifestowałyby się ona nigdy, choć jest jak najdalej od metod realizmu, ma swój głęboki urok, o którym pisał m.in. Kott w ocenie

wienia, a nie milczenia” — mówi bohater „Wielkiego Stefana Koneckiego” do człowieka, który ciężaru przynależności do plemienia najbardziej doświadczono cierpieniem nie chciał znieść tak dalece, że w nim samym doszukiwał się przyczyn swych cierpień.

Ale stanowisko Rudnickiego wobec innego człowieka, wobec pełnych istot ludzkich, jakimi są z reguły jego postaci, nigdy nie jest inwektywą, jednostronnym oskarżeniem. „Ileż to razy w ciągu minionych miesięcy myślałem o tym jak niesprawiedliwy byłbym wobec tego człowieka, jak żadnych praw nie miałem do słów rzucanych mu w twarz, jak bardzo sam podobny byłym do niego, a nie do kreacji, którą chciałem mu przeciwstawić” — mówi ten sam bohater, którego spotkanie

stosunek Żydów i nie Żydów, choć w tym opowiadaniu problem ten istotnie jest zawarty. „Epoka pieców” — uczyniła z losu Żydów sprawą najbardziej ludzką w dziejach naszego narodu i świata, sprawą węzłową, której ominięcie stało się niemożliwe. Nikt bardziej niż Rudnicki nie był powołany do wydobycia z dziejów przeżytej przez nas epoki najgłębszej ludzkiej prawdy o tej właśnie sprawie. Całą siłą i odkrywczością swego piśmiarstwa, całą jego ponadśrodkową, ogólnoludzką wartością zawdzięcza Rudnicki temu, że jej nie pseudonimował.



Adolf Rudnicki

„Murów Jerycha” Brezy, opartych całkowicie na tej zasadzie. Rudnicki jednak z czasem odrzucił tę metodę, odejmując słowem swych bohaterów ów balast nieprawdopodobieństwa i przenosząc go na odpowiednio zarysowaną psychologicznie osobę narratora lub do komentatora autorskiego.

Nie wszystkie opowiadania Rudnickiego rozbudowane są jednakowo. Obok szkiców przypominających delikatne rysunki piórkami, jak „Kartka znaleziona pod murem straceń”, „Wielkanoc” lub „Piękna sztuka pisania” znajdujemy całości wykończone, imponujące celowością i zwartością swej konstrukcji, opowiadania tak nasycone treścią historyczną i psychologiczną, że doskonale wyobrażam sobie, iż niedługo autor musiałby napisać całą powieść, aby powiedzieć na kilkuset stronach to wszystko, co Rudnicki miesiąc bez uszczerbku na kilkudziesięciu.

Takim opowiadaniem syntetycznym jest np. „Wielki Stefan Konecki”, ukazujący na wspaniałym przykładzie i ujmujący właściwie w pełni istotę zagadnienia żydowskiego w Polsce, cały jego niezgłębiony tragizm, cały jego ludzki sens.

„Trzeba było swymi trudnymi, brudnymi, bolesnymi treściami rozsądzić ich usznięte ramy, krzyknąć o tym, co pana boli, wykrawać z siebie te od wieków niegasnące bóle, trzeba było odsunąć ich zasmalony gar bigosu i postawić przed nimi swój gorzki kielich. Skrzywiłoby się, ale w końcu sięgnęliby po niego. Trzeba było mówić o nas, o nas przede wszystkim, za każdym razem zadać sobie pytanie, czyje to są treści i czy posiada pan do nich prawo. O ich treściach pan i tak nie potrafił nic powiedzieć! Trzeba było bezlitosnym być wobec siebie, żyć za cenę mó-

z narodem, uwięzionym w murach ghetta, skończyło się klęską.

„Płacić koszty całej historii ludzkiej? Płacić w pierwszym rzędzie i nie przedstawiać płacić”? Ileż trzeba do tego siły i hartu! Jakżeż niesprawiedliwie inny był los „tamtych” wobec żydowskiego losu. „Z łomami w ręku stali pod domami, które do niedawna zamieszkiwali i rozbijali łód. Z braku szufli rękami zgarniali pecyny i układali je na skraj chodnika. Ponieważ nie z futer i wełny nie wolno im było mieć na sobie, nosili kupa łachów, byli jak jeden łach, byli samą brzydotą, ulica brzydła w miejscu gdzie staneli. Ponieważ wróg kochał schludność, uczynił ich najbrzydszymi. Poznaczeni opaskami, obwieszani blachami, mieli coś z zagnanych koni. Na krótko przed rozmową z Koneckim widziałem taką grupkę. Stali w pobliżu kościoła, z daleka dochodził śpiew chóralny, towarzyszący organom. Nabożeństwo wreszcie się skończyło. Wyświeżeni, pachnący, dalecy — jakby zza morza — wysypali się mężczyźni i kobiety — jakże inni! Dwa tysiące lat temu umarł Ktoś dla nich. I naprawdę patrząc na losy tak niepodobne, przez chwilę mogło się wydawać, że ciągle jeszcze umierał, aby ich chronić.” „Trzeba być obłąkanym, aby w dzisiejszych czasach wracać do wzmów (w. m. wyznaczenie moźszowe)”.

Można spodziewać się jak sądzę zarzutu, że opowiadania Rudnickiego dość jednostronnie zajmują się losem Żydów. Może się to komuś wydać pewnym zwężeniem tematyki. Czy jednak jest nim istotnie? Stoimy, zdaje się, wobec jednego z najbardziej osobistych zagadnień twórczości tego pisarza. I trzeba stwierdzić odrazu. Rudnicki pisze o sprawie żydowskiej dlatego, że jest dlań po prostu sprawą ludzką, a pisze o niej nie używając pseudonimów, gdyż w ten sposób najpełniej wypowiada całą ich ludzką prawdę. Los Żydów nawet w „Koneckim” występuje przede wszystkim jako zagadnienie człowieka, a nie tylko jako „zagadnienie żydowskie”, jako

Najpiękniejszym i może najpełniejszym z zawartych w „Szekspirze” opowiadań Rudnickiego jest „Ginący Daniel”. Ileż przenikliwej prawdy kryje w sobie tragiczny los owego człowieka, który wśród apokaliptycznej grozy powstania, bomb, walących się domów i ulic pokrytych przekopami, ugania się za fikcją ludzkiej sprawiedliwości, szuka świadków tego, że jest niewinny, że rzucone nań przez przypadkowo spotkanego człowieka oskarżenie jest niesłuszne! Tak bardzo zależy mu na przeprowadzeniu dowodu prawdy, że przez ustawiczne narażanie się sprowadza do minimum szanse swego ocalenia i w końcu wysiłki swe przyplaca życiem. W „Danielu” Rudnicki ukazał obraz skomplikowanych związków i przeciwnych losów powszechnych, nieubłaganych praw społecznego środowiska z losami jednostki w sposób tak artystycznie doskonały, że to jedno opowiadanie wystarczyłoby, aby mu zapewnić na zawsze miejsce w literaturze. Jeżeli znalazł się ktokolwiek, kto by powątpiewał w historyczną i społeczną żywotność elementu tradycji klasycznej w literaturze dzisiejszej, w sens formalno-estetycznej kategorii tragizmu, w zastosowaniu do twórczości aktualnej, wystarczy mu wskazać „Ginącego Daniela”, przykład tragicznego schematu greckiej tragedii w ramach współczesnych akcesoriów, jako dowód tej żywotności.

Niemniej piękne i wzruszające jest opowiadanie „Czysty nurt”. W niemożności powrotu do siebie dwójka kochających się ludzi po przeżyciu wielkiego, wojennego kataklizmu, kryje się również głębia prawdy (której zaprzeczyć nie sposób). O ile jednak w „Danielu” postępowanie bohatera, zaprzeczające nakazom zdrowego rozsądku, podyktowane przez pobudki w gruncie rzeczy irracjonalne, budzi dzięki swej motywacji psychologicznej nasze pełne zrozumienie, a nawet moralną aprobatę, o tyle tutaj skłonny byłbym rzecz odczuwać nieco inaczej. Według Rudnickiego bohaterka „Czystego nurtu” nie przestaje kochać swego męża po latach niezwyklej cierpienia czystym nurtem dawnej miłości, ale do niego nie wraca. Na przeszkodzie stoją sprawy realne — związane się w życiu z innym człowiekiem i psychiczne: bohaterka nie wraca ponieważ nie jest już ta „dawna”. Nie może nią być, przeżywszy martyrologię człowieka, który latami żył i myślał tylko o tym, jak uniknąć zagłady. Bohaterkę rozumiemy, ale nie budzi ona naszej pełnej sympatii, tak jak Daniel, albo Abel. Mimo wszystko, mimo jej słowa i argumenty, mimo autora, który stara się nas do jej racji przekonać — czujemy, że po prostu — przestała kochać. Czy takłe wygaśnięcie miłości po długoletniej rozłące zależne jest od ilości przeżytych cierpień? Czy od grywa tu jakąś rolę tragiczny los człowieka narażonego na śmierć, czy przeciwnie, te argumenty są w ustach Anreli typowymi argumentami zastępczymi — nie wiem, nie podejmuję się sądzić. Zawieszam świadomie nad sugestiami autora znak zapytania.

Jeszcze jedno opowiadanie z tych, które uważam za w założeniu „pełne” a nie tylko szkicowe — należało by omówić szerzej. Jest nim „Major Hubert” z armii Andersa”. Napisane „pełne w założeniu”, ponieważ w przeciwstawieniu do wszystkich innych — do „Wielkiego Stefana Koneckiego”, „Ginącego Daniela”, „Czystego nurtu”, „Szekspira” i „Konia” — nie uważam go za pełne w sensie pełnego wykonania w nim przez autora jego artystycznego zamiaru. Sądzę, że jest to jedyne opowiadanie Rudnickiego, w którym wielki zamysł artystyczny w całości spełniony nie został. Podobnie jak „Wielki Stefan Konecki” jest doskonałym i pełnym obrazem zagadnienia żydowskiego w Polsce, tak Hubert mógł stać się pełnym obrazem losu polskiego, pełną opowieścią o tragicznym, polskim losie czasu tej wojny. Konflikt dwu bohaterów, narratora i Huberta, zarysowany świetnie na początku opowiadania, ukazany na mistrzowsko podmyślowanym tle, doznaje tu jednak w pewnym zupełnie określonym miejscu — załamania. Rozmowa bohaterów przy końcu opowiadania jest fikcyjna, gazetowa, publicystyczna. Ani narrator nie mówi wszystkiego, ani Hubert. Autorowi jakgdyby zabrakło dystansu do zagadnienia niezwykle czulego, trudnego, drażliwego, które rozpoczęł kreślić z właściwą sobie niezwykłą wnikliwością. Nie powiedział bynajmniej wszyst-

*) Adolf Rudnicki „Szekspir” opowiadania Sp. Wyd. „Książka” W-wa 1948, str. 242

kiego, co mogłaby i musiała powiedzieć w danym wypadku każda z jego tak żywych i sugestywnie zarysowanych postaci.

Jest charakterystyczne, że akcja większości opowiadań Rudnickiego, toczących się w czasie wojny jest dość rozciągnięta w czasie. Korzeniami swymi sięga często jeszcze okresu przedwojennego, a epilog, w pięciu wypadkach na dziewięć ma już po wojnie. Fakt ten mówi wiele, zarówno o pisarskiej metodzie Rudnickiego, jak o postawie, jaką zajął tu pisarz wobec rzeczywistości. Rudnicki nie interesuje się bowiem faktami ze względu na sam ich przebieg. Rejestruje je wyłącznie po to, aby wyciągnąć z nich swoje wnioski, ukazuje je od strony konkretnego, przeżywanego przez człowieka, problematyzuje, szuka rozwiązań, psychologicznych, moralnych. Każde jego opowiadanie to odrębny problem ludzki przy kanwie wydarzeń, w której kawały powszechnej i wspólnie przez nas wszystkich przeżytej historii wynurzają się nagle jak skaliste rafy z oceanu losów indywidualnych, w których bieg autor nas wtajemnicza.

Lata wojny dały nam wielkie doświadczenia, ale ich sens w wielu wypadkach ujawnił się dla nas dopiero dziś. U Rudnickiego żadne z opowiadań nie jest napisane wyłącznie dla utrwalenia obrazu zjawisk, których plastyczny opis pozostawił nam także inni współcześni pisarze. Andrzejewski opisując zagładę ghetta („Wielki Tydzień”), czy Oświęcim („Apeł”), Borowski w swych dotychczasowych opowiadaniach, Zukrowski w „Z kraju milczenia” wykazali może nawet niekiedy wbrew swoim intencjom przede wszystkim pasję obrazowania rzeczywistości. Problem moralny, polityczny, psychologiczny w najlepszym razie sam się u nich z realizmu przedstawionych faktów wyłaniał, w najgorszym był dodatkowo wymyślony, aby opis faktów usprawiedliwił — byłaf do faktów, często z niezwykłą plastyką ukazanych, sztucznie, czasem nawet niezbyt szczęśliwie, docepiiony. U Rudnickiego nie ma nic sztucznego w powiązaniu opisu wydarzeń z wnioskami, jakie autor przy ich okazji, bądź bezpośrednio — od siebie, bądź ustami swych bohaterów wypowiada. Materia faktów służy wnioskowi, jest jedynie pretekstem dla nich. Choćby w istocie była najważniejsza dla ciekawego fabuły czytelnika, choćby była istotnym impulsem dla samego piszącego — ulega na ogół bezbiednie kształtującej je myśli dyskursywnej autora.

I tak np. tematem „Konia” jest nie tyle jego fabuła, ile problem typowych, nurtujących proletariatu żydowskiego w Polsce przed wojną przeobrażeń ideologicznych, ukazany w sposób prawdziwy psychologicznie i wzruszający. Tematem „Wielkiego Stefana Koneckiego” — również typowe i przejmujące oddane zagadnienie ideologiczne. „Kartka znaleziona pod murem straceń”, to garść uwag nie tylko pisarza, lecz także myśliciela o losie ludzki i o wartości ludzkiego wysiłku oraz przeobrażeniach jakie zaszły w człowieku w czasach pogardy. „Ginący Daniel” to też przede wszystkim problem, próba pokazania, jak wielką rolę odgrywa w świadomości jednostki sąd środowiska, jak bardzo los i zachowanie się jednostki jest od tego sądu zależne. W „Mojej czarnej brodzie” to samo zagadnienie, zagadnienie zależności naszego zachowania się od pewnych impulsów społecznych miesza się z innymi refleksjami natury ogólnej, społecznej, politycznej i psychologicznej „Major Hubert” — to historyczne uwarunkowanie losów i myśli szlachetnej jednostki artysty, w wielkim kataklizmie dziejowym „Czysty nurt” — problem niszczącego wpływu wielkich ciosów historii na uczucia dwojga kochających się ludzi. „Wielka noc” — pełna refleksji najtragiczniejsza kartka z dziejów „niepokonanego miasta”, intelektualny komentarz do dziejów zagłady. Wreszcie „Piękna sztuka pisania” i „Szekspir” stanowią jakgdyby dwa różne spojrzenia na zagadnienie pisarza i literatury.

Proza Rudnickiego to zawsze osobisty pamiętnik, niekiedy rozłożony na głosy między mniej lub więcej fikcyjne zdarzenia i fikcyjnych bohaterów. Fikcja jest tu jednak tylko po to, aby uplastyczyć sąd autora o świecie, pomóc mu wypowiedzieć jego „własną prawdę”. Jeśli temu nie służy, zdaje się być mu zupełnie niepotrzebna.

W obecnym układzie objętych książką opowiadań Rudnickiego widać stopniowe przechodzenie od zagadnień najbardziej ogólnych do spraw dla autora najbliższych, najintymniejszych: od problemów zasadniczych, fundamentalnych, stanowiących o bycie ludzkim — do skomplikowanych, psychologicznych zagadnień nadbudowy ideologicznej; od zagadnień politycznych — do problemów artysty; od „Konia” do „Szekspira”. Nie wydaje mi się to przypadkowe.

Ten układ zgodny z naszymi istotnymi wyobrażeniami o prawach rządzących rzeczywistością, ta konstrukcja prowadząca nas przez wszystkie szczeble wiedzy o człowieku, od spraw zewnętrznych, historycznych, które określają jego los w sposób najbardziej zasadniczy, do zagadnień, które decydują się dopiero w nim samym, nie jest chyba bez wpływu na fakt, że książka Rudnickiego wydaje się nam tak prawdziwa.

Pisałem wyżej, że już pierwsze opowiadanie tomu, „Konia” dzieli od przedwojennych książek Rudnickiego duży dystans. Zagadnieniu własnych przemian artystycznych daje Rudnicki dobitny wyraz, pisząc w „kartce znalezionej pod murem straceń”: „Czytam siebie pełen zdumienia. Czytam w złości i dezaprobacie. Czytam i nie poznaję. Szczegółowo dawniej rozredrgane, jak krople wody na naoliwionym torsie piywaka, zachowały coś co wzmacnia jedynie moją irytację. Od moich książek bije duszność papierów, porzucanych na strychach. Wojna już je spaliła, choć nie tknęła jeszcze ich materialnego kształtu”. Te słowa — to głos pisarza w latach ciemności.

My dzisiaj mamy o przedwojennej twórczości Rudnickiego sąd inny. Jeżeli jednak przyznajemy obecnie na nowo, moc wzruszenia kartom, które powstały przed czasem wielkich doświadczeń, to nowa książka Rudnickiego pozostanie mimo wszystko miarą wielkich przeobrażeń, jakie zaszły w autorze od owego czasu. Co rozstrzygało o tym, kim byliśmy, kim był człowiek, u autora „Lata”? Los, który wydawał się nie do zmiany. Tymczasem w „Szekspirze” o tym, jacy jesteśmy, rozstrzyga historia, którą tworzą ludzie. Tworzą i wygrywiają. Wygrywa ją, choć ginie — „Konia”. Wygrać ją nie jest łatwo. „Epoka pieców” jest epoką kłeski, ale nie kłeski wewnętrznej jak w czasach „Lata”, tylko kłeski historycznej. Kłeska „Daniela”, Abła z „Czystego nurtu”, „Majora Huberta” a „Szekspira” — to kłeski historyczne, historycznie umiejscowione, kłeski, które w innej epoce, niż „epoka pieców” przerodziłyby się może w zwycięstwa. W „epoce pieców” człowiek inaczej niż dotąd zaczął sądzić innego człowieka, „epoka pieców” na ludziach zaciążyła, przemieniła nie tylko ich sądy, ale także ich uczucia, ich wrażliwość artystyczną.

Odpadł majak obiektywizmu: „Uczestniczyłem w bitwach, widziałem, że to nie wszystko jedno, czy się jest bitym, czy się samemu bije, że to nie wszystko jedno, kto upiera” („Wielki Stefan Konecki”). Historyczny los zadecydował o losie człowieka, który pragnął za wszelką cenę odejść od swego narodu. Historia rozstrzygnęła o losie artysty-żołnierza zamykając mu drogę do kraju („Major Hubert”). Niszczące siły historii zmały czysty nurt miłości dwojga ludzi („Czysty nurt”), odebrały człowiekowi wiarę i zaufanie do innego człowieka („Ginący Daniel”), odebrały sens sztuce i literaturze z przed wojny („Piękna sztuka pisania”, „Szekspir”).

Ale w kłeskach tych człowiek nie zginął ze szczeniem. Tak jak u progu ciemnej epoki żył, walczył i umierał za ludzką sprawę szlachetną „Konia”, tak u jej krańca żyje, walczy i wierzy autor „Pięknej sztuki pisania”:

„Ludzie umierali w katowniach, konali w tysiączny sposób. Ich niemy testamentem, ich ostatnią nadzieją była ta, że słowo będzie im poświęcone. Skatowani wiezień, którzy umierali nie wydawszy towarzyszy, wierzyli, iż żyje serce w narodzie, że są oczy w narodzie, które go widzą”.

Tym sprawom, sprawom najczulszym poświęca Rudnicki ostatnie stronicę swojej

O chorobie „dziecięcia pieniądza”

(dokończenie ze str. 10)

Skoro jednak radykalne zmiany w strukturze przemysłu książkowego bez zmian ekonomiczno-społecznych podstaw cywilizacji amerykańskiej nie wydają się możliwe, pozostaje zwrócenie uwagi na ostatnią możliwą instancję — publiczność amerykańską. Conrad Aiken wyraził w dyskusji „Saturday Revue of Literature” opinie, że reszta potencjalnych konsumentów czeka na wielką literaturę. Nie wydaje się, aby tak już było obecnie, ale są znaki na niebie, czyniące perspektywy życia literackiego w USA wesołszymi.

Tak więc na listach bestsellerów amerykańskich roku 1947, wśród kupy bezwartościowego śmiecia znalazły się dwie pozycje godne zwrócenia uwagi: powieść Sinclaira Lewisa „Kingsblood Royal” i powieść Laury Hobson „Gentleman's Agreement”. Żadna z nich nie należy do literatury konformistycznej i nakład obu wyniósł łącznie ponad półtora miliona egzemplarzy. Książka Sinclaira Lewisa atakowała zbrodniczy bezsens zasady supremacji białej rasy nad kolorowymi; powieść Hobson — antysemityzm w USA. Obie rozprawiły się z wstydliwymi stronami cywilizacji amerykańskiej w sposób nieubłagany i szkoda jedynie, że ich wartość artystyczna nie szła w parze z wartością społeczną.

Gdy wspomni się rolę radykalnej czy reformatorskiej literatury w USA w okresie wielkiej depresji, trudno obie wymienione pozycje lekceważyć. Zwłaszcza, że są one tylko ułamkiem produkcji naukowej, publicystycznej i literackiej, atakującej cienie, zaufki i podgnięte fundamenty „najdoskonalszej demokracji świata”. Ze produkcja ta jest sabbotowana przez przemysł wydawniczy i prasowy, dziwić się niesposób. Ale znajduje ona żywy oddźwięk wśród publiczności oraz poparcie conajmniej części krytyków. Czyż nie

książki; uroczy szkie „Piękna sztuka pisania”; „Toczą się spory na temat, jaka powinna być literatura, pomiędzy dwoma obozami, z których jeden nazywamy tradycyjnym a drugi rewolucyjnym. Po tradycyjnych nie spodziewamy się sztuki takiej, jaka powinna właściwie płynąć z należycie pojętej tradycji, bowiem należycie pojęta tradycja nie może nie rewolucyjna”. „Nigdy więcej samego tylko piękna bez prawdy! Nie masz prawa do piękna jak długo istnieje jedna choćby szansa powtórzenia się tego co było”.

To społeczne i artystyczne credo Rudnickiego relatywizuje ironiczną pointą ostatnie opowiadanie tomu — „Szekspir”, od którego cała książka bierze tytuł. Jest to historia stosunku dwóch pisarzy, z ich przedwojennego opartego o grę ambicji antagonizmu i powojennej, pełnej gorczy dojrzałości i — rezygnacji. „Byliśmy głęboko przekonani, wierzyliśmy święcie, że literatura zacznie się od nas, że nie zostawimy po sobie próżni, w którą sami wpadliśmy. O, mieliśmy tyle taktu, aby tego nie wypowiedzieć głośno, ale nawet najmniej domyślni mogli odczytać z naszych min, z naszych wydechnych warg, z naszych pleców, ze sposobu chodzenia, ze sposobu patrzenia na ludzi, ze sposobu mówienia o wszystkim. O, mieliśmy ton! Sam Szekspir nie mógłby mieć lepszego tonu. Lepszego fasonu nie mógłby mieć sam Szekspir, o którym mówiło się, że jest o w s z e m d o b r y, „Szekspir” — to jeszcze jedna poniesiona kłeska, kłeska najnieuchwytniejsza, kłeska ambicji i młodości, która przeminęła. Ze wszystkich kłesk ta wydaje się najluźniej związana z epoką zagłady. Jest tragedią trudu i walki toczoną przez każde pokolenie, walki, w której każdy człowiek — artysta jest tylko „kategoria historyczna”. Jest przytym znamienne, że Rudnicki tę właśnie niezwykłą metaforę w nagłówku ostatniego z opowiadań, uczynił tytułem całej książki. W ten sposób nuta delikatnej autoironii i bolesna gorzyc doświadczenia wieku dojrzałego, „wieku kłeski”, — stały się w książce o epoce zagłady nutą dominującą.

Bo Rudnicki, który w „Koniu” i „Pięknej sztuce pisania” umiał w pełni dojrzeć i głosić sens życia, wysiłku i walki o lepszy świat rzeczywisty, jest jednocześnie pisarzem o skomplikowanym, wielowarstwowym widzeniu świata. Dopiero ta komplikacja czyni go naprawdę ludzkim, wypełnia ramy prawdziwo przedstawionych przezeń zależności historycznych żywą, indywidualną treścią.

Choćby bowiem rzeczywistość społeczna rozstrzyga — co zostało uwidocznione w utworach Rudnickiego — w sposób zasadniczy o ludzkich losach, nonsensem byłoby sprowadzanie jej działania do uproszczonych schematów. Nie spotykamy ich u Rudnickiego nigdzie. W „Wielkim Stefanie Koneckim” problem ucieczki bohatera od własnego losu, choć uwarunkowany historycznie, jest zarazem pełen ujawnionej w całej rozciągłości treści psychologicznej. W „Ginącym Danielu” los bohatera zależy nie tylko od wyroku dziejów, ale także od wielu momentów indywidualnych. W „Mojej czarnej brodzie” skomplikowane impulsy psychologiczne wiodą narratora do decyzji, która przypadkowo ratuje

mu życie. W „Czystym nurcie” indywidualne cechy ludzkie nie pozwalają bohaterom do siebie powrócić po latach rozłąki, a „Majorowi Hubertowi” nie sama tylko kłeska jego koncepcji politycznej zamyka drogę do kraju.

Rudnicki jest pisarzem, któremu umieszczenie ludzkich losów jego bohaterów w ramach rzeczywistego tła historii nie przeszkadza zupełnie w odmalowaniu ich indywidualnego losu. Twórczość jego jest przykładem tego, że można nie zatracić obrazu rzeczywistości społecznej, nie rezygnując z komplikacji psychologicznej.

Godzenie tych spraw, gatunkowo różnych — niezwykle trudne — nigdzie prawie u Rudnickiego nie pozostawia widocznych śladów w miejscach spójnienia. Rzeczywistość społeczna i problemy psychologiczne przenikają się nawzajem w najszerzej rozbudowanych opowiadaniach jak „Wielki Stefan Konecki” czy „Ginący Daniel”. Głęboka wewnętrzna prawda bije z każdej przedstawionej przez autora postaci, z każdego wypowiedzianego przez nią zdania.

Tu nasuwa się sprawa niezwykle istotna, sprawa stylu. Styl Rudnickiego zasługuje bezwzględnie na odrębne studium. Jest stylem niezwykłym, w którym niejedno zdanie razi nawet niekiedy ucho odbiorcy, ceniącego spokój prozy klasycznej. I nie chodzi tu bynajmniej wyłącznie o to, że autor dla charakterystyzowania środowiska, które maluje, nie boi się używać w swojej prozie porównań i metafor przesadnych, niezgodnych z tzw. dobrym smakiem, niekiedy trywialnych, czasem postępujących się celowo zepsutym językiem tych warstw, które reprezentują jego bohaterowie. Gdyby język ten był przez Rudnickiego stosowany zgodnie z tradycją literatury realistycznej, jako stała cecha pewnych, występujących w jego opowiadaniach postaci, które można by nazwać „charakterystycznymi” — nie zwróciłoby to niczyjej uwagi, godziłoby się z dawno przyjętą konwencją, ale u Rudnickiego jak wyżej wykazaliśmy nie zawsze jest wyraźna granica pomiędzy fikcją, a niefikcją, między słowami bohatera i autora, a postać mówiąca chwila językiem trywialnym lub śmieszonym jest zarazem tragiczna i wzniosła. Bohater, który przypomina Priam w swej boleści nad zwiokami syna, stary Jakub Kagan, ojciec „Konia” mówi, że są w Warszawie ulice jak tyłek — „tyłek miasta”. Narrator z „Majora Huberta” — pisarz męczący się nad stylem swych utworów mówi o gospodarzu, u którego mieszka żargonem kupców z dzielnicy północnej, że „siedział i kochał siedzieć przy swojej starszej pani”. A przecież ten zdolny do przesady w języku neurastenik będzie umiał później z subtelną tkliwością mówić o tragedii człowieka wielkiej kultury, patrioty i artysty Huberta. Ten sam narrator mówi o Polsce „gdzie wszystko jest Tadek i Wladek”, o Paryżu, który „był źle z żywnością”. Gdzie indziej szosa jest gładka nie „jak stół” — tak powiedziałaby dziewięćdziesiąt procent tych, co uciekliby się w tym wypadku do porównania, — ale „jak kisiel, jak obraz świata w umyśle głupca, jak rzeka na obrazie dziecka”. Ulica „w ostatnim, nieruchomym ciepłym” drzemie „jak złoty, napuczony kot”. Żydowski starcy, wiezieni na śmierć wyglądają „z sinymi, chudymi grdykami jak oskubane koguty, strasznie spokojni”. Przekupiec z małego miasteczka z nowelki „Szekspir” mówi do narratora: „Jakubku masz dupkę jak świeżo upalona kawka, a moja żona jak stara rzodkiew”.

Rudnicki pełen niekiedy językowej finezji, gdzie indziej wyraża prowokacyjnie swą całkowitą pogardę dla stylu gładkiego i banalnego, tryska dowcipem i zdaje się gardzić upowszechnionymi normami estetyki. „Być dobrze z tradycją... to — zachować poczucie granicy, lecz mieć zarazem odwagę łamania jej”. Nie każda inwencja językowa Rudnickiego trafi zawsze wszystkim do przekonania, każda jednak przekreśla szablony, nadaje jego indywidualności pisarskiej kontur wyrazisty i niepowtarzalny. Szekspir też nie pisał gładko i nie bał się trywialności.

Maria Dąbrowska w esyju pt. „Miasto i pismo” (Nr 1 „Nowin Literackich”) podkreśla słusznie, iż podziwiała „niepoprawność” wielkich twórców. Pozwólmy sobie w zakończeniu zacytować za nią opinię o poprawności utworów literackich, zamieszczoną we wstępie H. Cearda do tomu listów Jules de Goncourta: „Czyż... Honoré de Balzac, czy Chateaubriand, czy nawet Gustaw Flaubert (ten maniak poprawności — przyp. M. Dąbrowskiej) pisali poprawnie w gramatycznym i ściśle szkolarskim znaczeniu tego słowa? Zaiste — nie! Jeśli są wielcy, to dlatego, że mówili swoim językiem z swoistym akcentem, ze swobodą tak mądrą i tak wysokiego rodzaju, że żadne na świecie prawidła składni nie naruszały ich triumfującej niepoprawności”.

Pierwsza powojenna książka Rudnickiego jest w naszym życiu literackim wydarzeniem dużej miary. Jest dziełem wielkiej dojrzałości artystycznej i moralnej. Zaden chyba dotąd prozaik w Polsce o czasach, które przesyliśmy, nie powiedział tylu rzeczy istotnych. Zaden nie ukazał w takim stopniu przebiegu zmian, jakie zachodziły w świecie i w ludziach, zaden nie ustalił równie poprawnie ich wzajemnych związków.

Mieczysław Wionczek

Ryszard Matuszewski.

EWA KORZENIEWSKA

„Noce i Dnie“ Dąbrowskiej w perspektywie czasu^{*)}

PIERWSZE wydanie „Nocy i Dni“ wzbudziło wielki entuzjazm. Twierdzono, że powieść ta rozpoczyna w ówczesnym powieściopisarstwie nową epokę realizmu, zestawiano ją z rozpowszechnionymi w owym czasie powieściami cyklicznymi i porównywano z „Wojną i Pokojem“ Tolstoja. Najwięcej uznania i rzetelnych pochwał zyskała za swój epicki obiektywizm, gdyż traktowano ją w „wymiarach“ „Pana Tadeusza“ niemal jako epopeję narodową.

W tych wszystkich opiniach napewno słuszną było uznanie dla niepowzdużnego talentu autorki, która dzięki tej powieści stawata się jednym z największych powieściopisarzy okresu międzywojennego.

Warto się jednak poważnie zastanowić, czy z równą słusnością można by zaliczyć „Noce i Dnie“ do epopei i czy rodowodu ich należy szukać u wielkich obcych powieściopisarzy (Tolstoj, Galsworthy, Undset), czy też wprost w polskim pozytywizmie. Nazwanie dzieła epopeją jest w gruncie rzeczy bardzo niebezpieczne, wywołuje bowiem konieczność zestawienia z utworem o wyraźnie określonym kształcie artystycznym i jak w wypadku powieści Dąbrowskiej musi przywieść do wniosku, że powieść ta jest czymś gorszym niż właściwa epopeja. Operuje przecież inną techniką pisarską, dba mniej o plastykę kształtu niż o pogłębienie psychologiczne, indywidualizuje, zamiast typizować. W swej prawdziwej formie jest daleka od takich „chwytów“ właściwych epopei jak momenty retardacji, wprowadzenie narratora, nawiązywanie bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem i t. p.

Wartość porównania polega przede wszystkim na wydobyciu jakichś cech istotnych, a nie na obniżaniu poziomu utworu przez klasyfikowanie, które właśnie wykazuje w czym dzieło „nie dociąga“ do właściwie dobranego wzoru.

Podobne zastrzeżenia budzi i druga próba określenia charakteru „Nocy i Dni“ przez zestawienie z „Wojną i Pokojem“ Tolstoja. Niewątpliwą rolę odegrała w obu tych porównaniach sugestia tytułu utworu Dąbrowskiej, narzucając skojarzenie z epopeją i z dziełem pisarza rosyjskiego. Wielka polityczno - społeczna powieść Tolstoja, przedstawiająca losy narodów i gigantyczne zmagania dwóch potęg politycznych, powieść, która w plastyce opisu mało ma sobie równych w literaturze europejskiej — też wydaje się miarą, która może tylko skrzywdzić autorkę „Nocy i Dni“, gdyż nie określa właściwie charakteru rodzajowego jej powieści.

Można by sądzić, że najwięcej cech istotnych udało by się znaleźć wówczas, gdyby określić „Noce i Dnie“ jako powieść psychologiczną - obyczajową i gdyby szukać pokrewieństw w twórczości Prusa, a zwłaszcza w jego „Emancypantkach“. Analogie tutaj występują bardzo wyraźnie i będą zmierzać w kilku kierunkach — od postawy obojga pisarzy wobec życia, poprzez typ problematyki aż do szczegółowych form technicznych i kompozycyjnych.

W drugiej części „Wiatru w oczy“ Agnieszka w ten sposób rozmyśla nad swą działalnością publicystyczną — „Słowo nie wolno być większym niż jego treść pojęciowa, czy emocjonalna — wolno mu być mniejszym. Ale choćby najmniejszym było i najskromniejszą wyrażało treść, ma sięgać niepostrzeżenie ostatecznych zagadnień życia na ziemi“. Taka postawa pisarska, dla której każda rzecz i każda sprawa ma dalekie metafizyczne perspektywy jest wspólną właściwością Prusa i Dąbrowskiej. Autorzy nie poprzestają wbrew pozytywizmowi lub realizmowi na świecie zjawisk społecznych i politycznych, lecz próbują szukać przyczyn wszystkiego, pragną rozstrzygnąć tajemnice bytu, i zapoimocą „rozum“ lub „serca“ dochodzić prawd ostatecznych. Jednakowoż też realizują swe zamierzenia, wprowadzając bardzo długie dyskusje filozoficzne, które ciekawe jako rozprawki osłabiają jednak bieg akcji i przesłaniają charakter. Dlatego zwłaszcza u Dąbrowskiej problematyka filozoficzna i społeczna jest często tylko pewną „nadbudówką“, nie organizując materiału powieściowego i raczej osłabia niż wzmacnia dynamikę konfliktów.

W powieści społecznej problematyka musi nabierać ciała i krwi, powinna wstawać w postaci, stanowić źródło i bodziec akcji, wyrażać się w czynach i wybuchać w dramatycznych konfliktach. W „Emancypantkach“ i w „Nocach i Dniach“ zagadnienia filozoficzne, społeczne i polityczne stanowią ciekawe wzbogacenie i pogłębienie powieści, są jednak tylko snopem promieni oświecających i wyjaśniających życie. Dlatego żaden z tych utworów nie jest powieścią społeczną. Oba natomiast są wielkimi sukcesami w dziedzinie powieści psychologicznej i posługują się podobną metodą przeniesienia zdobytych psychologii naukowej w dziedzinę techniki powieściowej. Prus, zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy opierał budowę swych postaci na jednej z władz psychologicznych (rozum, uczucie, wola), Dąbrowska dla najciekawszej swej postaci wykorzystwała zdobyte freudyzm. Wykorzystała je w sposób nie tylko prawdziwie artystyczny, ale i przerastający o głowę wszelkie ówczesne modne, a wulgarnie zastosowania wyparć siliu, kompleksów Edypa itp. Cała postać Barbary, jakże

plastyczna i bogata, jest zbudowana na kompleksie stłumienia i częściowego „wyparcia“ w głąb podświadomości silnego uczucia. Zgodnie z nauką Freuda, takie przeżycia wiódą do hysterii. Wszelkie reakcje Barbary w pożyciu miłosnym, jej chorobliwy lęk przed życiem, jej wieczny niedosyt i niemożność „pełnego przeżywania“ mają swe źródło w tamtym dawnym „urazie“. Dąbrowska rysuje postać Barbary z sugestywną wyrazistością, żaden z uczynków ni słów postaci nie wylamuje się z ogólnej koncepcji. Cały rozwój życia psychicznego, podległy żelaznej konsekwencji prawa psychologicznego jest równie logiczny, jak prawdziwy i prawdopodobny. Barbara jest może jedyną, lub jedną z bardzo nielicznych postaci w literaturze polskiej, której freudyzm nie tylko nie przyniósł uszczerbku lecz przeciwnie zapewnił „długotrwałe i pełne życie“. Dąbrowska w pewnej mierze i w pewnych szczegółach nawet uzupełnia schematyczne twierdzenia

Najciekawsze postacie „Nocy i Dni“ dzielą się na dwie grupy — tych, którzy aprobują życie i którzy jak Bogumił „czynił wrażenie człowieka zdolnego żyć w jakichkolwiek warunkach, dzięki umiejętności nie przystosowywania się, ale jakby zespalańia z każdą byle nie znikczemną rzeczywistością“ — i tych, którzy tego daru nie posiadają, i buntują się zawsze przeciw życiu i jego sprawom. Do pierwszej grupy należą postaci wyraźnie sympatyczne dla autorki: Bogumił, Agnieszka, Teresa, Tytus, Niechcic, „Do drugiej — Barbara, p. Katelbina, Janusz Ostrzeński itd. Mimo całego obiektywizmu autorki, jej solidarność z postaciami ufajacymi życiu, występuje bardzo wyraźnie. Przejawia się w czestym, a może nawet zbyt czestym podkreślaniu tej właściwości psychicznej. Niemal przy każdym pojawieniu się Agnieszki, autorka opisuje jej zgodność z danym układem warunków, jej troskę, aby każdy konflikt ominął lub przezwyciężyć tak, by można było aprobować

jej ciągle prowadzić zawile dyskusje filozoficzne i polityczne, aby konfrontować poglądy. Podobnie jak tragiczne załamanie Madzi jest wyrazem pesymizmu autora — tak samo sukcesy Agnisi na każdym terenie nawet w życiu miłosnym są świadectwem światopoglądu Dąbrowskiej.

Analogia staje się jeszcze wyraźniejsza, gdy dostrzegamy, że zarówno partie „Emancypantek“ jak i „Nocy i Dni“ są najmniej artystycznie ciekawe tam, gdzie wydarzenia koncentrują się wokół postaci dziewcząt. Partie te łatwo popadają w dłużyzny i tracą napięcie dramatyczne właściwe innym częściom utworów, z tego powodu i „Emancypantki“ i „Noce i Dnie“ są mało spoiście pod względem kompozycyjnym. Wspaniała pierwsza część powieści Prusa, związana z osobą i dramatycznymi dziejami pani Latter goruże nad całym utworem. Podobnie dwa pierwsze tomy Dąbrowskiej „Bogumił i Barbara“ i „Wieczne zmartwienie“ zarówno kompozycyjnie jak pod względem siły i dynamiki wewnętrznej stanowią najpiękniejszą część powieści. Powieść bowiem żyje wtedy, kiedy postaci żyją w sposób pełny i prawdziwy, kiedy problem staje się konfliktem dramatycznym. Ten wielki dla pisarza sukces osiągnęła Dąbrowska w dwóch pierwszych tomach powieści.

W całości utworu pisarskie zamiary autorki zmierzają w dwóch kierunkach — jaknajbardziej prawdziwego odtworzenia społecznych i politycznych warunków ówczesnej egzystencji warstwy szlacheckiej. Pogodzenie tych dwóch celów jest niezwykle trudne i właściwie uniemożliwia stworzenie powieści o typie społecznym, która wymaga typizacji postaci i żąda od bohaterów, aby reprezentowali pewne określone ideologie czy przekonania. Indywidualizacja natomiast zmierza zawsze w kierunku pogłębienia psychologicznych i zarysowania konfliktów jednostkowych. W tym połączeniu problematyka społeczna musi zejść do roli tła — nawet w wypadku takiego bogactwa szczegółów i nasycenia kolorytem epoki, jakie istnieją w powieści Dąbrowskiej. Z tego też względu ideologie społeczne występujące w „Nocach i Dniach“ nie stają się motorami akcji powieściowej i nie nabierają siły konfliktów dramatycznych. Pozostają niezwykle plastycznym malowidłem rodzajowym, są statycznym obrazem epoki jej schyłkowej, szlacheckiej kultury i obyczajowości. Są wreszcie pięknym realistycznym i plastycznym tłem dla ciekawych przeżyć jednostek i dla filozoficznej interpretacji ich losów. Nasuwa się tu zastrzeżenie, że nie można traktować tła w powieści jako akcesorium, które mogło by istnieć lub nie istnieć. W „Nocach i Dniach“ odgrywa ono niezwykle ważną rolę i jest wielkim osiągnięciem Dąbrowskiej jako myśliciela i jako artysty. Autorka, jedna z nielicznych w polskiej tradycji literackiej dostrzegła wyraźny związek między warunkami społeczno - politycznymi a typem kultury i typem życia. Przedstawiając ówczesną szlachtę poddaje analizie niemal wszystkie odmiany egzystencji tych „wysadzonych z siódła“. Pokazuje szlachtę jeszcze trwającą na swych uszczuplonych mocno majątkach i szlachtę, która z tych czy innych przyczyn pozbawiona swego dziedzictwa bądź to przechodzi w inteligencję miejską, bądź obejmując dzierżawy, kontynuując najwłaściwszy dla siebie sposób życia i zarobkowania. Te sposoby egzystencji wyznaczają zakres zainteresowań ludzi, i formy reakcji społecznych, a zrzadka i uczuciowych. Ponieważ jednak autorka przedstawia tylko i jedynie warstwę szlachecką w zupełnej właściwie izolacji od innych warstw, wszelkie konflikty mają charakter bądź to dyskusji przy kieliszku, bądź nieporozumień uczuciowych. Podobnie wyglądają i konflikty polityczne, które nie przeszkadzają nikomu w niczym. Czasem są dialogami urozmaicającymi pożyte miłosne Agnieszki i Marcina i kończą się tym czulszym uściskiem zespalańcym młode małżeństwo, kiedy indziej przybierają formę nawiązanych dyskusji ludzi, których stosunek etyczny do tych spraw nie podlega żadnym zastrzeżeniom, ale zato inteligencja pozostawia wiele do życzenia. I tu znowu widać jak celowo problemy polityczne są wyzyskane jako element indywidualizacji charakterów. Ukazują określony światopogląd postaci lub ich beznadziejną ignorancję, ale rola tej problematyki ogranicza się na tym, nie staje się ona bowiem elementem konfliktów dramatycznych. Może zresztą właśnie takie traktowanie spraw społecznych i politycznych zapewnia „Nocom i Dniem“ ich spokojny obiektywizm i piękne realistyczne bogactwo szczegółów. Przy większym nasileniu dramatycznym, przy zogniskowaniu tych zagadnień wokół jakiejś akcji napewno wielką część z nich musiałaby odpaść. W tej formie jaką przedstawia powieść bogactwo poruszonych zagadnień i tak zwanych realiów jest wprost nieprzebrane. Autorka przedstawia życie szlachty w miasteczku i życie jej na wsi, pokazuje młodych przemysłowców pochodzenia szlacheckiego, wiele stron poświęca życiu młodzieży w uczelniach i w krajowych i zagranicznych środowiskach młodzieżowych. Prócz tego zarysowuje różne rodzaje postaw wobec życia i wprowadza problematykę filozoficzną i etyczną.

Ta bujność talentu Dąbrowskiej tłumaczy wszelkie szczerze słowa uznania krytyki przedwojennej — a rzetelny realizm pisarski w przedstawianiu spraw życia czyni ją istotnie prekursorką okresu nowego realizmu w powieści polskiej.

Ewa Korzeniewska



Maria Dąbrowska

Freuda, potwierdzając tym przekonanie, że pisarz często lepiej i pełniej poznaje psychikę ludzką niż psycholog. I to ją zbliża do Prusa, który wiedział o człowieku więcej niż mogła mu powiedzieć psychologia. Wspaniała postać pani Latter, znacznie bogatsza od Madzi jest prekursorska zwłaszcza w analizie pewnych stanów podświadomości. Jej zawikłane przeżycia splatają namiętność z ambicją, jej miłość macierzyńska instynktowna i ślepa, jej sny, które odsłaniają nurt podświadomości — to są wszystko w dziedzinie nauk psychologicznych zdobyte o wiele późniejsze. Dąbrowska podobnie jak Prus w „Emancypantkach“, zresztą z równym powodzeniem zastosuje, jako jedną z metod charakterystyki i jeden z elementów akcji — sny. Mają one podobny charakter, gdyż wyrażają i stany uczuciowe i również są jakimś przewidywaniami, czy przeczućmi niewiadomej a groźnej przyszłości. Wywołują atmosferę zaniepokojenia przed ciemnym losem, odsłaniają jakieś perspektywy tajemniczych sił, drzemających w człowieku.

Podobieństwa nie ograniczają się do tego. Zarówno bowiem Prus jak Dąbrowska stosują po dwie metody budowania charakterów. Postacie pierwszoplanowe pokazują od zewnątrz i „od wewnątrz“, postaci drugoplanowe charakteryzują tylko przez ich słowa i postęпки. Wreszcie postacie, które mają reprezentować środowisko są podobnie schematyzowane. U Prusa było to niewątpliwie maniera, z której „wyrastał“ („Pałac i Rudera“ — Mieszkańcy Iksinowa), u Dąbrowskiej wygląda to na świadome zastosowanie techniki schematyzującej, która ma podkreślić i uwytklić pewne potrzebne cechy. Krukowski, rejentowa. Cynadrowski z „Emancypantek“ są bliscy karykatury. — P. Michalina, wuj Daniel, rejentowa Holszańska są śmiesznymi w swych drobnomieszkańskich aspiracjach i uczuciach ludźmi. Realizm i obiektywizm Dąbrowskiej w opisach mieszkańców Kalńca utrzymuje pisarkę na samej granicy prawdy i satyry. Społeczne tendencje Prusa doprowadzają go do satyry i grotesku. Te same żywe reakcje Prusa na bieg życia społecznego zdecydowały o przedstawieniu zagadnienia emancypacji w kilku odmiennych typach kobiet, z których każda walcząca o samodzielność czyni to w inny sposób. U Dąbrowskiej ta sama technika kształtowania kilku postaci reprezentujących pewien problem wynika z zagadnienia stosunku człowieka do życia.

życie. Uzasadnienia Bogumiła i Agnisi są wprawdzie w związku z rozwojem akcji coraz głębsze, nie unikają trudności i uczciwie mierzą się z nimi, ale czasem zwieszczą po dyskusjach polityczno - społecznych ofiarą gotowości Agnieszki do podjęcia życia w każdych warunkach ma posmak omijania istotnych problemów społecznych i politycznych.

Ta podstawa podziału postaci według ich stosunku do życia, przejawia się w całej twórczości Prusa. Ludzie kierujący się uczuciem (Madzia, Anielka) są przeciwstawiani postaciom kierowanym przez rozum lub wolę. Prus tylko czysto ze względu na swój pesymizm, czy też pewien typ świadomości społecznej kazał tym ludziom kończyć tragicznie, bo był przekonany, że warunki stworzone bądź przez los, bądź przez ustrój nie pozwolą im żyć i działać. Dąbrowska pokazuje ich raczej jako zwycięzów życia, którzy wbrew losowi i ustrojowi mają rację, bo kochają życie, ufają mu i są najbardziej pozytywne. W tym sensie — mogłoby się zdawać — Dąbrowska głębiej tkwi w pozytywizmie niż Prus, który, może po prostu dlatego, że był i romantyk, widział jeśli nie tragizm ustroju — to choćby tragiczną ironię losu.

Ludzie Dąbrowskiej zapewne zwyciężają i dlatego, że mierzą swoje życie kryteriami pozaspółcznymi, i że ich zwycięstwo jest zwycięstwem wewnętrznej wartości, która może mieć, a może i nie mieć aprobaty społecznej. Dlatego udaje im się do końca iść raz obraną drogą. „Ludzie ducha — mówi Agnieszka — muszą tkwić w życiu po uszy, całym sobą, a być niezależni od życia... Muszą wszystko przecierpieć i przecześć... czynnie przecześć... — Ludzie ducha? zdziwił się pytająco Orłowicz — któż to jest? po czym ich poznał? Kto to jest — Agnieszka zawahała się nieco — Każdy — podjęła niebawem — dla kogo imponderabilia... żywotne duchowe imponderabilia, nie wyrozumowane abstrakcje są ważniejsze niż materialna rzeczywistość. I którzy sankcję moralną uczynków przenoszą we wnętrze człowieka“.

Agnieszka Dąbrowskiej podobnie jak Madzia Prusa są postaciami wyidealizowanymi i wydają się realizować jakiś typ życia najbliższy autorom. Prus ustawicznie podkreśla dobroć i bezbronnosć Madzi, jej udział sercem w każdym cierpieniu i każdej krzywdzie — Dąbrowska buduje postać Agnieszki też z paru cech charakterystycznych i każe

*) Maria Dąbrowska „Noce i Dnie“. Tom I, „Bogumił i Barbara“, Tom II, „Wieczne zmartwienie“ wyd. V 1947, Tom III cz. I, i cz. II „Młodość“ wyd. V 1948. Spółdz. Wyd. „Czytelnik“.

RYSUNKI SATYRYCZNE

Mieczysława Piotrowskiego



Sarire — Proszę o oddzielny stół. Jestem pustelnikiem



Pracownia pisarza realisty — w wyobrażeniu niektórych krytyków



W oczach Żółków: dwa przeciwne kierunki literackie w Polsce



Żółkiewski — Czy może mi pan rozmielić sto złotych, bo nie mam na bramę do piekła, a umówiłem się tam z Voltaiem



O PRAWACH GOŚCINNOŚCI

Warszawa gościła w swych murach (jeśli można tak powiedzieć) Juliana Bendę. Cieszy nas bardzo ta wizyta, i to z wielu względów. Przede wszystkim dlatego, że zawsze miło nam witać w Polsce znakomitego pisarza francuskiego. Następnie, dlatego, że wielki pogromca bergsonizmu, zapalony i zapalczawy rzecznik humanistycznego racjonalizmu, Benda był przez całe swe długie życie i pozostaje po dziś dzień intelektualnym szermierzem demokracji, głosięciem sprawiedliwości społecznej. Wreszcie, dlatego, że umysł wolny, duch niezależny, nie związany z żadnym obozem politycznym, chadzający własnymi drogami, przekorny nie dla przekory samej, lecz przez dbałość o uprawnienia myśli krytycznej i uczciwej, Benda swą wizytą w Polsce, swobodą z jaką wypowiadał się publicznie, obalał mit o „żelaznej kurtynie“.

Benda wygłosił w Warszawie trzy prelekcje, których nie dane mi było słyszeć. Czytałem za to sprawozdanie z tych prelekcji w niedzielnym numerze „Robotnika“ oraz parę wypowiedzi francuskiego gościa, rozrzuconych po dziennikach stołecznych. Otóż stwierdzam, że autor „Zdrady klerków“ pozostaje wierny samemu sobie, i sądzę, że niczego innego nikt się po nim nie spodziewał. Wierny samemu sobie — to znaczy, że dzisiaj, jak i trzydzieści lat temu, trwa w postawie idealisty i metafizyka; że jest ciągle zapatrzony w niedosiężne wyżyny „walorów wiecznych“: prawdy absolutnej, nieodmiennej form piękna, sprawiedliwości abstrakcyjnej, wiecznotrwałych norm moralnych; że gardzi tym klerkiem — intelektualistą, uczonym, pisarzem, — co z wyżyn tych schodzi na „agorę“, (którą Żółkiewski wślada za Świętym Augustynem nazywa rynkiem); że odżegnywa się od wszelkiej myśli stosowanej, od ideologii użytkowej, od świeckiej praktyki politycznej i codzienności spraw społecznych; że w ustawicznym dążeniu ku ponadczasowemu regionom „czystej logiki idea“ lekceważy nasz czas i jego tragiczną przyziemną problematykę. Nie tyle zresztą odczyty i deklaracje warszawskie, co ostatnia jego książka „Cwiczenia pochowanego żywcem“ pozwala stwierdzić, jak dalece Benda pozostaje „klerkiem, który nie żarzął“.

Ta postawa jest, mówiąc z francuska, „warta tyle co jest warta“. Powtarzam: nikt, a już najmniej, prawdopodobnie, czynnik, które go do Polski zaprosiły, nie spodziewał się zobaczyć i usłyszeć innego Bendy. Co mnie jednak dziwi, to fakt, że żaden publicysta warszawski, nie mówiąc już o sprawozdawcy „Robotnika“, nie usiłował skomentować odczytów Bendy, nie spróbował na użytek polskich czytelników i słuchaczy, ukazać go w właściwym świetle, ustawić go na właściwym miejscu w zakresie filozofii kultury. A przecież można było, nie naruszając, przeciwnie, przestrzegając praw gościnności, stoczyć z Bendą przyjacielską dyskusję na jego własnym terenie, terenie czystych idei. Można mu było powiedzieć, że odnosimy się z nieufnością do wszelkich postulatów metafizycznych, które uważamy za broń klas upadających; że nie wierzymy w prawdę absolutną, jesteśmy bowiem zdania, że w dialektycznym procesie rozwoju historycznego prawda jest zmienna i zależna od panującego w danej chwili układu stosunków społecznych; że wedle naszego mniemania, sprawiedliwość abstrakcyjna jest fikcją i że klasa rządząca wykrywa sobie taką koncepcję sprawiedliwości, jaka jest jej potrzebna dla obrony jej interesów klasowych; że nie tylko nie stonimy od agory, ale wracamy na nią, gdyż w jej zgłębiu kryje się prawda naszego czasu; że kanony piękna są po to, aby je przewycieżyć i że doskonałość i postęp są to dwie idee niewspółmierne; że uważamy „klerkizm“ za filozofię rentiera, który swój zagrożony stan posiadania chce obwarować teologią „wartości wiecznych“.

Można było dalej powiedzieć Bendzie, że, gdy mowa o komunistach, odrzucamy jego sztuczny podział na teorie i czyny; że teorie komunistów uważamy za czyny i że ich czyny nie dadzą się pomyśleć w oderwaniu od ich teorii. Jeśli Benda nie godzi się na „pewne ich teorie“, to dlatego, że zakłócają mu one idealistyczny ład jego świata idei oderwanych; jeśli zaś raczy chwalić ich czyny, to dlatego, że czyny, jak i w ogóle wszelkie realizacje praktyczne, bynajmniej go nie interesują.

Przypuszczam, że Benda nie byłby oisniony nowością tych uwag, gdyż słyszał je nieraz od naszych współtowarzyszy francuskich. Sądzę również, że nie poczułby się dotknięty nimi w swej godności gościa, — przeciwnie, jestem pewien, że on, zwolennik „dysocjacji“ idei, byłby mile polechtany tą uprzejmością sprecyzowania stanowisk. Ale w tym sęk, że w Warszawie nie znalazł się nikt, ktoby chciał i mógł zdobyć się na tę uprzejmość. Zato obkadzono go zdawkowymi komplementami, a przecież właśnie Benda powiedział, że „jest jedna tylko trucizna: kadmido“.

Kandyd

MARIUSZ MARGAL

Sprawa Pablo Nerudy

OPINIA świata kulturalnego poruszona została ostatnio niezwykłą sprawą, której bohaterem jest największy współczesny poeta południowo-amerykański i jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów w ogóle — Pablo Neruda. (Wiersze jego znane są czytelnikom polskim dzięki przekładowi Czesława Miłosza drukowanym w zeszłym roku w „Odrodzeniu“).

Neruda, który jest Chilijczykiem, w czasie hiszpańskiej wojny domowej był konsulem swego kraju w oblężonym Madrycie i stał zawsze na niezłomnym stanowisku walki z faszyzmem. Łączyła go osobista przyjaźń z Garcia Lorcą. Jego zdecydowane angażowanie się po stronie czerwonej Hiszpanii wpłynęło później na odwołanie go z tego stanowiska. Ostatnio w Chili Neruda piastował godność senatora z ramienia partii komunistycznej.

W końcu roku zeszłego Neruda opublikował w prasie kilku republik amerykańskich deklarację, której tekst przedrukowała m.in. paryska „Europe“. W deklaracji tej Neruda zaatakował ostro politykę, prowadzoną przez obecnego prezydenta Chili Gonzaleza Videle, czyniącą z Republiki Chilijskiej uległe narzędzie w rękach kapitału amerykańskiego. Poeta napiewniał odważnie zdradę ideałów demokracji przez obecny rząd chilijski, wskazując na osobistą odpowiedzialność prezydenta za ten stan rzeczy.

„Jeżeli przy wykonaniu mych świętych obowiązków — pisał w swej deklaracji — cokolwiek miałoby mi się stać, to oświadczam z góry, że jestem dumny z każdego osobistego ryzyka, które mi grozi w tej walce o godność, o kulturę, o wolność... Oświadczam uroczyście, że w stanie represji, w którym żyjemy, składam wszelką odpowiedzialność za każdą akcję podjętą przeciw mnie na rząd Republiki Chilijskiej, a bezpośrednio i przede wszystkim na prezydenta Gabriela Gonzaleza Videla“.

Gabriel Gonzalez Videla jest również pisarzem. Był swego czasu osobistym przyjacielem Nerudy, przewodniczącym antyfranki-stowskiego stowarzyszenia Hiszpańsko-Chilijskiego, przewodniczącym antyfaszystowskich związków intelektualnych. Neruda oficjalnie prowadził dla niego przedwyborczą propagandę podczas kampanii o prezydencki fotel. Nie z własnego ramienia to czynił. Videla popierała partia komunistyczna, która wspólnie z nim opracowała plan zmiany struktury wewnętrznej kraju, nazwany, od daty ogłoszenia go w 1945 roku, programem 4 września.

Program ten obejmował reformę rolną i w jej ramach wywłaszczenie nieuprawnionych

własności ziemskich na korzyść chłopów oraz zmechanizowanie rolnictwa; reformę konstytucyjną i w jej ramach nadanie pełnych praw obywatelskich i politycznych kobietom oraz utworzenie rządów parlamentarnych; reformę finansową i w jej ramach utworzenie Banku Państwa i ustabilizowanie monety; reformę gospodarczą i w jej ramach upaństwowienie zakładów energetycznych, gazowni, sztybów naftowych, zakładów ubezpieczeń, kopalni; reformę oświatową i w jej ramach upaństwowienie szkolnictwa powszechnego, organizację szkolnictwa technicznego, walkę z analfabetyzmem; reformę społeczną i w jej ramach stworzenie centralnych Związków Zawodowych dla robotników i urzędników, zniesienie zakazu zrzeszania się dla pracowników rolnych, nadanie praw syndykalnych wszystkim pracującym od wieku 18 lat, opiekę nad matką i dzieckiem, ubezpieczenia od wypadku lub choroby, równą płacę za równą pracę.

„Przysięgam przed wami, uroczyste stwierdza 21 lipca 1946 wybrany już prezydentem, prawomocni przedstawiciele ludu chilijskiego, że poprowadzę was do zwycięstwa i z pomocą ludu zrealizuję program odrodzenia narodowego opracowany przez ten wielki Konwent dla dobra Chili i wielkości naszej demokracji“.

Chili nie jest bogatym krajem. Ale Chili posiada złoża miedzi, siarki, złota, soli mineralnych, węgla, saletry sodowej i dla Braden Copper Co i Bethlehem Steel Co, dla Anglo-Chilean Nitrate i Chile Exploitation Corporation program 4 września i trzech komunistycznych ministrów w rządzie były solą w oku. Były nie do przyjęcia. Chili znajdowała się w złej sytuacji finansowej, bogactwa mineralne Chili znajdowały się w ich rękach.

W lipcu 1946 nowo wybrany prezydent składał przysięgę parlamentowi, w czerwcu 1947 r. składał taką deklarację korespondentowi londyńskiemu „News Chronicle“: „Wierzę, że wojna między Rosją a Stanami Zjednoczonymi jest kwestią niecałych trzech miesięcy i całe życie wewnętrzne i zewnętrzne Chili opieram na tej teorii... W razie wojny Chili poparę USA przeciw Rosji“.

Właściwie nic nie zaszło w ciągu tego roku, tylko Mr. Stennard, król miedzi i Mr. Higgins, jego ekspert finansowy, i Mr. Hobbins z Anaconda Copper i jeszcze kilku innych panów odwiedziła Chili i jego prezydenta. Nic nie zaszło, tylko Don Nieto del Rio, starej daty zwolennik nazizmu, został mianowany ambasadorem Chili w Waszyngtonie, i cofnięto nominację Pabla Nerudy na ambasadora w Rzymie. Nic nie zaszło, tylko drobnym kolonom znad cieśniny Magelańskiej za-

broniono zorganizowania wiecu protestacyjnego przeciw koncesjom udzielanym na chilijskie posiadłości ziemskie zagranicznym spółkom i dekretem usunięto przedstawicieli syndykatów robotniczych z Gospodarczego Komitetu Narodowego. Nic się nie stało, tylko posiadane — z racji pełnienia funkcji przewodniczącego ligi antyfranki-stowskiej — wiadomości, prezydent przekazał „odpowiednim“ czynnikiem, aresztując jednocześnie przywódców hiszpańskiej emigracji i groząc im wygnaniem. Pewnego dnia prezydent Gabriel Gonzalez Videla honorowy prezydent Instytutu Kultury Radzieckiej, zerwał stosunki dyplomatyczne z Rosją i potem z Czechosłowacją w przeddzień podpisania z nią umowy handlowej, i z Jugosławią, której przedstawiciel w Argentynie został właśnie zaproszony przez Ministra Spraw Zagranicznych. Wspaniale się rozwinęła w tym czasie partia b. agenta hitlerowskiego, Artura Clavania, „Acha“, której hymn śpiewa się w melodii „Horst Wessel Lied“. Jednego dnia zamknięto Narodową Partię Falangi i Partię Komunistyczną.

„To nie jest prośba o pomoc, to jest intymny list do milionów ludzi, których chce zapoznać tylko z tragedią kraju najdumniejszego spośród szampionów wolności w Ameryce“, pisał potem Neruda, daremnie jako senator sprzeciwiający się polityce swego prezydenckiego przyjaciela. Ten właśnie list intymny, przedrukowany przez wszystkie postępowe pisma Ameryki miał go kosztować utratę netykalności poselskiej i przynieść mu przesładowania. Bo Pablo Neruda miał odwagę napisać nawet o sprawie Loty i Coroli.

Loty i Corola to chilijskie zagłębia węglowe, które w ciężkim klimacie kraju ciągną się na długości osiem kilometrów pod morzem. Zatrudniają 19.000 górników, którzy wobec fatalnych warunków, muszą przeważnie pracować „napół leżąc, zagrożeni przez gazy, które je zabijają systematycznie i szybciej niż praca. Prawie cztery godziny trwa droga do kopalni, ale ten czas nie jest im zaliczany. Tysiące górników zarabiają nie zawsze pół dolara za 12 godzin pracy. Nie liczą się ci, których dzienna płaca przekracza 2 dolary. Gdy wychodzą z swoich kopalni, stają w obliczu nowej tragedii — mieszkania i jedzenia. Oficjalne statystyki podają straszną cyfrę 16 ludzi przypadających na jedno łóżko. W miejscowości Puchoco Rojas istnieje system „ciepłego łóżka“, który polega na takim jego użytkowaniu, aby pozostawało ciepłe przez całe lata. Odżywianie, wraz z niezbędnymi zarobkami, są poniżej normy. Według północno-amerykańskiego eksperta Bloomfielda, człowiek przeciętnie konsumuje tu o 2000 kalorii mniej od koniecznego minimum. Ankylestonasis, strasna choroba, jest przyczyną niesłychanej ilości zgonów, które trzeba dorzucić do spowodowanych gruźlicą i wypadkami“.

Po odrzuceniu żądań robotniczych przez prezydenta wybranego głosami robotników — pisze dalej Pablo Neruda — 12.000 górników Loty i Coroli postanowiło strajkować. Pisze o interwencji wojska, które zamknęło kordonem całe zagłębie, o aresztowaniu przywódców syndykatów, zdemolowaniu lokali związkowych zawodowych, Pisze o represjach: wyciąganiu górników w nocy, nieubranych, do kopalni, goleniu głów kobietom, żonom strajkujących, masowym deportacjom w szczelnie zamkniętych i natłoczonych pociągach, do których nie wolno się było zbliżyć nawet z jedzeniem i wodą. Pisze o założeniu obozów koncentracyjnych na wyspie Santa Maria i pod Pisagua, o aresztowaniu merów i rozwiązywaniu junt, o wprowadzeniu dla robotników przymusowej pracy pod kierownictwem władz wojskowych, które każdą nieobecność miały prawo sądzić jak dezercję.

Tekst deklaracji Nerudy stał się podstawą do oskarżenia go przed sądami Chili i senatem, w którego skład wchodził, jako przedstawiciel ludu chilijskiego. Jeszcze zanim zapadła ostateczna decyzja sądu i senatu usiłował, za radą swego adwokata, schronić się do ambasady zaprzyjaźnionego z Chili innego kraju hiszpańskiego. Rząd chilijski zaprotestował przeciwko tej gościnności i oświadczył, iż Neruda ma pełną swobodę opuszczenia kraju. Wówczas Neruda udał się samochodem na granicę, gdzie jednak na specjalne, tajne zlecenie prezydenta odmówiono mu przejazdu. Od tej chwili Neruda zmuszony jest do ukrywania się.

Jak donosi jeden z ostatnich numerów „Lettres Francaises“, Neruda jest osaczony przez armię detektywów, którym obiecano premię za jego aresztowanie. Gdyby to nastąpiło, los jego byłby zapewne podobny do losu Garcia Lorca i niewiele pozostawałoby mu szans, że przeżyje.

„Trzeba żeby wiedziano — pisze Louis Martin Chauffier w imieniu narodowego Komitetu Pisarzy Francuskich, — iż nie można w ten sposób rozstrzygać w Chile losu wielkiego poety bez wstrząśnięcia tym do głębi opinii całego świata. Los Nerudy, jeśli miałby być takim, jakiego można się obawiać, oświetliłby najlepiej wypadki dziejące się w jego nieszczęśliwej ojczyźnie“.

Mariusz Margal



EPIGRAMAT DO CZYTELNIKA

Któż dla Klopstocka nie laskawy?
Ale czy go czytają? Nie!
Z nas każdy, choćby kosztem sławy
Pamięć być czytany chce.

O WIELKIM ŚWIECIE

Waga ciężka ku prawom, które zna nasz padół:
Nie ważne idzie w górę, wagi pełne nadół.

NAGROBEK DLA WOLTERA (1779)

Tu leży ten — świętoszki — o ile
Wam wierzyć — co dawno winien być w mogile.
Panie, przed Twoje Miłosierdzie kładę
wybacz mu jego „Henriadę“
i wszystkie tragedyje
i wielu wierszyków żmije.
Bo reszta dobyta na światło przez niego
zrobiona jest sobie zupełnie niczego.

REGINA KOWALEWSKA

Pod znakiem beztroskiego pesymizmu w teatrach paryskich



Jean Louis Barrault
w roli Don Rodrigue w „Soulter de Satin”
P. Claudela

BECCNY sezon teatralny w Paryżu nie odznacza się szczególnymi ambicjami repertuarowymi. Na przeszło pięćdziesiąt istniejących teatrów zaledwie parę utrzymuje swój poziom, przeważnie uciekając się do repertuaru klasycznego: Moliere (w trzech teatrach równocześnie), Szekspir, Sofokles, Marivaux, Regnard i nawet Turgeniew. Dziwnie splata się ta ucieczka w minione z pesymizmem sztuk współczesnych, układając się w dość konsekwentny obraz niewiary w rzeczywistość. Akcesoria egzystencjalizmu działają w pełni: szuka się nastroju Guignolu, przejawów niesamowitości duszy ludzkiej oraz jej patologicznych objawów, aby z tego obrazu świata nie do zmienienia stworzyć ciekawą rozrywkę.

Najbardziej charakterystycznym przejawem tej tendencji jest sztuka grana w teatrze „Renaissance” (która zresztą przeszła z ubiegłego sezonu). „Na szlaku tytoniowym”, uważana za inscenizację „śmiałą i pełną humoru”. Temat, zaczerpnięty z życia farmerów w Georgii, przeszedł od interesującej noweli Erskina Caldwell'a poprzez przeróbkę sceniczną Jacka Kirklanda, adaptację francuską Marcela Duhamela i reżyserską rękę Jeana Darcoute'a, stał się obrazem degeneracji człowieka w nędzy, w którym surowy klimat i nieurodzajność ziemi występują w roli głównych oskarżonych, jedynych sprawców wynaturzenia charakterów i deprawacji woli. O tendencji świadczy komentarz wydawców do sztuki. Jest to tragiczny temat nędzy materialnej i moralnej chłopów, dotkniętych głodem i rozkładem woli, odczuwających beznadziejność swoich pragnień i dalej „jest to prawdziwa tragedia istot, których namiętności doprowadzone są do paroksyzmu przez niewdzięczną przyrodę i nędzę nieuleczalną” (podkr. moje). Jasne, że winowajczyni — niewdzięczna przyroda oraz paroksyzmy wywołane nędzą nieuleczalną grają w inscenizacji zasadniczą rolę. Reżyser, połączony „teatralnością” zdegenerowanej psychiki ludzkiej zrobił wszystko, aby podkreślić patologiczny charakter postaci. Dokonał tego z intelektualnym masochizmem zakrapianym humorem, z bezdusznym dystansem wobec tematu nędzy, charakterystycznym dla ludzi, którzy temat ten traktują jako egzotykę. Jak daleko jesteśmy od uciążliwej postawy Gorkiego w „Na dnie”, postawy ogromnego ludzkiego współczucia i protestu! Jak inaczej, jak po



Charles Dullin jako Savonarola w sztuce
André Masson w teatrze Sary Bernhardt

roosveltofsku patrzą na zagadnienia nędzy współtwórcy filmu „Raisins de la colère”!

Podobną pozycję zrodzoną z ducha pesymizmu możemy znaleźć w teatrze „Marigny” (teatr J. L. Barraulta). Jest to „Proces” — Kafki, przeróbka sceniczna surrealistycznej powieści zrobiona przez J. L. Barraulta i A. Gide'a w egzystencjalistycznym sosie ideologii strachu, koszmaru i anarchii ludzkiego działania. Nikła, fragmentaryczna akcja stała się kanwą bardzo skomplikowanego technicznie przedstawienia z równocześnie grającymi kilkoma planami, skomplikowaną maszyną unoszącą się i zjeżdżającą ścian, najróżnorodniejszych podestów, z niepokojącymi efektami akustycznymi, ze scenami pantomimicznymi (specjalnie dla J. L. Barrault), które podkreślają niepokój i absurdalność życia. To wszystko dla oddania nastroju koszmaru, jakiegoś ślepego koła zawieszonych w próżni, niewiadomo z czego zrodzonych i do czego prowadzących niepokojów. Przedstawienie bardzo ciekawie wyreżyszerowane szczególnie w scenach zbiorowych, oryginalnie zrytmizowanych w słowie, ruchach i efektach dźwiękowych. Jak niewspółmierny wydaje się ten wysiłek z tym, co sztuka ta ma do powiedzenia!

Tenże teatr „Marigny” jeden z nielicznych teatrów w Paryżu, który ma stały zespół i zmienny program (zazwyczaj jest naodwrot, gra oprócz „Falszywych zwierzeń” — Marivaux i „Hamleta” z J. L. Barrault'em w roli tytułowej, Amphitryona — Moliere. Utwór raczej okolicznościowy, zawierający niedwuznaczną aluzję do stosunków Ludwika XIV z panią de Montespan; z morałem pocieszającym panów de Montespan, że zdrada małżeńska, której ofiarami oni padają na rzecz wielkich tego lub tamtego świata, nie godzi w ich miłość własną. Insencizacja J. L. Barrault'a poszła po linii stylizacji Amphitryona jako feerii dworskiej z zachowaniem charakterystycznych dla ówczesnego teatru chwytów feerycznych jak przelot Merkurego (Barrault) przez scenę, ukazanie zjeżdżającego rydwanu Nocy i końcowa apoteoza Jupitera — Króla słońca. Dekoracje Christiana Berarda bardzo malowniczo podkreślają poetycki charakter tej najbardziej szekspirowskiej sztuki Moliere. Przez spuszczenie rzędu białych kolumn z daleką ginącą w głębi perspektywą, ocienionych koronami drzew, na których opuszczają się i podnoszą obłoki, przerywa się akcję z siedziby bogów do Teb bez posługiwania się kurtyną. Przedstawienie jest mocno obciążone reminiscencjami feerii dworskich 17 wieku z przewagą elementów wizualnych. Krytyka paryska wytoczyła poważny zarzut reżyserowi, że inscenizacja zagubiła czar tego najpoetyczniejszego z utworów Moliere, że w rezultacie jest w niej więcej wdzięku niż siły.

Przedstawienie uzupełnione jest pantomimą Borisa Kochno, wyreżyszerowaną przez J. L. Barrault'a w dekoracjach i kostiumach pełnych finezji i humoru Christian Berarda pt. „La fontaine de Jouvence”. Cudowna fontanna, która uzdrowia i odmładza, przywraca wraz z młodością wszystkie meki cierpienia wobec czego odmłodzeni starszycy wołają wrócić do zgarbionych postaci, bezwładnych nóg i siwych włosów. Nawet tutaj przewija się cienka linia pochwały pasywności i status quo. Pantomina bardzo dowcipna (co szczególnie podkreślają pomyslowo sporządzone kostiumy z przełomu wieku 19 i 20), wykonana jest z dużą techniką choreograficzną, pomimo, że większość wykonawców to aktorzy dramatyczni (compagnie Madeleine Renaud — J. L. Barrault).

W najbliższym czasie teatr Marigny wystawi wesołą komedię muzyczną Feydeau „Zajmij się Amelią” i ponurą „La peste” Camuse'a. Bardzo charakterystyczna dla repertuaru paryskiego, nieomal symboliczna linia grawitacji między rozrywką a egzystencjalistycznym pesymizmem.

Znany aktor i reżyser Pierre Blanchar wystawił Króla Edypa — Sofoklesa. Przedstawienie zapowiadało się bardzo atrakcyjnie: znakomity Blanchar w roli głównej, Picasso jako dekorator, muzyka Honeggera, chóry opracowane przez specjalistę Jean Doat'a — wszystko wróżyło doskonałą całość. Pomimo to przedstawienie szło w teatrze Champs Elysees z trudem około 6 tygodni (na stosunki paryskie jest to bardzo mało) i zdjęte zostało z afisza w atmosferze rozczarowania zarówno ze strony krytyki jak i publiczności. Zasadniczym błędem inscenizacji było nieharmonizowanie poszczególnych elementów przedstawienia, brak zasadniczej wiążącej koncepcji. Każdy z czynników działał z osobna: linearna nieomal dekoracja Picassa tylko zaznaczająca szarymi płótnami wary kształtu architektury i dziwnie naskutek tego abstrakcyjna i płaska, jakby tylko zaznaczająca teren granic, kolidowała z mocno barokizującymi kostiumami (projektu F. Ganeu); charakterystyczna naśladowca antyczna maska aktora tragicznego, peruki i brody jak z rurkowanego papieru, chóry przeważnie śpiewane poruszające się w rytmie tanecznym, a na tym tle realistyczne, bardzo ruchliwe postaci główne tragedii. Nie było w tym wszystkim jednolitości i monumentalności antycznej tragedii a raczej w ogóle nie było tragedii pomimo, że optycznie wydawało się, że postaci dramatu to jedna wielka pasja miotająca się w krzyku. Krzykliwość ekspresji

dramatycznej jest w ogóle charakterystyczna dla większości aktorów paryskich i przyjmowana jest raczej życzliwie. Pani Tessier, która z niesamowitą furją wykrzyczała dramat Jokasty, była według zdania niektórych paryskich recenzentów przejmująco tragiczna (siłą kontrastu przypominała się pełną dramatycznego napięcia a skupioną i spokojną gra Zofii Małynicz w roli Klitemnestry).

Na zakończenie widz „Króla Edypa” otrzymał rozrywkę w postaci jednoaktówki Prospera Mérimé pt. „Piekło i niebo” wystawionej z farsowym humorem i niepozabawionej pikanterii. W teście jednoaktówce V. Tessier błyskawicznie przemieniona z Jokasty w żalotną i namiętą hiszpankę pokazała swoje właściwe emplot, dużą technikę aktorską oraz ładne nogi znacznie wyżej kolan. Zdeorientowana publiczność mimo to przestała przychodzić do teatru Champs Elysees.

Przeszło 2 lata obmyślał i opracowywał Louis Jouvet Don Juana — Moliere zanim wystawił go w teatrze Athénée z bardzo ciekawym rezultatem. Jest to we Francji najmniej grana ze wszystkich sztuk Moliere. Za życia autora (który sam grał rolę Sganazela) wzięto ją z afisza po 15 przedstawieniach. Zastąpiła ją wierszowana przeróbka Tomaszka Corneilla, która grana była z przerwami 500 razy. Szesnaste przedstawienie oryginalnego Don Juana odbyło się po 182 latach w 1847 roku. Nie jest to utwór łatwy do zagrania. Utrudnia wystawienie między innymi nikłość i statyczność akcji. Z doskonałej ręki reżyserskiej Jouveta (który sam bardzo ciekawie interpretuje rolę tytułową) i dekoratora Christiana Berarda (Jouvet mówi o swoim dekoratorze, że podjął się przy jego współpracy wystawienia nawet Maksym Rochefoucauld'a) wyszło jedno z najlepszych przedstawień bieżącego sezonu teatralnego. Don Juan w ujęciu Jouveta to dramat pychy, dramat człowieka buntującego się przeciw istniejącej moralności. Insencizacja szła po linii wydobycia sensu filozoficznego utworu. Pomysłowym zakończeniem utworu jest scena zamykająca sztukę, w której z otwartego wieka trumny wygląda kościotrup Don Juana, symbolizujący idee przemijania świata.



Lou's Jouvet



Dekoracja Gastona Baty do „Szkoły żon”
w teatrze Jouveta

Publiczność polska będzie miała okazję obejrzeć to przedstawienie, gdyż Jouvet wybiera się ze swoim zespołem w objazd zagraniczny, w którym przewiduje również Polskę. Między innymi wystawi także „Oudine” — Giraudoux, „Szkołę żon” i „Apollo z Marsac”.

Teatr Comedie des Champs Elysees wznowił grana 13 lat temu sztukę Maurice Rostanda „Proces Oscara Wilde'a”. Trudno powiedzieć, co skłoniło do wystawienia tej sztuki. Pełen fałszywego patosu dramat Oscara Wilde'a (historycznie znany proces, skazujący pisarza na 2 lata więzienia za homoseksualizm) po tragicznych przeżyciach tej wojny wydaje się obrażająco śmieszny. Zapewne, zniechęca inicjatorów tego przedstawienia ponura pikantaria tematu. Autor potraktował sprawę homoseksualizmu Wilde'a jako przejaw jego odwagi, wyzwanie rzucone panującej moralności. Pewnym ułatwieniem i umiłowaniem przedstawienia dla zainteresowanych znawców był personaż dramatu, który jest wyłącznie męski. Jedyna kobieta (matka Wilde'a) dopuszczona jest do głosu ale za sceną. Przypuszczam, że kobiety nie czują się obrażone, że sztuka padła bez ich udziału.

Charakterystyczne, że utwory o tendencji postępowej jak na przykład „Heloiza” i Abelard — Vaillanta nie docierają do teatrów nawet przodujących, nie mówiąc już o bulwarowych, których jest przytaczająca większość. Niektórzy praktyczni dyrektorzy teatrów korzystają w montowaniu repertuaru z usług tzw. rapetasseurów — zręcznych „przykrawaczy” nowych sztuk ze starych. Przeróbki te mające za cel oszczędność muszą uwzględnić redukcję osób występujących (czasem do połowy), ilości odsłon i minimum dekoracji.

Tego rodzaju program nie sprzyja rozpowszechnieniu wpływów teatru na szerszą widownię — „Lettres francaises” skarżą się, że najlepsze wyniki ludzi teatru, którzy współpracują z T. E. C. („Praca i kultura”) takich jak Dullin, Jouvet, Barrault, Dux, którzy chcą udostępnić teatr dla robotników, rozbijają się o dyrekcje teatrów prawie wyłącznie prywatnych, które dotrzymują umowy o stałej ilości miejsc w teatrze ze zniżką 50 proc. dla związków zawodowych jedynie w wypadkach, gdy mają pustki na sali.



Marguerite Moreno i Louis Jouvet w „La folle de Chaillot” J. Giraudoux w teatrze Jouveta

PRZEGLĄD PRASY

STATNIO zastanowiło mnie dziwne zjawisko, które łatwo może zaobserwować każdy, kto uważnie czyta artykuły i wypowiedzi w prasie literackiej. Coraz to częściej zdarza się, że autorzy artykułów, nierzadko pisarze z zawodu, kwestionują wartość takiej lub innej sztuki, takiego lub innego utworu, twierdząc, że dana sztuka, film, czy książka są „niezrozumiałe”, „mogą mieć zły wpływ”, „nie tłumaczą się dość jasno” itp. Takie wypowiedzi zawsze wydawały mi się bardzo podejrzane. Autor ich stawia się w sytuacji kogoś mądrzejszego niż jego czytelnik i z wyśokości swojego Olimpu wyrokuje o tym, co może lub czego nie może zrozumieć odbiorca. Ten stosunek poklepywania po ramieniu najczęściej zauważyć można wtedy, gdy mowa o ewentualnym odbiorze danego dzieła przez publiczność szerszą, nieinteligentną. Takli stosunek wydaje mi się niedopuszczalny. Niezmiernie się ucieszyłem niedawno, czytając wypowiedź Włodzimierza Sokorskiego w tej właśnie sprawie. Jestem pewien, że Włodzimierz Sokorski zna dobrze środowisko robotnicze. „Robotnik nie jest cudem natury — pisał Sokorski. — Jest to zwykły człowiek o normalnych ludzkich instynktach, ukochania i nienawiściach”. Skądinąd wiadomo, że zakres zainteresowań czytelniczych robotników nie jest bynajmniej tak wąski, jak to wydaje się niektórym publicystom. Robotnicy czytają Prusa, Zeromskiego, Orzeszkową, Reymonta. Z prywatnych rozmów wiadomo mi, że bardzo zdawaloby się „elitarnie” nowele Iwaszkiewicza cieszą się dużą popularnością. Z osobistych doświadczeń z okresu wojny i związanej z nią emigracji wiem również, że większość czytelników wypożyczających z wielkiej biblioteki woje-wódzkiej w jednej z republik sowieckich książki Manna, Feuchtwangera, Sinclaira, Dreisera, France'a (oczywiście w przekładach) Lwa Tołstoja, Aleksieja Tołstoja, poe-że Puszkiwa czy Lermontowa itp. to byli właśnie robotnicy albo też młodzież.

Podobnie dzieje się w teatrze. Podobnie dzieje się w kinie czy na wystawie obrazów, jeśli taka wystawa będzie odpowiednio zorganizowana. Nie ma powodu przypuszczać, że widz lub czytelnik „rekrutujący się ze sfer robotniczych” będzie z mniejszym zrozumieniem oglądał „Hamleta” niż widz drobniomieszczański. A przecież przypomnijmy sobie, że widz inteligentki nie wypełniał całej widowni teatrów warszawskich przed wojną. Pierwsze rzędy parteru zajmowało przeważnie mieszczaństwo. Powtarzam z przyjemnością słowa Sokorskiego: „Robotnik nie jest cudem natury. Jest to zwykły człowiek o normalnych ludzkich instynktach, ukochania i nienawiściach”. Jednocześnie zaś czytam w nr. 10 „Dziennika Literackiego” felieton Michała Rusinka o filmie Chaplina. O filmie Chaplina pisano już w „Kuźnicy” na innym miejscu i bynajmniej nie zamierzam do tego tematu powracać. Interesuje mnie natomiast w artykule Rusinka kilka zdań, które przeczytałem zarówno mojemu głębokiemu przekonaniu jak i miarodajnej wypowiedzi Sokorskiego, cytowanej przeze mnie dwukrotnie powyżej. Rusinek opisuje wypadek, jaki zdarzył się w Łodzi, w teatrze w 1930 roku. „Któryś z widzów przejąty dramatem, chcąc ostrzec postaci działające na scenie, krzyknął „To Rudy winien”. Po przedstawieniu grupa widzów, rekrutujących się ze sfer robotniczych (oto skąd za-czerpnąłem to określenie — przyp. mój) oczekiwała wzburzona przed garderobą teatralną, dopytując się natarczywie — Gdzie jest Rudy! Dajcie nam Rudego!... Na jednym z niedawnych przedstawień „Hamleta” w War-

szawie ktoś równie przejęty widowiskiem, krzyknął na galerii w chwili gdy Hamlet zabija króla jedno słowo „Nareszcie”. I rzecz zdawaloby się dziwna — nikt się nie roześmiał”. Ten przydługi cytat z felietonu Rusinka był mi potrzebny, by wykaazać, że wciąż jeszcze wydaje się nam, że czytelnik lub widz „rekrutujący się ze sfer robotniczych” nie może oglądać „Hamleta”. Mówię to dla skrótów, bo „Hamlet” w tym zdaniu jest tylko symbolem prawdziwej, wielkiej sztuki. Nie wiem, jakie było to przedstawienie łódzkie o którym pisze Rusinek na początku, ale nie wiem również, czy widzowie to byli robotnicy. Być może, że na przedstawieniu „Hamleta” w teatrze warszawskim w roku 1947 krzyknął „nareszcie” został rzucony nie przez robotnika, lecz przez znużonego subiekta z prywatnego sklepu. Być może, że widownia, która, jak pisze Rusinek, nie zareagowała na ten okrzyk, składała się właśnie z robotników. Trudno mi to wszystko

rozstrzygnąć. Ale pewien jestem, że nie należy mówiąc o widzu „rekrutującym się ze sfer robotniczych” stwarzać jakiegokolwiek indeksu tytułów. Nie wydaje mi się, by np. film, Chaplina mógł zachwiać moralnością publiczną, by mógł zdemoralizować robotnika. Nie wierzę, by „Hamlet” był dla robotnika za trudny. Nie wierzę, że „nowy widz teatralny, nowy czytelnik” może być porównany do „widza młodocianego”. Jestem pewien, że ludziom pracy w Polsce nie potrzeba literatury z dziecinnego pokoju, czegoś w rodzaju cnotliwych opowieści z „Bibliothèque Rose”. Nie trzeba im również ułatwionego teatru, ani ułatwionego kina. Trzeba im natomiast sztuki dobrej, mądrej, godnej człowieka o „normalnych, ludzkich instynktach, ukochania i nienawiściach”. I stary Szekspir, i tragiczny Chaplin, gdy spytamy ich — boicie się czarnego ludu? — odpowiedzą z pewnością — nie boimy się, dla niego właśnie tworzymy!

DWIE NAGRODY POLSKIEGO PENCLUBU

P.E.N. Club Polski na Walnym Zgromadzeniu w grudniu 1947 r. postanowił wręczyć swoje dwie doroczne nagrody, przyznawane od szeregu lat za najwybitniejszą twórczość przekładową w języku polskim i za tłumaczenia z literatury polskiej na języki obce. Laureatami pierwszej nagrody byli: Anie'a Za-górska, Józef Wittlin, Julian Tuwim, Maria Godlewska, Gabriel Kar-ski. Wśród wyróżnio-nych cudzoziemców na podkreślenie zasługują: Paul Cazin i Frank Schoell, tłumacze francuscy, i A. P. Coleman, profesor na Columbia University, niestrudzo-ny propagator literatury polskiej w Ame-ryce.

Zarząd Polskiego P.E.N. Clubu na osta-tnim zebraniu w obecności: prezesa J. Pa-raudowskiego, wiceprezesa M. Dąbrowskiej, sekretarza generalnego M. Rusinka oraz członków Zarządu: J. Iwaszkiewicza, I. Krzy-wickiej, J. N. Millera, M. Bechzy-Rudnickiej, A. Wata i J. Zagórskiego uchwalił przy-znać nagrodę na rok 1948 w sumie 100.000 zł Leopoldowi STAFFOWI, który uświetnił na-szą literaturę przekładową wielu pracami wysokiej wartości, zwłaszcza przekładami „Kwiatków” św. Franciszka, utworów Leo-



Frantisek Halas



Leopold Staff

narda da Vinci, Michała Anioła, „Psaltera”, parafrazy poetyckiej „Reineke Fuchs”.

Z przyjaciół literatury polskiej za granicą Zarząd Polskiego P.E.N. Clubu wyróżnił na-grodą w tym roku piękną pracę, której do-konał poeta czeski Frantisek HALAS. Prze-łożył on bowiem „Dziady”, „Konrada Wallen-roda” i „Grażynę” Mickiewicza oraz Słowackiego „Balladynę” i „Lilję Wenedę”, oddając tym tłumaczeniem najchwałobniejszy wysiłek i swój wysoki kunszt poetycki.

Nagroda dla tłumaczy literatury polskiej na języki obce przyznawana będzie w for-mie medalu pamiątkowego, indywidualnie wykonanego dla nagrodzonego tłumacza.

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ukazaniem się w nr. 6-ym „Nowin Literackich” z dn. 8 lutego, br. artykułu J. W. Reissa pt. „Niemiłe Listy” pozwa-lam sobie przesłać na Pana ręce kilka uwag, z prośbą o zamieszczenie ich w następnym numerze „Kuźnicy”.

Co miał na celu dr. Reiss publikując ten niewątpliwie „niemiły” artykuł?

Każdy kto miał sposobność zetknąć się z najwybitniejszymi nawsot artystami wie, że w życiu potocznym zachowują się i mówią jak zwykli śmiertelnicy, podlegają wszystkim

właściwym człowiekowi słabościom i ułom-nościom. Podobnie rzecz się ma z używaniem przez nich nieraz t.zw. nieprzyzwoitych wy-rzów co bynajmniej nie obowiązują auto-rów monografii i studiów do cytowania ich.

Kwestia zależności między procesem twórczym a przeżyciami natury intymnej wiel-kich ludzi — szczególnie, gdy te przeżycia od-biegają od tego co uważamy za normalne — nadaje się do badań psychologicznych i nau-kowych. Natomiast tematy drażliwe oma-wiane na łamach poczytnego pisma mają wy-raźny posmak sensacyjno-pornograficzny.

Pobieżne przedstawienie w krótkim artykule najdłuższych odcinków życia trzech genu-szów, Mozarta, Beethovena i Chopina bez wy-jaśnień analitycznych, a co gorsze wysnuwa-nie wniosków o „Barbarzyństwie intelektual-nym” Mozarta, kwestionowanie jego poziomu kulturalnego, pomawianie go o „chamstwo” — jest oburzające i niedopuszczalne.

W przeciwieństwie do p. Reissa słów Mo-zarta nie czytam „z przerażeniem”, a całko-wicie oddziałam je od jego osoby, jako twór-cy. Przytym nie uważam tak jak p. Reiss, że „Muzyka Mozarta sugeruje iluzję najwyższej finezyjnej kultury. Muzyka Mozarta nie jest „iluzją” kultury — jest jej szczytowym osią-gnięciem.

Przełożonemu polskiemu czytelnikowi, któ-remu całokształt twórczości i osobowości Mo-zarta jest mało znany, po przeczytaniu arty-kulu, zapewne na zawsze pozostanie skoja-rzenie muzyki Mozarta z zacytowanymi wy-rażeniami.

Przytym nonsensem jest przytaczanie dra-tycznego urywku z listu Chopina pisanego do Delfiny Potockiej przy jednoczesnym po-dawaniu w wątpliwość jego autentyczności. (Z przytoczonego listu nie wynika zresztą nic bowiem bez względu na tonację, oma-wiana rzecz nie ma nic wspólnego z muzy-ką).

Przytoczone słowa nie położą bynajmniej kresu niezdrowej ciekawości, jak sądzi p. Reiss, przeciwnie pobudzą zainteresowanie ludzi którym nigdy nie przyszło na myśl przy-pisywać Chopinowi tego rodzaju „frywolo-ności”.

Słowem artykuł jest niepotrzebny, nieprzy-jemny, a jakby powiedział Francuz „niedo-likatny” i to zarówno w stosunku do wymie-nionych kompozytorów jak i do czytelnika. Warszawa, dn. 10.II.1948.

Juliusz Żuławski

Maria Kempńska

OŚWIADCZENIE

Z Zarządu Głównego Związku Zawodo-wego Literatów Polskich otrzymaliśmy na-stępujące pismo:

Z Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich otrzymaliśmy następujące pismo: „W nr. 61 „Życia Warszawy” z dnia 1 mar-ca b.r. ukazała się notatka, stanowiąca bez-przykładną napaść na wybitnego pisarza i artystycznego działacza zawodowego Ale-kсандra Wata.

Nie wchodząc zupełnie w meritum sprawy, zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że użycie obel-żywego wyrażenia na łamach poważnego pisma w stosunku do cenionego pisarza i dzia-łacza, członka prezydium Rady Związków Artystycznych, wiceprezesa Zarządu War-szawskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich i członka Zarządu Polskiego PEN-Clubu, jest rzeczą gorszącą.

Niżej podpisane organizacje zwracają się do Związku Zawodowego Dziennikarzy R.P. o wspólne naradzenie się celem uniknięcia na przyszłość tego rodzaju niedopuszczalnych incydentów”.

RADA ZWIĄZKÓW ARTYSTYCZNYCH

PREZES

(—) Piotr Perkowski

ZARZĄD GŁÓWNY

ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW

POLSKICH

PREZES

(—) Jarosław Iwaszkiewicz

ZARZĄD ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO

ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW

POLSKICH

PREZES

(—) Ewa Szelburg-Zarembina

PEN — CLUB

PREZES

(—) Jan Parandowski

KSIĄŻKI NADEŚLANE

Anatol Mikulko: W pogoni, nakł. wydawn. „Poligrafika”, Łódź 1947, str. 196.

Stanisław Helsztyński: Od Szekspira do Joyce’a, wyd. II, nakł. wydawn. Stanisła-wa Cukrowskiego, Warszawa 1948, str. 326.

Julian Krzyżanowski: Polska bajka ludowa w układzie systematycznym. II. Bań magi-czna, nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1947, str. 218.

Tadeusz Maysner: Śpiwajmy, nakł. Państwo-wych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1947, str. 39, zł 100.—

G. Hensel i Wł. Kotelewski: O uzwojeniach maszyn elektrycznych prądu zmiennego, nakł. Państwowych Zakładów Wydaw-nictw Szkolnych, Warszawa 1947, str. 128, zł 135.—

S. Szczeniowski: Budowa jądra atomowego, zakł. Państwowych Zakładów Wydaw-nictw Szkolnych, Warszawa 1947, str. 104, zł. 155.—

Zdzisław Adam Rajsowski: Ziemia zachodnie w świetle wykopalisk (Biblioteka Ziem Odzyskanych) nakł. Państwowych Zakła-dów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1947, str. 67, zł 120.—

Poradnik dla nauczycieli zdobywających kwalifikacje zawodowe drogą samouctwa NrNr: 1/2 i 8/9, nakł. Min. Oświaty, skład główny: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa — Łódź 1947, str. 115, zł 25.—

I. Wróblewski — Inż. K. de Mezer: Podręcz-nik techniczny dla stolarzy, cz. I, nakł. Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1948, str. 88, zł 80.—

Dr. Elida Maria Szarota-Blüthowa: Travail et Travailleurs de France, Podręcznik do nauki języka francuskiego dla VII kl. szkoły podstawowej, nakł. Państwowych Zakła-dów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1948, str. 264, zł 150.—

Włodzisław Michałłow: Jak powstało życie na ziemi (Biblioteka Przyrodnicza), nakł. Państwowych Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1947, str. 28, zł 50.—

K. Łausz — Z. Zwierzchowska-Ferencowa: Droga do Jutra, Wypisy dla kl. VIII szko-ly podstawowej, nakł. Państwowych Za-kładów Wydawnictw Szkolnych, Warsza-wa 1947, str. 438, zł 230.—

Karol Uliczny: Krzyk narodu, Epopeja Pol-ski 1939—1945 rok, Drukarnia Polska pod Zarządem Państwowym Nr 1, Bydgoszcz 1946, str. 88.

Wierchy, Rocznik poświęcony górcom, nakł. Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Kraków 1947, str. 212.

Jan Marowski: Śladami czołgów pierwszej dywizji pancerniej, wyd. II, nakł. wydawn. „Dobra Książka”, Wrocław 1948, str. 449.

Helena Boguszewska: Świat po niewiedomemu, nakł. Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1948, str. 129.

Władysław Umiański: Balonem do bieguna po-ludniowego. Ponad lodami Antarktydy, nakł. Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1947, str. 245.

Roger Garaudy, przekł. Pawła Hertza: Komunizm i moralność, nakł. wydawn. „Książka”, Warszawa, Oddział w Łodzi 1948, str. 111.

I. Turgeniew: Ojcowie i dzieci, przekł. Jana Dąbrowsy, nakł. wydawn. Władysława Bąka, Łódź—Wrocław 1947, str. 271.

Sewer: Biedronie (powieść), nakł. wydawn. Władysława Bąka, Łódź—Wrocław 1948, str. 231.

GAFFA Z MOLIEREM I PANIKA W SPRAWIE SARTRE'A

Przeglądając w nr. 11 „Kuźnicy” swój wła-sny artykuł pt. „Trzy nowe premiery w tea-rach łódzkich” w poszukiwaniu chochlików drukarskich — zdradziłem; obok „Szkoly żon” Moliere’a pojawia się tam jak wół wiek XVIII. Co gorzej — nie jest to wcale chochlik dru-karski. Błąd jest w tym wypadku pełną i nie-podzielna własnością autora artykułu. Nie o-zostaje nic innego, jak się ukończy z powo-du tego karygodnego-roztargnienia i uderzyć się w piersi nazy siedemnaście. Ponieważ o XVII wiek chodzi tu oczywiście.

Natomiast w sprawie „Ladacznicy z zasa-dami” Sartre’a ukończy się niestety nie mo-gę. Tym bardziej, że polemiczna nota w nr. 12 „Kuźnicy” pt. „Sprawa dydaktyzmu” polega na pewnym nieporozumieniu. Autor tej noty pisze: „Czy w sztuce musi być zawsze poda-ny łopata do głowy czytelnika wzór do naślado-wania? Ja zaś pisałem: „w takiej sztuce, jak ta, pokazanie jedynie obrazu sprawy ni-czego nie spełnia, jeżeli jednocześnie autor... umyślnie podkreśla całkowitą beznadźność człowieka w stosunku do ludzkich przecięz problemów społecznych i politycznych.”

Jasne jest, że nie chodzi mi o naiwną i wulgarną dydaktyczność, ale o ideologiczną, filozoficzną postawę autora, która — nie prowadząc wcale do „łopatologii” — może od-znaczać się mobilizującym moralnie widza krytycyzmem, buntem, lub też demobilizują-cą beznadziejnością. Chodzi o postawę, która — przy tym samym temacie — może być pełna wiary w człowieka, humanistyczna, albo pełna pesymizmu, jakaś biologiczna tylko, roślinna.

Sądze, że po tym wyjaśnieniu nie ma już nieporozumień między mną a autorem wspo-mnianej noty. Gorzej jest z wypowiedzią w tej samej sprawie i w tym samym (12) nu-merze „Kuźnicy” autora „Przeglądu prasy”, który po mojej krytyce sztuki Sartre’a z za-pełnie niepotrzebną paniką przestrzega przed obarczeniem teatru „funkcjami łopatologicz-nymi” i ubolewa nad brakiem „rozważnej re-cenzji literackiej”. Lecz gdy ja mówię o pe-symizmie Sartre’a, to czyż tym samym „nie-rozważnie” bezczeszczę „wielką” sztukę na korzyść sztuki wulgarniej? Wiemy gdzie wy-lądowała literatura Celine’a po pesymistycz-nej „Podróży do kresu nocy”. I gdy ja zarzu-cam postawie Sartre’a brak wiary w człowie-ka, to czy tym samym już chciałbym „obar-czać teatr funkcjami łopatologicznymi”? Au-tor „Przeglądu prasy” zapomina w swej o-bronie Sartre’a o większych, niż ta, pozycjach literatury dramatycznej.

Sartre, wskazując tu na niesprawiedliwość, jest pesymistyczny i obarcza sprawę ludzkie beznadziejnym fatalizmem. Sartre wy-jaskrawia beznadźną samotność człowieka — jest aspołeczny. Sartre wynosi sprawę istnie-nia ponad sprawę moralności — jest anty-humanistyczny i deprawujący. Cała postawa Sartre’a — mimo pozorów, które nastreca temat sztuki — jest w istocie swej ideologicz-nie wsteczna.

Jeżeli autor „Przeglądu prasy” sądzi tro-che inaczej — to niechże da swoim sądom wyraz. I niechże to zrobi bez bawelny, któ-rej tyle zużył dla owinięcia swojej ostatniej wypowiedzi.

Kuźnica

Germanica

„Bonaparte wkracza do Syrii. 70 kilometrów dziennie, piętnaście godzin na koniu. Jaffa kapituluje, trzy tysiące tureckich żołnierzy składa broń. Co z nimi zrobić? Utrzymać ich? Nawet francuskim żołnierzom brak najniezbędniejszych rzeczy, zresztą dla strzeżenia jeńców potrzeba z tysiąc strażników. Posłać ich do Francji? Nie ma okrętów. Wymienić ich? Przeciwnik nie posiada jeńców. Zwolnić? Wzmocnią wtedy załogę fortecy Saint-Jean-d'Acre, którą trzeba zdobyć za wszelką cenę. Bonaparte zwołuje radę wojenną. Ta wypowiada się jednomyślnie za śmiercią jeńców. W przeciagu trzech dni Bonaparte się waha, w końcu zezwala. Jeńcy zostają zaprowadzeni nad morze i zabici”.

„Straszny odwrót! Ni drogi, ni wody. Dżuma wśród artylerzystów Bonaparte daje rozkaz zatrucia pięćdziesięciu zarażonych, których lekarze uważają za nieuleczalnych”.

To są wyjątki z książki do nauki historii w szkołach niemieckich francuskiej strefy okupacyjnej. Ich wybór nie jest przypadkowy. Książka podkreśla okrucieństwa Anglików w wojnie burskiej, okrucieństwa Amerykan w wojnie secesyjnej, okrucieństwa Turków wobec Ormian. Wszystko w tonie spokojnym i umiarkowanym. Wszystko, by powiedzieć młodym Niemcom, że Hitler nie był pierwszym. Że III Rzesza nie była wyjątkiem. Że naród niemiecki niesprawiedliwie cierpi ciężką karę okupacji.

Badeński „Unser Tag” zaprotestował i został zamknięty na dwa tygodnie. Badeński „Unser Tag” jest pismem komunistycznym.

Propaganda wydaje tymczasem swoje owoce.

Wychodzący w Paryżu „Continental Daily Mail” zamieścił w swoim numerze 34061 z dn. 25 lutego br. list podpisany przez Herr Rud Hummela, Berkensfeld-am-Main. Herr Hummel pisze:

„Dlaczego Francuzi nie pamiętają, że niemieckie zbrodnie wojenne nie były gorsze od francuskich popełnionych jeszcze przed pierwszym (!) niemieckim atakiem na Francję w r. 1870? Jaka jest różnica między tym, co Hitler zrobił we Francji a tym, czego francuski generał Melac dokonał w Nadrenii i Palatynacie? I czy wyprawy Hitlera były rzeczywiście gorsze od napoleońskich zbrojeńskich wypraw poprzez całą Europę?”

Nie chce usprawiedliwiać Hitlera ani jego bandy za ich czyny. Ale muszą sobie pozwolić przypomnieć wszystkim, co Francja zrobiła Niemcom. Nie jest ważne kiedy zbrodnia została dokonana. Ważne jest i nie można zaprzeczyć, że zbrodni dokonała zarówno Francja jak i Niemcy. I to jest przyczyną, dla której Francja musi zaprzestać ciągłego omawiania wyłącznie niemieckich zbrodni. Rezultatem bowiem będzie, że naród niemiecki przypomni ruiny zamków nadreńskich, ruiny Heidelbergu i zgłiszczą Palatynatu, co zafrunuje tylko atmosferę potrzebną dla prawdziwego pokoju”.

I tak dalej w tym duchu. Paryski „Daily Mail” zamieścił ten list w całości i bez komentarzy. Nie odpowiedział panu Hummel, jaka jest różnica między zbrodniami Hitlera a zbrodniami generała Melaca. Paryski „Daily Mail” nie został zamknięty. Herr Hummel napewno też nie.

P. S. Właśnie „Les Lettres Francaise” przynoszą wiadomość, że w strefie angielskiej i amerykańskiej została zamknięta organizacja „Berliner Kulturunion”. Grupowała ona pisarzy i poetów: Ludwika Rennę, Friedricha Wolffa, Bertę Brechtę, Johanna Beckera, Rudolpha Leonharda, Annę Seghers, Antyfaszystów, Emigrantów. Przyjaciół Francji. Bojowników braterstwa. Zorganizowali się, by wychowywać panów Hummelów. Zabroniono im.

m. m.

Mexicana

Do Paryża przybył brazylijski pisarz Jorge Amada. Przywiózł ze sobą smutne wieści. Opowiadał o losie Pabla Nerudy. Opowiadał o sytuacji w Brazylii. Opowiadał, co następuje, o Meksyku.

Do Meksyku przyjechał w gościnę brat hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych, Martin Abaje. Przyjechał prywatnie. Związek Izby Przemysłowo-Handlowych wydał na jego cześć przyjęcie. Prywatnie. Na przyjęciu Artajo wyraził nadzieję, że Meksyk nie będzie się już chyba upierał przy swej nierozsądnej polityce i nawiąże stosunki dyplomatyczne i gospodarcze z generałem Franco. Projekt był oklaskiwany. Prywatnie. Artajo wyraził nadzieję, że rząd meksykański nie będzie tolerował na swoim terenie antyhiszpańskich elementów. Projekt był przyjęty z aplauzem. Prywatnie. Ale dziesiątki pisarzy, intelektualistów i artystów hiszpańskich i setki uciekinierów wiedzą, gdzie powstaje wielka polityka i drżą. Kogo jednak obchodzą ich sprawy? Prywatnie.

mm

O cześć wam, panowie prałaci...

Zgromadzenie kardynałów i arcybiskupów francuskich ogłosiło deklarację na temat „ogólnej sytuacji Francji w chwili obecnej”.

Kardynałowie i arcybiskupi zgodnie wypowiadają się m. in. za zwolnieniem jeńców niemieckich, za szeroką amnestią dla kolaborantów i zwolenników Vichy.



Deklaracja ta wywołała słuszne oburzenie całej prasy demokratycznej.

„Humanité” stwierdza, że zawarty jednocześnie w deklaracji apel na temat niedostatecznych plac ma na celu wyłącznie ułatwienie przelknienia „gorzkiej pigułki” w sprawie amnestii dla zdrajców.

Nawet reakcyjna „Aurore” w artykule aprobującym stronę społeczną deklaracji, zwraca uwagę na fakt, że np. żądanie zwolnienia jeńców niemieckich „podrażni umysły uczciwych ludzi”.

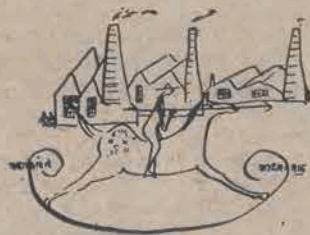
rkm

Linia Jasienicy

Jasienica jest tegim publicystą „Tygodnika Powszechnego”. Nieraz swym ruchliwym piórem atakuje sprawy, które atakować trzeba, anektuje je niejako i dyskontuje dla obozu klerykałów. Nie pozostaje nic jak klaskać w dłonie i zawołać: „racja!” Czemuśmy pierwszy o tym nie napisali!

Ale niezawsze Jasienica ma rację. Czasem wyłazi z niego klasyczny, stary „reak”. Tak bywało gdy usiłował chytryć z wrzesniem, sanacją i endecją, tak jest gdy w nocie pt. „Linia przekroju” ujmuje się za rubryką „wyznanie” w dokumentach i drukach urzędowych, której bezsens i szkodliwość w społeczeństwie demokratycznym, gdzie religii nikt nie prześladowa, ale gdzie jest ona wyłącznie sprawą sumienia, służyć nie motywował J. Minkiewicz, przypominając, że rubryka ta kosztowała jeszcze niedawno życie milionów ludzi.

„Szkoda czasu na dyskusję z Minkiewiczem — pisze Jasienica. — Wystarczy stwierdzić, że my, wstecznicy, uważamy za demokratyczne to wszystko czego chce większość narodu. A proszę urządzić np. publicysty i zapytać Polaków, czy życzą sobie utrzymania w dokumentach rubryki „wyznanie”. Co zaś do hitlerowskiego tepienia Żydów — no, jeżeli ktoś zaledwie w trzy lata po wojnie chce twierdzić, że to było prześladowanie religijne, nie zaś „rasowe”. Nieukom doradzamy lekturę sławnych pamiętników Hirsfelda”.



Szkoda czasu na dyskusję z panem Jasenicą, który słusznie siebie nazywa wstecznikiem. Trzeba dużej obudy, aby twierdzić, że dlatego, iż hitlerowcy w prześladowaniach Żydów posługiwali się kryteriami „rasy”, w prześladowaniach tych nie odgrywała roli rubryka „wyznanie”. Trzeba dużej obudy i fałszu, żeby doradzać lekturę „sławnej” nieuczciwie tendencyjnej książki Hirsfelda. Co o niej myślimy — pisaliśmy. Przekonanie zaś Jasienicy o tym, że „większość narodu” — to rzeczniczy poglądów „Tygodnika” na stosunek do spraw wyznaniowych, jest dowolne. Ani chłop, ani robotnik, ani inteligent w Polsce nie pali się dziś do krucjat kościoła wojującego. Laicyzacja życia w Polsce jest procesem nieodwracalnym wbrew wysiłkom wsteczników w sutannach i bez sutann we wszystkich warstwach narodu.

rkm

O języku komunikatywnym i literaturze dla mas

Kilka tygodni temu, pisząc o nieodpowiedzialnych wydaniach przekładów rosyjskich, domagałem się, aby na stanowiska kierowników literackich w wydawnictwach byli zaangażowani wyłącznie członkowie Związku Literatów. Zapomniałem dodać małą uwagę, aby to byli ludzie delegowani przez Związek. Po prostu, nie każdy literat, choćby był dobrym pisarzem, zna się na pewnych sprawach, które wymagają fachowości, specjalizacji.

Brak tej uwagi unacznił mi ostatnio wydany w wydawnictwie „Prasa Wojskowa” zbiór pt. „Wiersze i pieśni o Armii Radzieckiej”, opracowany przez Annę Gniadowską i Jerzego Laua. Jerzy Lau jest literatem jest członkiem ZZLP, a jednak dopuścił, by sygnowana jego nazwiskiem popularna antologia wierszy i fragmentów prozy, przeznaczona dla szkół, świetlic i amatorskich zespołów artystycznych, roiła się nie tylko od błędów drukarskich, ale i faktycznych. Nie mówię już o doborze, który pozostawia też wiele do życzenia, ale nie widzę podstaw, aby uczniowie szkół i członkowie zespołów amatorskich musieli pomimo woli, ulegając sugestiom redaktorów w zbiorze wydawnictwa, pozostawać w błędnym przekonaniu, że Konstanty Simonow, a nie N. Pogodin, jest autorem dramatu „Kremlofskie kuranty”, że Antoni Prizzelec, o którym slyszalo w Związku Radzieckim dwunastu jego kolegów z Instytutu Literackiego, jest wybitnym lirycznym, że najbardziej znane utwory Chlebnikowa to „Da” i „Stienka Razin”, gdy jako żywo, po przejrzeniu zbiorowego wydania Chlebnikowa, ponieważ nie zaufałem własnej pamięci, takich utworów tam nie znalazłem, bo „Ustrug Razina” to nie „Stienka Razin”, a „Stienka Razina” napisał znów z kłeci W. Kamiński. Itd., itd. Równie fałszywa jest informacja, że Dolmatowski jest tłumaczem poezji polskiej na język rosyjski. O ile mi wiadomo, przełożył on popularną polską piosenkę „Serce w plecaku”, ale czy to jest poezja, śmiem wątpić. A poza tym — co to znaczy, że Chlebnikow, „jeden z założycieli grupy futurystów”, „łączył pierwiastki gwary ludowej z metodą kształtowania futurystyczną”? Czy to dla świetlic — tak jasno i przystępnie? Dlaczego Gorodicki jest autorem „licznych zbiorów liryki i opowieści utrzymywanych w językowym i opisowym stylu ludowym”?

Dlaczego Włodzimierz (dwukrotnie) Chlebnikow, a nie Wielemit, lub Wiktor, umarli w 1921 r., dlaczego w książce przeznaczonej dla szerokich mas, musi być Jastrun, a nie Jastrun, Grudzienko, a nie Gudzenko, dlaczego tak poważne wydawnictwo, jakim jest „Prasa Wojskowa”, wydaje tak niechlujnie, i dlaczego wreszcie kolega Lau nie uderzył pięścią w stół i nie zawołał: „Nie pozwolę, aby w moim imieniu dawano szkołom, świetlicom i zespołom amatorskim zakalec, pierwszą korektę, nieprzejrzaną i nieprzygotowaną do druku”?

pol.

Zasługi wydawców

W bieżącym tygodniu wypada mi zanotować z satysfakcją nowe, cenne pozycje wydawnicze. Zapoczątkowane przez „Wiedzę” pełne wydanie pism Adolfa Dygasińskiego powiększyło się znnowu. Otrzymałmym tym razem „Gody życia”. W dziedzinie przekładów, choć znajdują się już wydawcy śpieszący z drukiem „Zębów tygrysa” Mauricego Leblanca, stosowana jest przez spółdzielnie wydawnicze polityka rozsądna. Mało o trzymujemy przekładów z dzieł o przelotnym znaczeniu. Mimo, iż nikt (poza „Książką”) nie zdecydował się jeszcze na jakąś bardziej konsekwentną działalność wydawniczą w zakresie tłumaczeń, choć istnieją w Polsce dobre wzory (Biblioteka Boga, stary „Symposium”, Biblioteka Najcelniejszych Utworów, z wydawnictw popularnych — Zurkerkan-del), z inicjatywy poszczególnych firm otrzymujemy pojedyncze pożyteczne wydawnictwa. Do nich w pierwszym rzędzie należy zaliczyć „Żywoć Benvenuta Celliniego” wydany przez „Wiedzę” w przekładzie Leopolda Staffa. Nasza biblioteka klasyczna, myślę tu o klasykach greckich i rzymskich, bardzo jest po wojnie uboga. To też należy podkreślić że przy pomocy zasiłków Ministerstwa Oświaty i Centr. Urzędu Planowania, wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego wydało tom czwarty

„Dzieł” Tacyta w przekładzie prof. Seweryna Hammera. Tomy I—III ukazały się przed wojną. Czy nie należałoby, jeśli są one wyczerpane, wznowić tego pomnikowego wydania, tak by całego Tacyta można było czytać po polsku?

ph

Sprawa warszawskich ulic

Uchwała Warszawskiej Rady Narodowej o zmianie nazw ulic warszawskich zburzyła to, czego nie zdołała tknąć wieloletnia okupacja — bomby wrzesniowe i powstańcze potyczki. Nadając starym warszawskim ulicom nowe nazwy w słusznej intencji uczczenia najbardziej zasłużonych działaczy demokratycznych, Warszawska Rada Miejska dokonała czynności zwanej popularnie „wylewaniem dziecka razem z kąpielą”. Dlatego też słuszny wydaje mi się protest, jaki wniosło społeczeństwo piórami dziennikarzy w „Przekroju”.



„Szpiłkach”, „Robotniku”, „Życiu Warszawskim” etc. Jeśli z jednej strony Rada Miejska Warszawy nie protestuje, gdy BOS utrwała np. na Nowym Świecie dawne konstrukcje architektoniczne, gdy, jakże słusznie, wszyskie zabytkowe domy warszawskie przeznaczone są do pieczołowitej odbudowy, gdy nie burzy się zrujnowanego Zamku Królewskiego, po cóż burzyć tradycję nazwy ulicy Królewskiej? Dlaczego zmieścić nazwę ulicy Kruczej czy Złotej? Dość będzie w nowej Warszawie pięknych i ważnych ulic, którym można będzie nadać imiona zasłużonych. Wydaje mi się rzeczą celową, by pisarze polscy dla których sprawa narodowej tradycji nie może być obojętna, skierowali odpowiedni list do Warszawskiej Rady Miejskiej z prośbą o zrewidowanie nie tylko ostatnio powziętej uchwały, ale być może i tych, które były powzięte dawniej. Nie wierzę, by warszawscy ojcowie miasta byli nieuczuli na urok ludowej tradycji i warszawskich piosenek, których tytuły („Chodź panna na Kamienne schodki...”, „Na Czerniakowskiej, Górnej, na Woli” etc.) utrwaliły nazwy ulic warszawskich. Oby nie stało się tak, że Warszawa, która w myśl starego, stołecznego żartu, staje się już i Piękna i Hoża, z obrad stołecznej Rady Miejskiej wyjdzie Niecała.

ph

Następny numer „Kuźnicy” ukaże się z datą 12 kwietnia i zawierać będzie m. inn. spis treści „Kuźnicy” za r. 1947.

ZWIĄZEK KOMPOZYTORÓW POLSKICH

OGŁASZA

KRAJOWY KONKURS KOMPOZYTORSKI

na utwór o charakterze popularnym, oparty na tematyce polskiej, na zespół typu świetlicowego.

W konkursie mogą brać udział wszyscy obywatele R.P.

NAGRODY: I. 100.000 zł.

II. 80.000 zł.

III. 60.000 zł.

WARUNKI KONKURSU:

- Czas trwania utworu od 8 do 15 minut.
- zespół „odeonowski” (fl. ob. 2 klarnety, fagot, waltornia, trąbka, puzon, perkusja, pianino, conductor, kwintet smyczkowy);
- forma: marsz, wiałanka, suita, tańce, uvertura, rondo, symfonia itp.;
- termin nadsyłania: do 1 września 1948 r. (rozstrzyga data stempla pocztowego).

Skład jury zostanie ogłoszony w czasopiśmie „Ruch Muzyczny”.

Utwory opatrzone godłem, należy nadsyłać pod adresem Związku Kompozytorów Polskich, Warszawa, ul. Młodzieży Jugosłowiańskiej 2. W załączonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, należy podać imię i nazwisko oraz dokładny adres kompozytora.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻOLKIEWSKI

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalie 40 złotych.

WARUNKI PRÉNUMERATY:

miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.

D-01843 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 2.